Dom Wydawniczy Kontinuum oraz Wydawnictwo Horyzont Idei przedstawiają:

Benjamin Franklin. Autobiografia

Przekład: Justyna Jaciuk

Redakcja i Korekta: Damian Łukasz Tarkowski oraz Izabela Zgrzywa

Audiobook czyta: Tomasz Kućma

Dom Wydawniczy Kontinuum oraz Wydawnictwo Horyzont
Idei przedstawiają:

Benjamin Franklin. Autobiografia

Przekład: Justyna Jaciuk

Redakcja i Korekta: Damian Łukasz Tarkowski oraz Izabela Zgrzywa

Audiobook czyta: Tomasz Kućma

Spis treści:

1. Przedmowa
2. Życie Benjamina Franklina
3. Część pierwsza
4. Część druga
5. Część trzecia
6. Koniec

Przedmowa do wydania polskiego

Kiedy w 1492 roku Krzysztof Kolumb dobił do wybrzeży Ameryki, nie mógł wiedzieć, że właśnie stoi na lądzie, na którym rozwinie się potężne państwo. Pięć stuleci później będzie uważane za mocarstwo gospodarcze i mekkę wolności. Aby to jednak mogło nastąpić, wcześniej musiał się rozpocząć proces kolonizacji tamtejszych terenów, a później okres krwawych walk o ziemię, władzę oraz wpływy, nie tylko pomiędzy poszczególnymi kolonizatorami, lecz także między nimi a miejscową ludnością. Był to również czas rozwoju niewolnictwa. Początkowo nowo wznoszone miasta zasilała ludność składająca się nie tylko z właścicieli ziemskich, zarządców czy też wojsk, lecz także ze skazańców, wyzwoleńców i uciekinierów. Wiele osób wyruszało w podróż do Ameryki w poszukiwaniu lepszego jutra. Jedną z nich był ojciec Benjamina Franklina – Josiah Franklin – który w 1682 roku przeniósł się wraz z rodziną z Anglii na nowy kontynent ze względu na wzmagające się prześladowania religijne. To właśnie dzięki tej decyzji Stany Zjednoczone zyskały jednego ze swoich najznamienitszych obywateli.

Benjamin Franklin urodził się 17 stycznia 1706 roku na Milk Street w Bostonie w niezamożnej, wielodzietnej rodzinie. W trakcie swojej bogatej kariery był drukarzem, wydawcą, wybitnym politykiem, społecznikiem oraz naukowcem. Swoją pierwszą pracę podjął już w wieku 12 lat pomagając ojcu w prowadzonej przez niego mydlarni, a następnie rozpoczął praktykę w drukarni swojego brata. Dzięki wcześnie zdobytym doświadczeniom nabył szerokie umiejętności i wiedzę z zakresu technik drukarskich i handlowych, stale rozwijając swoje zamiłowanie do literatury – czy może zatem dziwić, że w późniejszym czasie wykorzystał swoje doświadczenie i założył własną drukarnię oraz prowadził działalność wydawniczą? Umiłował

Amerykę i jej ludność do tego stopnia, że większość życia poświęcił na walkę o lepszy byt amerykańskiego społeczeństwa zarówno na gruncie politycznym, społecznym, jak i naukowym. Do jego największych dokonań należy walka o suwerenność amerykańskich kolonii, stworzenie pierwszej amerykańskiej biblioteki oraz założenie Uniwersytetu Filadelfijskiego. Obok Thomasa Jeffersona był jednym z najważniejszych twórców Deklaracji Niepodległości Stanów Zjednoczonych ogłoszonej 4 lipca 1776 roku.

Jako wynalazca stworzył wiele rozmaitych udogodnień, z których korzystamy do dnia dzisiejszego, takich jak choćby fotel bujany czy okulary dwuogniskowe. W roli odkrywcy praw natury odniósł wielki sukces przedstawiając właściwości ładunków elektrycznych i konstruując pierwszy piorunochron. To właśnie Benjamin Franklin jako pierwszy dostrzegł i udowodnił elektryczną naturę wyładowań atmosferycznych. Ponad wszelką wątpliwość był on człowiekiem o niezwykłej, złożonej osobowości i wielkich dokonaniach politycznych, naukowych i społecznych.

Informacje biograficzne o Benjaminie Franklinie można czerpać z wielu źródeł obejmujących między innymi jego listy do znajomych, artykuły naukowe jego autorstwa czy też liczne publikacje. Jednak najważniejszym dziełem dostarczającym wiedzy na temat życia Benjamina Franklina jest jego Autobiografia. Franklin spisywał swoje wspomnienia w latach 1771–1790. Choć proces powstawania tej książki trwał łącznie niemal dwie dekady, nie oznacza to wcale, że praca nad nią trwała nieprzerwanie ani że została ukończona – opowieść urywa się na 1757 roku. W ciągu tych dziewiętnastu lat pracy nad wspomnieniami Franklin jedynie czterokrotnie znalazł czas, aby w spokoju spisać to, co chciał przekazać.

W zetknięciu z Autobiografią, na pierwszy rzut oka można odnieść wrażenie, że Franklin, opisując własny żywot, ma tendencję do przechwałek. Jednak zagłębiając się mocniej w jego biografię, zauważymy, że chciał po prostu przedstawić najważniejsze fakty ze swojego życia w taki sposób, by można było wysnuć wnioski z jego

postępowania, a wiele ważnych informacji pominął, bo nie miały one charakteru dydaktycznego. Choć momentami wydaje się osobą nieco próżną, to był także człowiekiem w pełni świadomym tej słabości, a warto wziąć pod uwagę fakt, że liczba jego dokonań jest doprawdy zdumiewająca. O tym, jak wielkie zasługi można przypisać Benjaminowi Franklinowi, świadczy chociażby fakt, że to jego wizerunek umieszczono na najwyższym nominale znajdującej się w obiegu waluty amerykańskiej – banknocie studolarowym. Był on nie tylko politykiem, społecznikiem i jednym z ojców założycieli Stanów Zjednoczonych, lecz także naukowcem, myślicielem i moralistą. Jako jedyny z ojców założycieli podpisał wszystkie cztery ważne dla powstania Stanów Zjednoczonych dokumenty: Deklarację Niepodległości, sojusz z Francją, kończący wojnę z Wielką Brytanią pokój wersalski oraz konstytucję.

W obecnych czasach – gdyby ocenić niektóre z jego postaw przez pryzmat dzisiejszych standardów i norm kulturowych – na Franklina na pewno spadłaby fala krytyki. Należy jednak pamiętać o tym, że realia, w jakich wychowywał się i żył autor i bohater tej książki, są zgoła odmienne od tych panujących obecnie i w związku z tym historii Franklina nie można oceniać przez pryzmat standardów właściwych dla naszych czasów.

Autobiografia Benjamina Franklina niewątpliwie stanowi znakomite źródło wiedzy odnośnie do historii jej bohatera, ale jest także prawdziwą kopalnią wiedzy na temat obyczajowości i wydarzeń, jakie miały miejsce w czasach kolonialnych i które doprowadziły do uzyskania niepodległości przez Stany Zjednoczone. W pewnym sensie jego losy są ucieleśnieniem idei amerykańskiego snu, na który składa się wolność jednostki oraz narodu, który tworzą niezależni, wyzwoleni ludzi.

Liczymy na to, że historia Benjamina Franklina spotka się z równie ciepłym przyjęciem, co przetłumaczone przez Horyzont Idei dzieła innych wybitnych myślicieli i wynalazców takich jak Nikola Tesla, Thomas Alva Edison czy Charles Darwin. Jeszcze w 2021 roku pojawi

się również słynna autobiografia Henry'ego Forda pt. Moje życie i dzieło, oraz książka Benjamina Franklina - Droga do Bogactwa.

Owocnej lektury życzą:

Wydawnictwo Horyzont Idei oraz Dom Wydawniczy Kontinuum

Rzut oka na życie Benjamina Franklina – autor Justyna Jaciuk

Benjamin Franklin urodził się 17 stycznia 1706 roku na Milk Street w Bostonie w niezamożnej, wielodzietnej rodzinie. W trakcie swojej bogatej kariery był drukarzem, wydawcą, wybitnym politykiem, społecznikiem oraz naukowcem. Swoją pierwszą pracę podjął już w wieku 12 lat pomagając ojcu w prowadzonej przez niego mydlarni, a następnie rozpoczął praktykę w drukarni swojego brata. Dzięki wcześnie zdobytym doświadczeniom nabył szerokie umiejętności i wiedzę z zakresu technik drukarskich i handlowych, stale rozwijając swoje zamiłowanie do literatury – czy może zatem dziwić, że w późniejszym czasie wykorzystał swoje doświadczenie i założył własną drukarnię oraz prowadził działalność wydawniczą? Umiłował Amerykę i jej ludność do tego stopnia, że większość życia poświęcił na walkę o lepszy byt amerykańskiego społeczeństwa zarówno na gruncie politycznym, społecznym, jak i naukowym. Do jego największych dokonań należy walka o suwerenność amerykańskich kolonii, stworzenie pierwszej amerykańskiej biblioteki oraz założenie Uniwersytetu Filadelfijskiego. Obok Thomasa Jeffersona był jednym z najważniejszych twórców Deklaracji Niepodległości Stanów Zjednoczonych ogłoszonej 4 lipca 1776 roku.

Jako wynalazca stworzył wiele rozmaitych udogodnień, z których korzystamy do dnia dzisiejszego, takich jak choćby fotel bujany czy okulary dwuogniskowe. W roli odkrywcy praw natury odniósł wielki sukces przedstawiając właściwości ładunków elektrycznych i konstruując pierwszy piorunochron. To właśnie Benjamin Franklin jako pierwszy dostrzegł i udowodnił elektryczną naturę wyładowań atmosferycznych. Ponad wszelką wątpliwość był on człowiekiem o

niezwykłej, złożonej osobowości i wielkich dokonaniach politycznych, naukowych i społecznych.

W zetknięciu z Autobiografią, na pierwszy rzut oka można odnieść wrażenie, że Franklin, opisując własny żywot, ma tendencję do przechwałek. Jednak zagłębiając się w jego biografię, można zauważyć, że chciał przedstawić najważniejsze fakty ze swojego życia w taki sposób, by można było wysnuć wnioski z jego postępowania, a wiele ważnych informacji pominął, bo nie miały one charakteru dydaktycznego. Nawet momentami wydaje się człowiekiem nieco próżnym, to był także człowiekiem w pełni świadomym tej słabości, a warto wziąć pod uwagę fakt, że liczba jego dokonań jest doprawdy zdumiewająca. O tym, jak wielkie zasługi można przypisać Benjaminowi Franklinowi, świadczy chociażby fakt, że to jego wizerunek umieszczono na najwyższym nominale znajdującej się w obiegu waluty amerykańskiej – banknocie studolarowym. Był on nie tylko politykiem, społecznikiem i jednym z ojców założycieli Stanów Zjednoczonych, lecz także naukowcem, myślicielem i moralistą. Jako jedyny z ojców założycieli podpisał wszystkie cztery ważne dla powstania Stanów Zjednoczonych dokumenty: Deklarację Niepodległości, sojusz z Francją, pokój wersalski oraz konstytucję.

Informacje biograficzne o Benjaminie Franklinie można czerpać z wielu źródeł obejmujących między innymi jego listy do znajomych, artykuły naukowe jego autorstwa czy też liczne publikacje. Jednak najważniejszym dziełem dostarczającym wiedzy na temat życia Benjamina Franklina jest jego Autobiografia. Franklin spisywał swoje wspomnienia w latach 1771–1790. Choć proces powstawania tej książki trwał łącznie niemal dwie dekady, nie oznacza to wcale, że praca nad nią trwała nieprzerwanie ani że została ukończona – opowieść urywa się na 1757 roku. W ciągu tych dziewiętnastu lat pracy nad wspomnieniami Franklin jedynie czterokrotnie znalazł czas, aby w spokoju spisać to, co chciał przekazać.

We współczesnych czasach – gdyby ocenić niektóre z jego postaw przez pryzmat dzisiejszych standardów i norm kulturowych – na Franklina na pewno spadłaby fala krytyki. Należy jednak pamiętać o tym, że realia, w jakich wychowywał się i żył autor i bohater tej książki, są zgoła odmienne od tych panujących obecnie i w związku z tym historii Franklina nie można oceniać przez pryzmat standardów właściwych dla naszych czasów.

Pierwsza część Autobiografii została spisana w 1771 roku podczas pobytu Benjamina Franklina w Anglii, w diecezji św. Asafa w Twyford. Przybiera ona formę listu do jego syna, Williama Franklina, który w tamtym czasie piastował stanowisko królewskiego gubernatora stanu New Jersey. W tekście pojawiają się zwroty takie jak: „jak pamiętasz" czy „spotkaliśmy", które bezpośrednio odnoszą się do osobistych wspomnień Williama. Na samym początku tej części Benjamin Franklin określa powód powstania tekstu, stwierdzając, że jego syna może zainteresować poznanie niektórych wydarzeń z życia ojca, a ponieważ akurat ma tydzień wolnego, będzie w stanie przelać je dla niego na papier. W porównaniu z pozostałymi częściami tej książki, charakter tego fragmentu jest zdecydowanie najbardziej intymny. Benjamin Franklin rozpoczyna opowieść od przytoczenia anegdot o swoich przodkach. Opowiada o dziadku, wujach, ojcu i matce. Opisuje dzieciństwo i wczesną edukację. Wspomina, że początkowo jego ojciec chciał, aby został duchownym. Należy mieć na względzie, że wówczas to rodzice decydowali o przyszłości dzieci – wybierali im zawód i aranżowali ich małżeństwa. Istniał zwyczaj, że jednego z synów należało poświęcić na służbę Bogu. Ponieważ Benjamin od najmłodszych lat przejawiał zamiłowanie do czytania, jego ojciec uznał, że z równie wielką pasją będzie studiować święte księgi i pisać płomienne kazania. Po dwóch latach doszedł jednak do wniosku, że nie stać go na dalsze utrzymywanie Benjamina w szkole parafialnej, gdyż później będzie musiał płacić za naukę na uniwersytecie, więc zawrócił go ze ścieżki kapłaństwa i próbował znaleźć dla niego nowe zajęcie. Dziesięcioletni wówczas Benjamin przez dwa lata pomagał w

zakładzie ojca przy wyrobie świec, aż wreszcie znalazł się taki zawód, który mógł okazać się dla niego odpowiedni.

Autobiografia Benjamina Franklina niewątpliwie stanowi nie tylko znakomite źródło wiedzy odnośnie do historii jej bohatera, ale także prawdziwą kopalnię wiedzy na temat obyczajowości i wydarzeń, jakie miały miejsce w czasach kolonialnych i które doprowadziły do uzyskania niepodległości przez Stany Zjednoczone. W pewnym sensie jego historia to historia największej idei amerykańskiego snu, jaką niewątpliwie jest idea wolności jednostki i wolności narodu wolnych, wyzwolonych ludzi.

Mało brakowało, aby Benjamin zajął się wyrobem nożyc, ale warunki pracy nie odpowiadały jego ojcu, więc nasz bohater został wysłany na praktykę do swojego brata, Jamesa Franklina, bostońskiego drukarza i wydawcy „New England Courant". Ponieważ Benjamin posiadał wielkie zamiłowanie do czytania, chciał władać językiem tak samo dobrze jak jego ulubieni pisarze. Początkowo próbował swoich sił w poezji, a następnie zajął się pisaniem utworów prozaicznych. Doskonalił umiejętności pisarskie parafrazując „Spectatora" autorstwa Josepha Addisona i sir Richarda Steele'a. Kiedy już uznał, że wprawił się we władaniu słowem na tyle, że może zaprezentować swoje umiejętności szerszej publiczności, napisał anonimowy artykuł i wsunął go nocą pod drzwi drukarni, w której odbywał praktykę. Nie znając autora, jego brat James wraz z przyjaciółmi nie szczędzili pochwał artykułowi, który następnie został opublikowany na łamach „New England Courant". Zachęciło to Benjamina do dalszego pisania esejów, które później ujrzały światło dzienne w tej samej gazecie. Kiedy w końcu Benjamin przyznał się, że to on był ich autorem, Jamesowi puściły nerwy, ponieważ uważał, że takie postępowanie młodszego brata może sprawić, że stanie się on zbyt próżny. Pomiędzy Jamesem i Benjaminem często dochodziło do sprzeczek, w trakcie których starszy brat uciekał się do przemocy. Benjamin sądził, że skoro są spokrewnieni, to James będzie go traktował nieco bardziej pobłażliwie, z kolei jego brat uważał, że należy mu się bezwzględny szacunek, jako że był za Benjamina odpowiedzialny, a

ponadto był jego pracodawcą. Sposób, w jaki James traktował Benjamina, nie podobał się temu drugiemu tak bardzo, że zaczął on szukać sposobu na ucieczkę od starszego brata.

W późniejszym czasie James wpadł w kłopoty, gdyż wydrukował oszczerczy artykuł, który nie spodobał się władzom. Z tego powodu trafił na miesiąc do więzienia. W tym czasie jego obowiązki przejął Benjamin. James po wyjściu z aresztu dostał zakaz wydawania gazety pod swoim nazwiskiem. Wraz z przyjaciółmi wpadł na pomysł, że to Benjamin będzie jej nominalnym wydawcą, a formalnie to starszy z Franklinów nadal miał zarządzać gazetą. W tym celu James zwolnił młodszego brata ze stażu i podpisał z nim nową umowę. Między braćmi doszło do ponownego sporu, który przepełnił czarę goryczy, w wyniku czego Benjamin postanowił odejść z pracy. Rozgoryczony James postanowił utrudnić bratu znalezienie nowego zajęcia w Bostonie, wystawiając mu niepochlebne opinie i sądząc, że dzięki temu Benjamin wróci do pracy w jego drukarni. Natomiast Benjamin, unosząc się dumą, zdecydował się opuścić rodzinne miasto. O jego pomyśle ucieczki wiedział jedynie jego zaufany przyjaciel, który pomógł mu zorganizować rejs do Nowego Jorku, skąd później miał udać się do Filadelfii. Nie powiedziawszy nic rodzinie, siedemnastoletni Benjamin wszedł na pokład statku i nie oglądał się za siebie – tak bardzo był zdeterminowany, by odejść z miasta, w którym został źle potraktowany.

Po przybyciu do Filadelfii Benjamin Franklin rozpoczął pracę u jednego z dwóch miejscowych drukarzy – Samuela Keimera. Doskonalił u niego swoje umiejętności zecerskie, a w wolnych chwilach oddawał się lekturze. Poznał wtedy swoją przyszłą żonę, Deborę Read. Musiało jednak upłynąć wiele czasu, zanim stanęli na ślubnym kobiercu. Przez zrządzenie losu poznał także gubernatora Keitha, który był pod wielkim wrażeniem pracy Franklina w roli drukarza. Po pewnym czasie zaproponował, że pomoże mu z otwarciem jego własnej drukarni. Jedynym warunkiem, jaki postawił przed młodym Franklinem, był powrót do domu po zgodę ojca, co też młodzieniec niezwłocznie uczynił. Josiah ucieszył się z odwiedzin

syna, ale uważał, że jest on jeszcze za młody i zbyt niedoświadczony, by prowadzić własne przedsiębiorstwo, więc doradził, żeby na razie się z tym wstrzymał. Dodał, że jeśli w wieku dwudziestu jeden lat nadal będzie tym zainteresowany, to chętnie mu pomoże. Brak aprobaty ze strony ojca nie zniechęcił Benjamina, który był zdeterminowany, aby prowadzić własną drukarnię, zwłaszcza że miał otrzymać pomoc ze strony tak znamienitej persony, za jaką uważał gubernatora Keitha. Wrócił zatem do Filadelfii, gdzie gubernator rozwiał wszystkie jego wątpliwości i jeszcze bardziej utwierdził go w przekonaniu o słuszności tego pomysłu. Będąc przekonanym o szczerych intencjach Keitha, Franklin udał się do Londynu po zasoby niezbędne do otwarcia drukarni. Kiedy jednak dotarł do stolicy Anglii, okazało się, że gubernator nie dotrzymał słowa i nie przygotował żadnych listów rekomendacyjnych, Benjamin musiał więc radzić sobie sam. Znalazł pracę w drukarni, dzięki czemu dalej mógł się rozwijać w zawodzie drukarza i zecera. Po pewnym czasie jego dobry znajomy, Thomas Denham – kwakierski kupiec, którego poznał podczas podróży do Londynu – zaproponował mu pracę w swoim sklepie w Filadelfii. W 1726 roku Franklin wrócił zatem do Ameryki, ale nie w celu otworzenia własnej drukarni, jak początkowo zakładał, ale by prowadzić swój sklep. Jego kariera handlarza nie trwała jednak długo – niedługo po przybyciu Benjamina do Filadelfii Denham podupadł na zdrowiu i zmarł, a Franklin wrócił do pracy w drukarni Keimera. Keimer zatrudnił go przede wszystkim po to, by uczył zawodu nowych praktykantów, którzy nie mieli pojęcia o obsłudze prasy drukarskiej. Kiedy już wprawili się na tyle, że mogli pracować samodzielnie, między Keimerem a Franklinem coraz częściej dochodziło do sprzeczek, w konsekwencji których Benjamin rzucił pracę z dnia na dzień. Jeden ze stażystów, Hugh Meredith zaproponował mu wówczas założenie spółki i prowadzenie własnej drukarni, na co Franklin przystał. Środki potrzebne na rozpoczęcie interesu otrzymali od ojca Mereditha. Na tym jednak skończył się wkład wspólnika Franklina w pracę drukarni, gdyż zamiast zajmować się przedsiębiorstwem, wolał spędzać czas na pijatykach.

Tymczasem Benjamin Franklin założył grupę dyskusyjną „Junta", w której poruszano bieżące kwestie społeczne oraz prowadzono dysputy na temat książek. Stanowiła ona podwaliny wielu filadelfijskich organizacji, na pomysł założenia których Franklin wpadł wraz z przyjaciółmi, takich jak biblioteka czy też kompania ogniowa. „Junta" była wzorowana na angielskich kawiarniach, w których prowadzono kluby dyskusyjne. Na Starym Kontynencie były one źródłem rozpowszechniania idei oświeceniowych i Franklin był z nimi dobrze zaznajomiony.

W 1728 roku Franklin z Meredithem wpadli na pomysł wydawania własnej gazety. Kiedy Keimer, jego były pracodawca usłyszał o tym, postanowił jak najszybciej zacząć wydawać swoją „Pennsylvania Gazette", choć nie miał najmniejszego pojęcia, jak należy się za to zabrać. Pragnął jednak odegrać się na Franklinie, który teraz stał się jego największym konkurentem. Gazeta pod sterami Keimera nie radziła sobie najlepiej, więc po paru miesiącach postanowił ją odsprzedać Benjaminowi, który – mając wieloletnie doświadczenie związane z publikacją prasy – sprawił, że pismo to zaczęło rozchodzić się jak świeże bułeczki. W tamtym czasie drukarnia Franklina nawiązała współpracę ze Zgromadzeniem Pensylwanii dotyczącą drukowania pism urzędowych, co przynosiło ogromne zyski. Mimo to wpływy nie były na tyle duże, by pozwalały na pokrycie wszystkich wydatków związanych z przedsiębiorstwem. Co więcej, Hugh, ojciec Mereditha wpadł w problemy finansowe, w związku z czym nie mógł już wspierać spółki syna i jego przyjaciela. Na domiar złego wspólnik Franklina coraz częściej się upijał, przez co ten w coraz mniejszym stopniu chciał z nim dalej pracować. Z pomocą Benjaminowi przyszło dwóch przyjaciół, którzy niezależnie od siebie zaproponowali mu pożyczkę, by mógł spłacić Mereditha i samodzielnie prowadzić działalność. Po szczerej rozmowie ze wspólnikiem wyszło na jaw, że nie ma on już ochoty prowadzić drukarni i w jego mniemaniu porwał się z motyką na słońce, gdyż wcześniej zajmował się uprawą roli i nie miał nic wspólnego z drukarstwem. Udało się zatem polubownie rozwiązać spółkę, a Franklin od tej pory prowadził interesy samodzielnie. W 1730 roku

poślubił Deborę Read, z którą doczekał się dwójki dzieci – syna i córki. Mniej więcej w tym samym czasie zaproponował w „Juncie" założenie publicznej biblioteki za prenumeratą – Library Company of Philadelphia. Po wpłaceniu wpisowego otrzymywano dostęp do wielu książek. Biblioteka ta okazała się strzałem w dziesiątkę, ponieważ do tej pory jedynie najbogatsi mogli sobie pozwolić na zakup drogich woluminów. Dzięki powodzeniu tego przedsięwzięcia Benjamin wraz z żoną przyczynili się do rozpowszechnienia czytelnictwa wśród Amerykanów. Po opisie założenia biblioteki Franklin musiał przerwać swą opowieść ze względu na wybuch rewolucji. W tym miejscu kończy się pierwsza część Autobiografii.

Benjamin Franklin nie zamierzał kontynuować pisania swojej opowieści, gdyż wdał się w spór ze swoim synem, który podczas wojny domowej opowiedział się po stronie Korony Brytyjskiej i przeciwstawiał się żądaniom rewolucjonistów. Do dalszego pisania skłoniły go jednak otrzymanie dwóch listów, w których przekonywano go, że jego żywot może stanowić wzór postępowania dla młodzieży. Listy te załączył na początku części drugiej.

W roku 1734 z hrabstwa Tyrone w Irlandii przybył do Pensylwanii kaznodzieja Samuel Hemphill, którego kazania nie spodobały się miejscowemu duchowieństwu, ale za to przypadły do gustu Franklinowi. Postanowił więc pomóc duchownemu zyskać nowych zwolenników, co nie było łatwym zadaniem, gdyż wyszło na jaw, że plagiatował on fragmenty swoich kazań. Franklinowi jednak to nie przeszkadzało, gdyż w jego przekonaniu nie liczył się autor, tylko wartość przekazu homilii.

Franklin ponownie zaczął spisywać wspomnienia w 1784 roku w Passy pod Paryżem zaczynając od przedstawienia bardziej szczegółowego opisu planu biblioteki publicznej. Następnie przeszedł do omówienia „śmiałego i żmudnego projektu osiągnięcia moralnej doskonałości". Wymienił i scharakteryzował trzynaście cnót (umiar, milczenie, porządek, postanowienie, oszczędność, pracowitość, szczerość, sprawiedliwość, powściągliwość, czystość, spokój,

niewinność, pokora), które chciałby w sobie poprawić. W tym celu stworzył książkę, która zawierała tabelę składającą się z siedmiu kolumn na każdy dzień tygodnia i trzynastu wierszy na każdą cnotę. W tabeli tej za pomocą czarnych kropek zaznaczał swoje przewinienia wobec każdej cnoty, jakich dopuścił się danego dnia. Zauważył, że spośród wymienionych przez siebie cnót najtrudniej było mu zachować porządek. W końcu zdał sobie sprawę, że nie można osiągnąć doskonałości, ale dzięki temu, że próbował się zmienić i stać się lepszym człowiekiem, poczuł się szczęśliwszy. Na marginesie należy dodać, że choć współcześni mu ludzie uważali Franklina za wzór cnotliwości i moralności, a on sam zawsze podkreślał, jak ważne są te wartości, to daleko mu było od ideału. W swojej Autobiografii w żadnym miejscu nie wspomina o tym, że w pewnym czasie miał siedmioro niewolników. Co prawda w późniejszym czasie zasłynął jako krytyk niewolnictwa praktykowanego przez amerykańską klasę średnią, jednak nadal pracowało dla niego dwóch czarnoskórych mężczyzn, którym nie płacił. Ani słowem nie wspomniał również o tym, że jego syn, William, pochodził z nieprawego łoża. W 1730 roku dwudziestoczteroletni wówczas Franklin podał do publicznej wiadomości informację o tym, że ma nieślubnego syna, Williama, którego postanowił wychować. Nie jest znana tożsamość matki chłopca. W tym czasie Benjamin był już mężem Debory Read, która, musiała pogodzić się z niewiernością męża i zaistniałą sytuacją. Postępowanie Franklina w jego czasach nie było jednak niczym skandalicznym.

Na początku sierpnia 1788 roku Benjamin Franklin powrócił z Londynu do Filadelfii i rozpoczął pracę nad trzecią częścią wspomnień. Miał zamiar wykorzystać w tym celu notatki, jakie sporządził na przestrzeni lat, jednak większość z nich zaginęła lub uległa zniszczeniu w czasie wojny, dlatego w głównej mierze musiał polegać na swojej pamięci. Na podstawie notatek, które się zachowały, przedstawił między innymi pomysł założenia własnej sekty. Uznał, że przyciągnie do siebie wiele młodych osób, gdyż

poznał istotę każdej religii. Po pewnym czasie wycofał się jednak z tego pomysłu.

W tym czasie Franklin wyszedł z propozycją utworzenia w Filadelfii milicji i pomysł został przyjęty, a sam pomysłodawca dostał od gubernatora rozkaz objęcia dowództwa nad wojskami stacjonującymi nad północno-zachodnią granicą. Franklin wraz z synem Williamem pełniącym rolę jego adiutanta udał się do Gnadenhut, gdzie rekrutował nowych członków milicji i wznosił forty. Po powrocie do Filadelfii został mianowany na pułkownika, A jego oficerowie oddali mu cześć, osobiście eskortując go poza miasto. To zdarzenie obraziło właściciela kolonii, Thomasa Penna, syna Williama Penna, który złożył skargę na Franklina. Jest to tylko jeden z licznych przykładów zatargów, które jątrzyły się między naszym bohaterem a właścicielami kolonii. Franklin dążył bowiem do tego, by ich majątki były opodatkowane w ten sam sposób co dobytek mieszkańców. Na to rozwiązanie nie chciał przystać żaden gubernator, ponieważ nominację na tę funkcję przyznawał właściciel kolonii, a nominowany zobowiązywał się do działania w jego interesie.

W trzeciej części opisał również to, jak w 1732 roku po raz pierwszy opublikował Almanach biednego Richarda. Almanach stanowi rodzaj publikacji cyklicznej, która zawiera wybrane artykuły i informacje odnoszące się do jednej lub wielu dziedzin. W przypadku almanachu wydawanego przez Franklina był to swego rodzaju kalendarz, w którym zaznaczono najważniejsze wydarzenia w danym roku. Franklin pragnął uczyć i wychowywać, w związku z czym w jego publikacji znajdowało się wiele porad napisanych w formie żartobliwych aforyzmów, np. „lenistwo idzie tak wolno, że dogania je nędza”, „trudno jest pustemu workowi stać prosto” czy też „pens zaoszczędzony to pens zarobiony”. Franklin wydawał almanach anonimowo, wcielając się w rolę fikcyjnego Richarda Saundersa – ubogiego człowieka potrzebującego pieniędzy, by spełniać zachcianki swojej żony. Almanach biednego Richarda osiągnął sukces i stał się bardzo popularny. Ponadto Franklin starał się edukować społeczeństwo za pomocą artykułów publikowanych w wydawanej

przez siebie „Pennsylvania Gazette”. Prasa drukarska stanowiła dla niego narzędzie, za pomocą którego mógł zaszczepić w Amerykanach poczucie moralności. Wśród jego słynnych maksym można wymienić: „Zdrowy rozsądek to rzecz, której każdy potrzebuje, mało kto posiada, a nikt nie wie, że mu jej brakuje”; „Człowiek mądry więcej uczy się od swoich wrogów niż głupiec od przyjaciół” czy też „Czas to pieniądz”.

W trzeciej części wspomnień Franklin opisuje również śmierć swojego czteroletniego syna, Francisa Folgera, który zmarł na ospę wietrzną. Zarzucał sobie, że mógł zapobiec tej tragedii, jeśli tylko zaszczepiłby chłopca, mimo że wcześniej wyśmiewał ten pomysł. Przestrzegał rodziców, którzy również obawiali się śmiertelnych skutków szczepień. Twierdził, że ból po stracie dziecka jest tak samo wielki, bez względu na to, czy było ono szczepione, natomiast jeżeli zostanie ono poddane temu zabiegowi, istnieje spora szansa na uniknięcie niepotrzebnych cierpień.

Kolejną kwestią opisaną przez Franklina w trzeciej części Autobiografii jest rozwój „Junty” pod koniec lat 30. XVIII wieku i jej podział na pomniejsze grupy, w których dyskutowano o ważnych kwestiach społecznych. W 1736 roku Franklin został oficjalnym pisarzem Zgromadzenia, co stanowiło jego pierwszy krok w polityce, a rok później objął posadę naczelnika poczty, co pozwoliło mu w łatwiejszy sposób rozprowadzać swoją gazetę. Dzięki pracy w Zgromadzeniu mógł zaproponować zmiany w działalności straży miejskiej i doprowadzić do wprowadzenia regulacji związanych z zapobieganiem pożarom, które zaowocowały utworzeniem kompanii ogniowej, wczesnego odpowiednika straży pożarnej. Już w 1737 roku jego kariera pisarza w Zgromadzeniu stanęła pod znakiem zapytania. Wybory na poszczególne stanowiska w Izbie przeprowadzano co roku. O ile znakomita większość Izby opowiadała się za kandydaturą Franklina, to jeden członek Zgromadzenia wysunął kandydaturę innej osoby. Tym samym los Franklina nie był pewny. Członek Izby, który zgłosił rywala Benjamina, wygłosił płomienne przemówienie, w którym z jednej strony wychwalał zalety

swojego protegowanego, a z drugiej wytykał wady naszego bohatera. Jego wysiłki na niewiele się jednak zdały, gdyż Franklin ponownie został wybrany na urząd pisarza. Nie chcąc, aby ta sytuacja powtórzyła się za rok, postanowił zawczasu zaskarbić sobie przychylność członka Zgromadzenia, który zgłosił jego rywala. Nie zamierzał mu jednak służalczo usługiwać ani pochlebiać. Obrał natomiast taktykę, która po latach została nazwana „efektem Franklina".

„Efekt Franklina", inaczej zwany „efektem wyświadczonej przysługi", oznacza tendencję do zmiany postawy na bardziej przyjazną wobec osób, dla których uczyniło się coś dobrego. Franklin wiedział, że wrogo nastawiony wobec niego członek Izby posiada pokaźny księgozbiór. Wobec tego wystosował do niego pisemną prośbę o pożyczenie rzadkiej książki, którą chciał przeczytać. Reprezentant Izby przysłał mu ją niemal natychmiast, a Benjamin zwrócił mu wolumin po tygodniu. Po tym zdarzeniu mężczyzna zaczął patrzeć na Franklina przychylniejszym okiem, a wraz z upływem czasu nawiązała się pomiędzy nimi przyjaźń.

W 1739 roku do Filadelfii przybył wędrowny kaznodzieja George Whitefield. Mimo ogromnych różnic w poglądach religijnych Franklin zajmował się drukiem jego kazań i innych pism. W tym czasie rozszerzył również działalność wydawniczą na inne kolonie, otwierając z sukcesem nowe oddziały swojej drukarni. Nadal prowadził aktywną działalność na rzecz polepszenia bytu mieszkańców swojej prowincji. Zaproponował między innymi wiele udoskonaleń w systemie obrony Pensylwanii. Piął się po szczeblach kariery administracyjnej, zajmując coraz wyższe stanowiska, co wiązało się z nowymi obowiązkami, takimi jak prowadzenie negocjacji z Indianami.

W 1753 roku Benjamin Franklin został mianowany na urząd generalnego poczmistrza. Rok później wszystko wskazywało na to, że wojna z Francją może rychło zakończyć się porażką. W związku z tym przedstawiciele poszczególnych kolonii, w tym Franklin, spotykali

się z Indianami, aby omówić kwestię obrony. Tymczasem Franklin wysunął propozycję połączenia kolonii, ale nie została ona przyjęta. Obawiano się, że takie postępowanie sprawi, że kolonie zyskają zbyt dużą autonomię, będą zbyt zmilitaryzowane i odłączą się od Korony Brytyjskiej. Ponieważ Anglia nie chciała wyrazić zgody na to, żeby kolonie same zajmowały się kwestiami obrony, wysłano posiłki. Na miejsce przybył generał Braddock wraz z dwoma pułkami, a Franklin pomógł mu w zdobyciu wozów i koni. Próbował również ostrzec generała przed niebezpieczeństwem ze strony Indian, ale ten zbagatelizował sprawę, twierdząc, że armia brytyjska jest niepokonana i na pewno sobie poradzi. Jak się okazało, duma generała doprowadziła do porażki. Podczas starcia z Indianami został śmiertelnie ranny, a jego wojska zdziesiątkowane. Żołnierze, którym udało się przeżyć, uciekli w popłochu, zostawiając za sobą wszelkie zapasy.

W 1740 roku ujrzał światło dzienne jeden z jego pierwszych wynalazków, piec Franklina. Wynalazca odmówił jego opatentowania, twierdząc, że działał w służbie ogółu społeczeństwa i korzystał z osiągnięć innych osób. Piec nie był jedynym ulepszeniem życia ludności, jakie można przypisać Franklinowi. Pomógł on między innymi doktorowi Thomasowi Bondowi w zbiórce pieniędzy na szpital oraz doprowadził do położenia bruku na miejskich ulicach. Ponadto w 1743 roku wpadł na pomysł utworzenia akademii, która w późniejszym czasie stała się Uniwersytetem Pensylwańskim. Rok później z inicjatywy Franklina zostało utworzone Towarzystwo Filozoficzne, w którym naukowcy i myśliciele mogli wymieniać się poglądami i dokonaniami.

Następnie Franklin pozwolił sobie na dygresję i omówił „rozwój swojej reputacji naukowej”, opowiadając o początkach eksperymentów z elektrycznością. Swoje dokonania opisał w listach do angielskich przyjaciół, które zostały opublikowane w Anglii w formie książki. Opis eksperymentów Franklina został przetłumaczony na język francuski i wpadł w ręce Abbé Nolleta – francuskiego uczonego, który również zajmował się badaniami nad

elektrycznością. Duchowny poczuł się urażony, ponieważ praca Franklina podważała jego teorię elektryczności. Chcąc bronić swoich tez, opublikował książkę z listami atakującymi Franklina. Ten początkowo chciał mu odpowiedzieć, ale po namyśle wstrzymał się z ripostą, gdyż doszedł do wniosku, że każdy może zweryfikować jego eksperymenty, ponieważ łatwo można samodzielnie je wykonać. Dodatkowo inni autorzy zaczęli obalać tezy Nolleta. Stopniowo poglądy Franklina stawały się coraz bardziej rozpoznawalne i akceptowane przez europejską społeczność naukową. Co więcej, dzięki swoim odkryciom Franklin został również wybrany honorowym członkiem londyńskiego Towarzystwa Królewskiego.

Ta walka nie była jedyną, jaką Franklin toczył w tamtym czasie. W 1765 roku brytyjski parlament uchwalił ustawę stemplową, według której wszystkie dokumenty cywilne, takie jak weksle czy certyfikaty ślubne, miały podlegać opłacie na rzecz rządu centralnego. Ludność kolonii sądziła, że ustawa ta stanowi bezprawne nakładanie podatków przez londyński parlament. Franklin nie zdawał sobie sprawy z nastrojów społecznych, jakie wywoływała ta ustawa. Popełnił błąd polityczny i polecił swojego przyjaciela na stanowisko dystrybutora stempli w Pensylwanii. Mieszkańcy tego stanu byli tym faktem oburzeni, gdyż byli święcie przekonani, że przez cały czas wspierał ich interesy, a powołanie znajomego na urząd świadczyło nie tylko o nepotyzmie, lecz także o osobistym wsparciu dla pomysłu. Franklinowi grożono nawet zniszczeniem jego domu w Filadelfii. Gdy dowiedział się on o skutkach tej ustawy, starał się załagodzić sytuację i zwrócił się do Izby Gmin, która na skutek jego przemówienia uchyliła ustawę. Dzięki temu Franklin stał się głównym rzecznikiem amerykańskich interesów w Anglii. Pisał eseje w imieniu kolonii Georgia, New Jersey i Massachusetts, które tak samo jak Pensylwania wyznaczyły go jako swojego przedstawiciela przed Koroną. Reprezentował te stany między innymi w podnoszonej przez parlament kwestii kosztów poniesionych na wojnę o panowanie w Ameryce Północnej prowadzonej z Francuzami i Indianami. Planowano obarczyć nimi Amerykanów, nakładając na nich specjalne podatki. Franklin bronił interesów kolonii, twierdząc, że Amerykanie i

tak ponieśli wiele wydatków na obronę Królestwa. Powiedział, że lokalne samorządy na walki z Francją zrekrutowały i opłaciły dwadzieścia pięć tysięcy żołnierzy (czyli tyle samo, ile wysłała Wielka Brytania), a także poniosły w związku z działaniami wojennymi milionowe wydatki. Wysiłki Franklina na niewiele się jednak zdały, a rząd brytyjski nadal opowiadał się za nałożeniem kolejnych podatków na Amerykanów. Poglądy Franklina wraz z upływem czasu radykalizowały się i w coraz większym stopniu stawał w kontrze do zwierzchności Parlamentu Brytyjskiego nad Ameryką.

Po dygresji na temat swoich osiągnięć naukowych Benjamin Franklin powrócił do głównego wątku. W Filadelfii pojawił się nowy gubernator. Zmiana na tym stanowisku nie oznaczała wcale, że zakopano topór wojenny między nim a Zgromadzeniem. Nowy gubernator wciąż odrzucał uchwały budżetowe Zgromadzenia, gdyż musiał postępować zgodnie z wytycznymi wydanymi przez właściciela kolonii. Ponieważ spory między gubernatorem a Zgromadzeniem zaostrzały się, zaproponowano, aby Franklin udał się do angielskiego króla z petycją w sprawie zmniejszenia wpływów gubernatora i właściciela kolonii oraz ustanowienia sprawiedliwych podatków. Plany te spaliły jednak na panewce, gdyż do miasta przybył wtenczas lord Loudoun, który w imieniu angielskiego rządu miał pośredniczyć w negocjacjach pomiędzy zwaśnionymi stronami. Choć udało się wypracować kompromis, to Franklin i tak wkrótce udał się wraz z synem do Anglii, po drodze zatrzymując się w Nowym Jorku. Właśnie w tym mieście tym wyszły na jaw niekompetencja i opieszałość lorda Loudouna, przez co wyjazd Franklina do Anglii opóźnił się o kilka miesięcy. Trzecia część Autobiografii kończy się przybyciem Franklina do Londynu 27 lipca 1757 roku.

Czwartą, ostatnią część wspomnień Franklin napisał w okresie między listopadem 1789 roku a swoją śmiercią, która miała miejsce 17 kwietnia 1790 roku. W porównaniu z poprzednimi sekcjami jest ona bardzo krótka. Zawiera ona opis tego, jak po przyjeździe Franklina i jego syna do Londynu doktor Fothergill doradził temu

pierwszemu jak najlepiej bronić swojej sprawy w imieniu kolonistów. Franklin odwiedził tam lorda Grenville'a, przewodniczącego Tajnej Rady Króla, który stanowczo stwierdził, że to monarcha jest ustawodawcą kolonii, a sprawa Franklina jest z góry przegrana. Postawa lorda Grenville'a nie zniechęciła Franklina, który spotkał się z właścicielami ziemskimi i przedstawił im skargi osadników. Właściciele ziemscy poprosili go o napisanie streszczenia z jego wypowiedzi, aby mogli je na spokojnie przemyśleć. Gdy otrzymali od niego stosowne pismo, przekazali je swojemu zaufanemu prawnikowi, który z powodu osobistej wrogości do Franklina zwlekał z odpowiedzią. Ostatecznie została ona wystosowana przeszło rok później, przy czym nie otrzymał jej sam Franklin, ale została nadana bezpośrednio do Zgromadzenia, które reprezentował. Tymczasem Zgromadzenie nakłoniło gubernatora do zaakceptowania ustawy podatkowej, którą Franklin obronił przed angielskim sądem i na którą uzyskał królewską zgodę. Podczas gdy Zgromadzenie podziękowało Benjaminowi Franklinowi za jego zasługi, właściciele ziemscy, wściekli na gubernatora, wypędzili go i zagrozili wszczęciem przeciwko niemu postępowania sądowego. Autobiografia kończy się stwierdzeniem, że gubernator za nic miał te groźby, które i tak nie zostały spełnione.

Gdyby nie śmierć Franklina w 1790 roku, zapewne poznalibyśmy więcej historii z jego życia. Opowieść skończył na roku 1757, więc do opisania zostały mu jeszcze trzydzieści trzy lata, podczas których wiele się działo. Franklin bowiem przestał zajmować się sprawami ważnymi wyłącznie dla osadników z Pensylwanii, a rozszerzył działalność na wszystkich mieszkańców Ameryki. Od 1757 roku, w którym skończył opowieść, do 1790, w którym zmarł, przebywał głównie za granicą. Mniej więcej do połowy lat 70. XVIII wieku kursował między Filadelfią a Londynem, gdzie – choć oficjalnie pełnił publiczne obowiązki – wiele czasu poświęcał także na pracę nad nowymi wynalazkami i poznawanie znamienitych osób. W tym czasie odbywał podróże również do innych krajów, w tym do Irlandii.

Wielu członków Zgromadzenia Pensylwanii nadal prowadziło spory ze spadkobiercami Williama Penna, którzy kontrolowali kolonię będąc jej właścicielami. Po powrocie do kolonii Franklin przewodził „partii antywłasnościowej" w walce z rodziną Pennów. Ponieważ wysuwał coraz to śmielsze żądania dotyczące odsunięcia właścicieli od władzy, ludność Pensylwanii zaczęła obawiać się, że takie posunięcia mogą zagrozić jej wolnościom politycznym i religijnym. Z powodu tych obaw i ataków politycznych w październiku 1764 roku Franklin stracił miejsce w wyborach do Zgromadzenia. Utrata urzędu nie zniechęciła go jednak i nadal walczył z właścicielami ziemskimi. Po krótkim pobycie w Ameryce partia antywłasnościowa ponownie wysłała Franklina do Londynu, aby kontynuował tam spór z rodziną Pennów.

Opisane w Autobiografii porozumienie osiągnięte z właścicielami ziemskimi nie oznaczało wcale, że nastanie czas pokoju. W 1763 roku, wkrótce po tym, jak Franklin po raz pierwszy wrócił z Anglii do Pensylwanii, na zachodniej granicy toczyła się zaciekła wojna znana jako Powstanie Pontiaca. Grupa osadników, tzw. Paxton Boys, była przekonana, że władze Pensylwanii nie robią wystarczająco dużo, aby uchronić ich przed najazdami Indian. W związku z tym postanowili wziąć sprawy w swoje ręce i wymordowali grupę Indian Susquehannock, po czym ruszyli na Filadelfię. Franklin pomógł zorganizować lokalną milicję do obrony stolicy przed tłumem. Spotkał się z przywódcami Paxton Boys i przekonał ich do zmiany postawy. W późniejszym czasie Franklin w jednym z artykułów krytycznie skomentował uprzedzenia rasowe Paxton Boys, pisząc: „Jeśli jeden Indianin mnie skrzywdzi, czy to znaczy, że mogę zemścić się na nich wszystkich?".

Biorąc pod uwagę jego karierę naukową, najbardziej znany jest z badań nad elektrycznością atmosferyczną. Analizując zjawiska elektryczne, postawił tezę o elektryzowaniu dodatnim i ujemnym, co następnie udowodnił na przykładzie tzw. butelki lejdejskiej. Urządzenie to było szklaną butelką, której obie powierzchnie – zewnętrzna i wewnętrzna – pokryte były odizolowanymi warstwami metalu. Był to pierwszy na świecie kondensator, pozwalający na

gromadzenie ładunku elektrycznego. Franklin doszedł do wniosku, że ciała naelektryzowane jednakowo będą się odpycha , zaś ciała, z których jedno jest naelektryzowane dodatnio, a drugie ujemnie – będą się przyciągać. Wiele osób słusznie kojarzy naukowe doświadczenia Benjamina Franklina z latawcami. W czerwcu 1752 roku przeprowadził przełomowy eksperyment, który polegał na przechwyceniu elektryczności właśnie za pomocą latawca i przymocowanego do niego klucza. W obecnych czasach przestrzega się dzieci, by podczas burzy unikały wysokich obiektów i nie wychodziły na zewnątrz z niczym, co mogłoby przyciągnąć pioruny, zaś w czasach Franklina, kiedy wiedza o prądzie była jeszcze niewielka, a dziedzina nauk elektrycznych dopiero raczkowała, podejmowane przez niego badania wymagały nie lada odwagi. Aby nie zostać porażonym przez piorun, przymocował do sznurka jedwabną tasiemkę, która miała stanowić swego rodzaju izolator. Gdy dotknął klucza, zauważył przeskakującą pod palcem iskrę. Namoczony sznur okazał się dobrym przewodnikiem elektryczności. Doświadczenie to powtórzył niecały rok później i zauważył to samo zjawisko. Franklin udowodnił, że ładunki elektryczne, które przemieszczają się z chmur burzowych po mokrym sznurze, są w stanie naładować butelkę lejdejską. Dzięki tym eksperymentom wpadł na pomysł stworzenia zabezpieczenia przed wyładowaniami elektrycznymi za pomocą uziemienia i jako pierwszy w Ameryce skonstruował piorunochron. Warto jednak mieć na względzie, że w tym samym czasie w Europie czeski uczony Václav Prokop Diviš dokonał tego samego odkrycia, a w pierwszej połowie osiemnastego wieku instalację chroniącą przed piorunami wzniesiono w Imperium Rosyjskim przy krzywej wieży w Niewiańsku. Zarówno czeski naukowiec, jak i Franklin oraz rosyjscy inżynierowie dokonali swoich odkryć oddzielnie i w podobnym czasie, więc tak naprawdę nie wiadomo, komu należy przyznać palmę pierwszeństwa za ten wynalazek. Na szczęście dla naszego bohatera w przypadku innych jego wynalazków, takich jak bezdymny piec, fotel bujany czy też okulary dwuogniskowe, określenie ich autorstwa nie wzbudza żadnych wątpliwości. Franklin nieustannie szukał sposobów, dzięki którym mógłby ułatwić życie sobie i innym. Na pomysł stworzenia

wspomnianych już okularów dwuogniskowych wpadł, ponieważ miał dosyć zakładania, ściągania i noszenia ze sobą dwóch par szkieł korekcyjnych – do czytania i do patrzenia w dal. Dlatego też opracował specjalną soczewkę, która spełniała obie te funkcje jednocześnie. Mając na względzie udogodnienia wynalezione przez Franklina, można przypuszczać, że kierował się on zasadą „potrzeba matką wynalazku", ponieważ stanowiły one odpowiedź na wiele z jego własnych potrzeb.

W 1772 roku do rąk Franklina trafiły prywatne listy Thomasa Hutchinsona i Andrew Olivera, gubernatora i wicegubernatora prowincji Massachusetts Bay, które dowodziły, że zachęcali Koronę do zastosowania przemocy wobec nieposłusznych mieszkańców Bostonu. Franklin wysłał je do Ameryki, gdzie doprowadziły do eskalacji napięcia. W połowie czerwca 1773 roku listy opublikowane w „Boston Gazette" trafiły do opinii publicznej i wywołały w Massachusetts polityczną burzę. Brytyjczycy zaczęli postrzegać Franklina jako prowodyra poważnych kłopotów, w jakich się znaleźli. Franklin porzucił wszelkie nadzieje na pokojowe rozwiązanie konfliktu, kiedy został wyśmiany i upokorzony przez prokuratora generalnego Alexandra Wedderburna przed Tajną Radą. Ponadto doszły go słuchy o niespokojnej sytuacji w Ameryce, w tym o tzw. herbatce bostońskiej, czyli proteście politycznym mieszkańców Bostonu, przeciwko polityce fiskalnej metropolii. Pod wpływem tych informacji postanowił wrócić do domu. Na początku 1775 roku zrezygnował ze stanowiska reprezentanta kolonii i przybył do Filadelfii.

Niedługo po tym, jak Franklin powrócił z drugiej misji dyplomatycznej w Anglii do Pensylwanii, rewolucja amerykańska rozgorzała na dobre. W Lexington i Concord doszło do potyczek między kolonistami a Brytyjczykami. Milicja Nowej Anglii zmusiła armię brytyjską do pozostania w Bostonie. Zgromadzenie Pensylwanii jednogłośnie wybrało Franklina na swojego delegata na II Kongres Kontynentalny, A w czerwcu 1776 roku został on powołany na członka Komitetu Pięciu, który odpowiadał za przygotowanie

Deklaracji Niepodległości. W tym czasie Franklin cierpiał z powodu dny moczanowej, lecz mimo to wciąż pracował nad projektem przesłanym mu przez Thomasa Jeffersona i wprowadził w nim „małe, ale ważne zmiany". Podczas podpisywania dokumentu John Hancock stwierdził, że wszyscy muszą trzymać się razem. Franklin miał wtedy odpowiedzieć: „Tak, z całą pewnością musimy trzymać się razem, bo inaczej będziemy wszyscy wisieć oddzielnie". Podpisanie Deklaracji Niepodległości otworzyło całkiem nowy rozdział nie tylko w życiu Franklina, lecz także wszystkich Amerykanów, którzy od tej pory stali się autonomicznym narodem.

W 1785 roku Franklin wrócił do Ameryki. Zajął zaszczytne drugie miejsce po Jerzym Waszyngtonie jako obrońca amerykańskiej niepodległości. Powitano go z honorami, choć wrócił z Francji z niewyjaśnionym brakiem stu tysięcy funtów pochodzących ze środków Kongresu. W odpowiedzi na pytanie członka Kongresu w tej sprawie, Franklin, cytując Biblię, zażartował: „Nie zawiążesz pyska wołowi młócącemu" oraz „godzien jest robotnik zapłaty swojej". Kongres nigdy więcej nie wspomniał o brakujących funduszach. Siedemdziesięciodziewięcioletni Franklin ani nie myślał o przejściu na emeryturę. Po powrocie do Stanów ponownie zaangażował się w sprawy polityczne. Został przewodniczącym Najwyższej Rady Wykonawczej Stanu Pensylwania. W 1787 roku uczestniczył w Konwencji Konstytucyjnej, ale większość jego postulatów odrzucono. Mimo to udało się uchwalić dokument. Kiedy podpisywał Konstytucję Stanów Zjednoczonych, nie czuł się najlepiej. Pod koniec życia zmagał się bowiem z wieloma chorobami, w tym z dną moczanową, do których w dużym stopniu przyczyniła się jego otyłość. Od czasu złożenia podpisu pod Konstytucją rzadko pokazywał się publicznie, gdyż nie pozwalał na to stan jego zdrowia. Aby ulżyć sobie w cierpieniu uciekał się do zażywania opium. Zmarł 17 kwietnia 1790 roku, w wieku osiemdziesięciu czterech lat, w swoim domu w Filadelfii. Przyczyną śmierci było zapalenie opłucnej. Jego ostatnie słowa brzmiały: „umierającemu człowiekowi nic nie przychodzi z łatwością". Wypowiedział je do córki, która zasugerowała mu, by zmienił pozycję w łóżku, co pomogłoby mu w oddychaniu. Nawet na

łożu śmierci postępował wedle swojego uznania i nikogo się nie słuchał.

W grudniu 1776 roku, parę miesięcy po ogłoszeniu Deklaracji Niepodległości, Franklin został wysłany do Francji jako komisarz Stanów Zjednoczonych. W podróży towarzyszył mu szesnastoletni wnuk, William Temple Franklin, którego uczynił swoim sekretarzem. Mieszkali w domu na przedmieściach Paryża, Passy, który ofiarował im Jacques-Donatien Le Ray de Chaumont. Franklin pozostał we Francji do 1785 roku. Reprezentował Stany Zjednoczone przed narodem francuskim, osiągając wiele sukcesów, takich jak uzyskanie krytycznego sojuszu wojskowego w 1778 roku oraz negocjowanie pokoju wersalskiego w 1783 roku, który zakończył wojnę o niepodległość Stanów Zjednoczonych.

Jeszcze w czasach kolonialnych, kiedy zasiadał w Zgromadzeniu, zasłynął zarówno jako twórca ustaw, jak i polemista, przy czym piastowany przez niego urząd został splamiony tym, że Franklin wykorzystał zajmowaną przez siebie pozycję do wspierania swoich znajomych. Podczas pobytu w Londynie, kiedy prowadził działania mające na celu sprzeciwienie się proponowanemu arbitralnemu opodatkowaniu, znacznie stracił z tego powodu na wiarygodności jako mąż zaufania, ponieważ zapewnił przyjacielowi w Ameryce urząd agenta skarbowego. Nepotyzm jest jednak jedną z nielicznych rzeczy, które można mu zarzucić. Jego najważniejszą zasługą w polityce wewnętrznej była reforma systemu podatkowego, a sława jaką zaskarbił sobie jako mąż stanu opierała się głównie na fundamencie zasług związanych ze stosunkami kolonii z Wielką Brytanią, a później z Francją. Franklina zwykło się tytułować „pierwszym Amerykaninem” w uznaniu za jego wysiłki na rzecz zjednoczenia kolonii w czasach, w których jeszcze nikomu nie śniła się niezależność od zwierzchności króla Anglii. Franklin odegrał fundamentalną rolę w zdefiniowaniu amerykańskiego etosu narodowego jako połączenia praktycznych wartości gospodarności, ciężkiej pracy, edukacji, ducha wspólnoty, samorządnych instytucji i sprzeciwu wobec autorytaryzmu, zarówno politycznego, jak i

religijnego, zgodnie z naukowymi i tolerancyjnymi wartościami oświecenia.

Część pierwsza

Dzieje Franklinów

Twyford, biskupstwo św. Asafa, rok 1771

Drogi Synu! Zawsze lubowałem się w zbieraniu małych anegdot o historii moich przodków. Być może pamiętasz dochodzenie, które przeprowadziłem wśród nielicznych żyjących jeszcze krewnych, kiedy byłeś ze mną w Anglii, i podróż, jaką w tym celu odbyłem. Wyobrażam sobie, że i dla ciebie przyjemnością byłoby poznać niektóre zdarzenia z mojego życia, bo wielu jeszcze nie znasz. Korzystając z przyjemności zaznawania tygodniowego nieprzerwanego wypoczynku w mojej wiejskiej ostoi, siadam, aby je spisać. Skłaniają mnie do tego również inne argumenty. Wyrwawszy się z biedy i ciemności, w których się urodziłem i wychowałem, dochodząc do stanu dostatku i pewnego stopnia uznania na świecie przeszedłem długą drogę przez życie, ciesząc się niemałym szczęściem. Korzystałem na niej ze środków, które dzięki błogosławieństwu Bożemu dobrze mi dopomogły. Moi potomkowie być może zechcą poznać te środki, a niektóre z nich uznają za właściwe do zastosowania w ich własnym położeniu, a zatem nadające się do naśladowania.

Kiedy się nad tym zastanawiałem, zaznane przeze mnie szczęście skłaniało mnie czasem do stwierdzenia, że gdyby zaproponowano mi powtórzenie tego samego życia od początku, nie miałbym nic

przeciwko temu. Poprosiłbym jedynie o przywilej, jaki mają pisarze w przypadku drugiego wydania książki, kiedy to mogą naprawić niektóre błędy pierwowzoru. Mógłbym także, poza poprawieniem błędów, zmienić bieg niektórych negatywnych wypadków na bardziej korzystny. Nawet jeśli byłoby to niemożliwe, nadal sądzę, że powinienem przyjąć taką ofertę. Ponieważ jednak takiej możliwości nie należy się spodziewać, następną rzeczą, która najbardziej przypomina przeżycie swojego życia na nowo jest – jak mi się wydaje – jego wspomnienie i uczynienie tego wspomnienia tak trwałym, jak to tylko możliwe, poprzez uwiecznienie go na papierze.

Niniejszym pozwolę sobie również na tak naturalną u starców skłonność do mówienia o sobie i swoich przeszłych czynach. Pozwolę sobie na to, nie musząc męczyć postronnych, którzy ze względu na mój wiek mogliby poczuć się zobowiązani do wysłuchania mnie, a tak mogą sami zdecydować, czy zechcą oddać się lekturze. I, na koniec (mogę to swobodnie wyznać, skoro i tak nikt nie uwierzy, jeśli bym temu zaprzeczył), być może w znacznym stopniu zaspokoję własną próżność. Rzeczywiście, rzadko kiedy słyszałem czy widziałem, aby ktoś wypowiadał wprowadzające słowa: „mogę skromnie powiedzieć", tak aby nie występował po nich wyraz własnego uwielbienia. Większość ludzi nie lubi tej cechy u innych, niezależnie od tego, jak duży sami mają w niej udział. Potrafię to jednak usprawiedliwić. Gdziekolwiek spotykam się z takim zachowaniem, wychodzę z założenia, że często przynosi ono dobro zarówno postępującym w ten sposób jak i innym, którzy znajdują się akurat w jego strefie wpływu. Dlatego też w wielu przypadkach nie byłoby całkowicie absurdalne, gdyby człowiek miał dziękować Bogu za swoją próżność, gdy żyje w dostatku, otoczony wygodami.

Mówiąc o dziękowaniu Bogu, z całą pokorą pragnę przyznać, że wspomniane szczęście, jakiego dotychczas zaznałem w życiu, zawdzięczam Jego życzliwej Opatrzności, która doprowadziła mnie do poznania rozwiązań, które zastosowałem i które przyniosły mi sukces. Moja wiara skłania mnie do nadziei – choć nie mogę niczego zakładać – że wciąż będzie mi okazywana ta sama dobroć i szczęście

nadal będzie mi towarzyszyć w życiu. Wierzę, że uda mi się uniknąć fatalnego obrotu spraw, którego mogę doświadczyć tak samo jak inni ludzie. Mój przyszły los jest znany tylko Jemu i moja pomyślność leży w Jego mocy, która błogosławi nam nawet w chwilach utrapienia.

Notatki, które wręczył mi niegdyś jeden z moich wujów (przejawiający taką samą pasję do zbierania anegdot rodzinnych), dostarczyły mi wiedzy o kilku szczegółach dotyczących naszych przodków. Dowiedziałem się z nich, że nasza rodzina mieszkała w tej samej wiosce Ecton w Northamptonshire przez trzysta lat (być może od czasu, gdy słowo „franklin", którym wcześniej określano pewną warstwę społeczną, zostało przez nich przyjęte jako nazwisko i rozpoczęto nadawanie go ludziom w całym królestwie), a może nawet i dłużej. Należąca do nich działka zajmowała około trzydzieści akrów i aż do czasów owego wuja prowadzono na niej kuźnię. Najstarszy syn tradycyjnie zawsze przejmował schedę po ojcu i tego zwyczaju przestrzegali również mój ojciec z wujem. Kiedy przeszukiwałem rejestry w Ecton, znalazłem akty narodzin, ślubów i pochówków tylko do 1555 roku. W parafii nie zachowały się żadne wcześniejsze dokumenty. Na podstawie tych rejestrów dowiedziałem się, że byłem najmłodszym synem najmłodszego syna od pięciu pokoleń wstecz. Mój dziadek Thomas, który urodził się w 1598 roku, mieszkał w Ecton do czasu, gdy ze starości nie mógł już prowadzić interesów. Przeprowadził się wówczas do swojego syna Johna, farbiarza z Banbury w Oxfordshire, u którego mój ojciec odbywał praktykę. Tam mój dziadek umarł i został pochowany. Widzieliśmy jego nagrobek w 1758 roku. Jego najstarszy syn, Thomas, mieszkał w domu w Ecton i zostawił go wraz z ziemią jedynemu dziecku, córce, która wraz z mężem, niejakim Fisherem z Wellingborough, sprzedała go panu Istedowi, który obecnie zarządza tamtejszą posiadłością. Mój dziadek miał czterech synów, którzy dożyli dorosłości, a mianowicie: Thomasa, Johna, Benjamina i Josiaha. Opowiem ci, co pamiętam z badania tych dokumentów, a jeśli nie zginą one podczas mojej nieobecności, sam znajdziesz w nich o wiele więcej szczegółów.

Thomas uczył się zawodu kowala pod kierunkiem swojego ojca, ale będąc pomysłowym i chętnym do nauki (jak wszyscy moi bracia), za sprawą Esquire Palmera, wówczas największego dżentelmena w tej parafii, podjął się samodzielnej nauki czytania i pisania. Dzięki tej umiejętności stał się w hrabstwie ważnym człowiekiem. Był głównym inicjatorem wszelakich przedsięwzięć o charakterze publicznym dla hrabstwa oraz dla miasta Northampton i swojej własnej wioski, co przykuło uwagę lorda Halifaksa, który objął patronat nad jego działaniami. Zmarł 6 stycznia 1702 roku, zaledwie cztery lata przed dniem moich narodzin. Przypominam sobie, że relacja o jego życiu i charakterze, jaką otrzymaliśmy od starszych ludzi z Ecton, wydała ci się czymś niezwykłym ze względu na podobieństwo do tego, co wiedziałeś o mojej własnej biografii. „Gdyby umarł tego samego dnia", powiedziałeś, „można byłoby przypuszczać, że to wędrówka dusz".

Johna przysposabiano na farbiarza – jak mi się zdaje – wełny. Benjamin uczył się zawodu farbiarza jedwabiu i odbywał praktykę w Londynie. Był genialnym człowiekiem. Pamiętam go dobrze, bo kiedy byłem chłopcem, przyjechał do mojego ojca w Bostonie i mieszkał z nami przez kilka lat. Dożył pięknego wieku. Jego wnuk, Samuel Franklin, mieszka obecnie w Bostonie. Benjamin pozostawił po sobie dwa tomy własnej poezji obejmujące niewielkie okazjonalne utwory adresowane do przyjaciół i krewnych. Tworzył własne stenogramy, czego próbował mnie nauczyć, ale nigdy tego nie praktykowałem, a teraz już zapomniałem jak to robić. Ponieważ między nim a moim ojcem nawiązała się szczególna nić sympatii, zostałem nazwany imieniem tego wuja. Był bardzo pobożny. Zapalczywie słuchał kazań najlepszych kaznodziejów, które spisywał w stenogramach i nosił je przy sobie. Był też swego rodzaju politykiem, choć być może to za duże stwierdzenie jak na jego stanowisko. Niedawno w Londynie w moje ręce wpadł zbiór, który stworzył ze wszystkich głównych broszur dotyczących spraw publicznych od 1641 do 1717 roku (jak wynika z numeracji). Wiele tomów jest niekompletnych, ale nadal pozostaje osiem tomów wydanych w [formacie] folio i dwadzieścia cztery w quarto i octavo. Znalazł je i przyniósł mi sprzedawca starych

książek, u którego czasami robiłem zakupy. Wygląda na to, że mój wuj musiał je tam zostawić, kiedy jakieś pięćdziesiąt lat temu wyjechał do Ameryki. Na marginesach można znaleźć wiele jego notatek.

Nasza rodzina od wczesnego etapu reformacji była protestancka, nawet podczas panowania królowej Marii, kiedy czasami groziło jej niebezpieczeństwo z powodu gorliwego sprzeciwu wobec zwierzchności papiestwa. Posiadali anglikańską Biblię i aby ją ukryć oraz zabezpieczyć, przyczepiali ją taśmami pod znajdującym się przy stole siedziskiem. Mój prapradziadek, kiedy chciał przeczytać rodzinie jakiś jej fragment, odwracał stołek do góry nogami, a następnie delikatnie przewracał karty księgi umocowanej pomiędzy taśmami. Jedno z dzieci stało przy drzwiach na czatach i miało alarmować, gdyby zobaczyło nadchodzącego duchownego. W takim przypadku stołek ponownie ustawiano na nogach, podczas gdy Biblia pozostawała pod nim ukryta. Tę anegdotę opowiedział mi wuj Benjamin. Rodzina należała do Kościoła anglikańskiego aż do końca panowania Karola II. Wówczas Benjamin i Josiah przyłączyli się do grupy duchownych, którzy zostali wygnani z powodu nonkonformistycznego sposobu prowadzenia klasztorów w Northamptonshire i pozostali przy nich do końca życia, podczas gdy reszta rodziny nadal przynależała do Kościoła Episkopalnego.

Ojciec – Josiah Franklin i jego rodzina

Josiah, mój ojciec, ożenił się w młodym wieku i około 1682 roku przywiózł żonę z trójką dzieci do Nowej Anglii. Zakazanie prawem

dalszego działania klasztorów, których spokój często był zakłócany, skłoniły kilku ważnych dla niego znajomych do przeniesienia się do Stanów Zjednoczonych. Postanowił towarzyszyć im w podróży do miejsca, gdzie – jak oczekiwali – będą mogli swobodnie cieszyć się swoim wyznaniem. Ze związku z pierwszą żoną urodziło się tam czworo dzieci, a z drugą kolejnych dziesięcioro – w sumie miał ich siedemnaścioro. Pamiętam trzynaścioro z nich siedzących przy jednym stole. Wszyscy osiągnęli wiek dorosły i weszli w związki małżeńskie.

Byłem najmłodszym synem, choć nie najmłodszym dzieckiem, gdyż miałem jeszcze dwie młodsze siostry. Urodziłem się w Bostonie w Nowej Anglii. Moją matką, drugą żoną ojca, była Abiah Folger, córka Petera Folgera, jednego z pierwszych osadników w Nowej Anglii. Cotton Mather w spisanej przez siebie kościelnej historii Stanów Zjednoczonych, zatytułowanej Magnalia Christi Americana, wspomina go jako „pobożnego, uczonego Anglika", o ile dobrze pamiętam te słowa. Słyszałem, że napisał wiele małych, okazjonalnych prac, ale tylko jedną z nich opublikowano. Widziałem ją wiele lat temu. Praca ta została napisana w 1675 roku jako wiersz oddający ducha tamtych czasów i była skierowana do osób, które wówczas sprawowały władzę. Autor opowiadał się za wolnością sumienia oraz w imieniu baptystów, kwakrów i innych prześladowanych wyznań przypisywał wojny z Indianami i inne cierpienia, które spadły na kraj, karze boskiej za haniebne postępowanie. Nawoływał do uchylenia tych drakońskich praw religijnych. Całość w odbiorze wydała mi się napisana z dużą dozą przyzwoitej prostoty i męskiej swobody. Pamiętałem sześć końcowych wersów. Chociaż zapomniałem dwóch pierwszych, to przypominam sobie, że ich znaczenie było takie, iż jego ostra krytyka wynikała z dobrej woli, a pod swoimi osądami podpisuje się jako ich autor.

Ponieważ być oszczercą (powiada on)

Nienawidzę całym sercem;

Z miasta Sherburne, gdzie teraz mieszkam

Moje imię umieszczam tutaj;

Bez obrazy, twój prawdziwy przyjaciel

To jest Peter Folger

Moi starsi bracia przyuczali się do różnych zawodów. W wieku ośmiu lat trafiłem do szkoły parafialnej, a ojciec zamierzał przeznaczyć mnie, dziesiątego syna, niczym dziesięcinę na służbę Kościołowi. Moja gotowość do nauki czytania (która musiała pojawić się bardzo wcześnie, bo nie pamiętam czasów, kiedy nie umiałem czytać) i opinia wszystkich jego przyjaciół, że z pewnością byłbym dobrym uczonym, utwierdziły go w tym przekonaniu. Mój wuj Benjamin również pochwalił ten pomysł i zaproponował, że podaruje mi wszystkie swoje krótkie tomiki kazań, choć musiałem obiecać, że zgłębię jego sposób spisywania stenografii. W szkole parafialnej pozostałem jeszcze niecały rok. Stopniowo zacząłem osiągać coraz lepsze wyniki na tle klasy, aż w końcu stałem się najlepszy, a następnie zostałem przeniesiony do wyższej klasy i pozostałem w niej do końca roku. Tymczasem mój ojciec, uwzględniwszy koszty edukacji na studiach uniwersyteckich, na które nie mógł sobie pozwolić, zmienił swój pierwotny zamiar. Mając tak dużą rodzinę oraz wiedząc jak skromne życie prowadzi wiele wykształconych osób (przynajmniej te powody podawał przyjaciołom) zabrał mnie ze szkoły parafialnej i wysłał na lekcje pisania i arytmetyki prowadzone przez słynnego wówczas nauczyciela pana George'a Brownella. Był to człowiek odnoszący duże sukcesy w swoim zawodzie i stosujący łagodne, zachęcające metody. Pod jego okiem dość szybko nauczyłem się nieźle pisać, za to gorzej szło mi z arytmetyką i nie

poczyniłem w niej żadnego postępu. Kiedy miałem dziesięć lat zabrano mnie stamtąd do domu, abym pomógł ojcu w jego interesie, czyli w prowadzeniu zakładu przerobu mydła i świec. Ojciec podjął się tego zajęcia zaraz po przyjeździe do Nowej Anglii, choć nie był do niego przysposobiony, ale pracując jako farbiarz, nie utrzymałby rodziny, ponieważ nie miał zbyt wielu zleceń. Pomagałem mu w pracy przy wycinaniu knotów do świec, napełnianiu foremek do zanurzania wosku i form do odlewów, obsłudze sklepu, załatwianiu spraw i innych podobnych zajęciach.

Nie przepadałem za handlem i mocno upodobałem sobie spacery nad morze, co nie podobało się ojcu. Jednak mieszkając w pobliżu wody, szybko nauczyłem się dobrze pływać i sterować łodziami. Kiedy płynąłem łódką lub kajakiem z innymi chłopcami, zwykle pozwalano mi prowadzić, zwłaszcza w przypadku trudnych warunków. Przeważnie byłem liderem wśród kolegów i czasami doprowadzałem do bójek. Wspomnę tutaj o jednym przypadku, ponieważ pokazuje on wczesny projekt ducha obywatelskiego, który nie został wtedy sprawiedliwie oceniony.

Część stawu młyńskiego graniczyła ze słonymi moczarami, gdzie łowiliśmy płotki. Tak często przechodziliśmy przez ten teren, że depcząc po nim uczyniliśmy z niego zwykłe grzęzawisko. Zaproponowałem zbudowanie tam przystani, przy której moglibyśmy cumować, i pokazałem moim towarzyszom duży stos kamieni, które były przeznaczone do budowy nowego domu w pobliżu bagien i które bardzo dobrze pasowałyby do naszych celów. W związku z tym wieczorem, gdy robotnicy już odeszli, zwołałem kilku moich towarzyszy zabaw i pracując niczym mrówki, przenosiliśmy po dwa lub trzy kamienie, aż zabraliśmy je wszystkie z budowy i zbudowaliśmy naszą małą przystań. Następnego ranka robotnicy byli zaskoczeni brakiem kamieni, które następnie zostały znalezione w naszej przystani. Po rozbiórce zostało przeprowadzone dochodzenie i wkrótce prawda wyszła na jaw. Kilku z nas dostało reprymendę i chociaż byłem przekonany o użyteczności naszej pracy, usłyszałem od ojca, że to, co nie jest uczciwe, nie może być użyteczne.

Myślę, że może zechcesz dowiedzieć się czegoś o osobowości i charakterze mojego ojca. Był średniego wzrostu, a przy tym dobrze zbudowany i bardzo silny. Miał wiele pomysłów, potrafił ładnie rysować, przejawiał nieco talentu muzycznego i miał czysty, przyjemny głos, a kiedy śpiewał i grał psalmowe melodie na skrzypcach, jak to czasami czynił pod koniec dnia, słuchało się go z niezwykłą przyjemnością. Był też genialnym mechanikiem i od czasu do czasu wykazywał się umiejętnością stosowania narzędzi innych rzemieślników. Jego największą zaletą było zdrowe podejście do życia i sprawiedliwy osąd w delikatnych sprawach, zarówno tych prywatnych, jak i publicznych. W przypadku tych ostatnich w istocie nigdy nie znalazł przy nich zatrudnienia, a liczna rodzina, którą musiał wykształcić, i trudna sytuacja trzymały go mocno przy raz obranym zawodzie. Dobrze jednak pamiętam, że często odwiedzali go prominentni ludzie, którzy konsultowali się z nim w sprawach miasta lub kościoła, do którego należał, i wielce szanowano jego opinie i rady. Równie często prosiły go o radę zmagające się z różnymi trudnościami osoby prywatne i często wybierano go na arbitra lokalnych sporów.

Tak często, jak tylko mógł, zapraszał do swojego stołu jakiegoś rozsądnego przyjaciela lub sąsiada, z którym mógł porozmawiać, i zawsze starał się znaleźć jakiś pomysłowy lub pożyteczny temat do dyskusji, który mógłby pozytywnie wpłynąć na rozwój intelektu jego dzieci. W ten sposób kierował naszą uwagę na to, co było dobre, sprawiedliwe i roztropne w życiu. Niewiele uwagi poświęcaliśmy (lub nawet w ogóle jej nie zwracaliśmy) na znajdujące się na stole posiłki bądź na to, czy byliśmy dobrze lub źle ubrani, w sposób zgodny z modą lub staromodny, w dobrym lub złym smaku, czy coś było lepsze lub gorsze od czegoś innego. Do perfekcji opanowałem obojętność i byłem tak nieuważny w kwestii postawionego przede mną jedzenia, że do dziś, jeśli mnie o to proszą, już kilka godzin po obiedzie nie jestem w stanie określić, co jadłem. Było to dla mnie ułatwieniem w podróżowaniu, podczas gdy moi towarzysze byli

czasami bardzo nieszczęśliwi z braku odpowiedniego zaspokojenia ich delikatniejszych, bo lepiej wykształconych, gustów i apetytów.

Moja matka również znajdowała się w doskonałej kondycji: wykarmiła piersią wszystkie dziesięcioro dzieci. Nigdy nie zdarzyło się, żeby moi rodzice zapadli na jakąkolwiek chorobę poza tą, na którą zmarli. On miał 89 lat, a ona 85 lat. Leżą pochowani razem w Bostonie, gdzie kilka lat temu położyłem na ich grobie kamień marmurowy z tym napisem:

Josiah Franklin

i Abiah, jego żona,

leżą tutaj pochowani.

Żyli razem w małżeństwie

pięćdziesiąt pięć lat.

Bez majątku lub dobrego stanowiska,

ciężką pracą i z Bożym błogosławieństwem

utrzymywali dużą rodzinę w dostatku

i wychowali trzynaścioro dzieci

oraz siedmioro wnuków.

Z tego przykładu, czytelniku,

Czerp chęci do pilności w swoim zawodzie

i zaufaj Opatrzności.

On był pobożnym i roztropnym człowiekiem,

a ona rozsądną i cnotliwą kobietą.

Ich najmłodszy syn,

ze względu na synowską pamięć,

umieszcza ten kamień.

J. F. ur. 1655, zm. 1744, żył lat 89.

A. F. ur. 1667, zm. 1752, żyła lat 85.

Przez te moje chaotyczne dygresje odnoszę wrażenie, że się zestarzałem. Chciałbym pisać bardziej metodycznie, ale przebywając w najbliższym towarzystwie, nie ubiera się tak jak na publiczny bal. To chyba tylko drobna niedbałość.

Wracając do tematu: kontynuowałem pracę w interesie ojca przez dwa lata, to znaczy do dwunastego roku życia. Mój brat John, który został przysposobiony do tego zawodu, zostawiwszy ojca, ożenił się i osiedlił na Rhode Island. Wydawało się, że moim przeznaczeniem jest zająć jego miejsce i zostać wytwórcą świec. Ze względu na moją niechęć do kontynuowania rzemiosła, mój ojciec obawiał się tego, że jeśli nie znajdzie dla mnie przyjemniejszego zajęcia, wyrwę się z domu i wypłynę na morze, jak ku jego wielkiej irytacji zrobił to wcześniej jego inny syn, Josiah. Dlatego czasami zabierał mnie ze sobą na spacer i pokazywał pracę stolarzy, murarzy, tokarzy czy też piekarzy, aby mieć pod kontrolą moje zamiłowanie do morza i starać się obudzić we mnie skłonności do jakiegoś rzemiosła na lądzie. Od

tamtej pory z przyjemnością patrzę, jak dobrzy robotnicy posługują się swoimi narzędziami. Było to dla mnie bardzo przydatne, ponieważ dzięki temu nauczyłem się, jak samodzielnie wykonywać drobne prace w moim domu, kiedy robotników nie było w pobliżu. Umiałem także konstruować małe maszyny do moich eksperymentów, kiedy to ich zamysł był świeży i dopiero rozwijał się w mojej głowie. Mój ojciec w końcu zajął się wytwarzaniem nożyc, a syn mojego wuja Benjamina, Samuel, który przyuczał się do tego zawodu w Londynie, mniej więcej w tym czasie przebywał w Bostonie. Zostałem więc do niego wysłany, aby po jakimś czasie wykształciło się we mnie zamiłowanie do tego fachu. Oczekiwane przez niego wynagrodzenie za moją naukę nie odpowiadało jednak ojcu, zatem wróciłem do domu.

Umiłowanie książek

Od dziecka lubiłem czytać, a wszystkie małe kwoty, które wpadały w moje ręce, zawsze przeznaczałem na książki. Tak bardzo umiłowałem sobie Wędrówkę Pielgrzyma, że moja pierwsza kolekcja książek składała się z prac Johna Bunyana wydawanych w oddzielnych małych tomach. Później sprzedałem je, aby móc kupić Historyczne Kolekcje Burtona. Były to małe książeczki sprzedawane tanio przez domokrążców, ich liczba sięgała w sumie czterdziestu lub pięćdziesięciu. Mała biblioteka mojego ojca składała się głównie z książek teologicznych, z których większość przeczytałem. Od tamtej pory często żałowałem, że w czasie, gdy byłem tak spragniony wiedzy, odkąd to zdecydowano, że nie powinienem być duchownym, nie wpadały mi do rąk lepsze książki. Wśród moich lektur były

Żywoty sławnych mężów Plutarcha, w których się zaczytywałem, i nadal uważam, że czas poświęcony na tę pozycję przyniósł mi wielką korzyść. Była też książka Defoe zatytułowana Esej o projektach i druga książka doktora Mathera pod tytułem Esej o czynieniu dobra, która być może stanowiła punkt zwrotny dla mojego sposobu myślenia, co miało wpływ na niektóre z głównych przyszłych wydarzeń w moim życiu. Zamiłowanie do książek ostatecznie zaważyło na tym, że ojciec uczynił ze mnie drukarza, chociaż miał już jednego syna w tym zawodzie. W 1717 roku mój brat James wrócił z Anglii z prasą drukarską i czcionkami, aby założyć firmę w Bostonie. Podobało mi się to znacznie bardziej niż zajęcie mojego ojca, choć wciąż tęskniłem do morza. Aby ukrócić te morskie zapędy, ojciec nie mógł się doczekać, aby wysłać mnie do brata. Przez jakiś czas oponowałem, ale w końcu dałem się przekonać i podpisałem umowę, gdy miałem zaledwie dwanaście lat. Miałem pracować jako czeladnik do dwudziestego pierwszego roku życia, przy czym dopiero w trakcie ostatniego roku miałem otrzymać wynagrodzenie czeladnicze. W krótkim czasie zdobyłem dużą biegłość w tym zawodzie i stałem się pożyteczny dla mojego brata. Miałem wówczas także dostęp do lepszych książek. Znajomość z pomocnikami księgarskimi pozwalała mi niekiedy pożyczyć krótką lekturę, którą starałem się szybko przeczytać i zwrócić. Zwykle pożyczałem książkę wieczorem i zwracałem wcześnie rano, żeby jej nie zgubić lub na wypadek, gdyby była komuś potrzebna i często siedziałem w swoim pokoju i czytałem przez większą część nocy.

Po jakimś czasie zwrócił na mnie uwagę genialny handlarz, pan Matthew Adams, który miał pokaźny księgozbiór i często bywał w naszej drukarni. Zaprosił mnie do swojej biblioteki i z wielką uprzejmością pożyczył mi wybrane przeze mnie książki. Polubiłem w tamtym czasie poezję i nawet napisałem kilka małych utworów. Mój brat, myśląc, że może to przynieść zyski, zachęcił mnie do tworzenia okazjonalnych ballad. Jedna z nich nosiła tytuł The Lighthouse Tragedy i zawierała opis utonięcia kapitana Worthylake'a wraz z jego dwiema córkami. Drugą była piosenka marynarza o ujęciu pirata Teacha (lub Czarnobrodego). Były to nędzne utwory w stylu ballad

słyszanych na Grub Street. Kiedy zostały wydrukowane, James kazał mi chodzić po mieście i je sprzedawać. Pierwszy utwór cieszył się powodzeniem, ponieważ opisywane w nim wydarzenie miało miejsce niedawno i wywołało nie lada poruszenie. Schlebiało to mojej próżności, ale ojciec zniechęcał mnie, wyśmiewając moje wysiłki i mówiąc, że pisarze na ogół są żebrakami. W ten sposób uniknąłem bycia poetą, zapewne bardzo słabym. Ponieważ jednak pisanie prozy było dla mnie bardzo przydatne w ciągu mojego życia i w największym stopniu przyczyniło się do mego rozwoju, opowiem ci, jak w takiej sytuacji zdobyłem skromne zdolności, jakie posiadam w tym zakresie. W mieście był jeszcze jeden miłośnik książek, którego bardzo dobrze znałem. Nazywał się John Collins. Czasami prowadziliśmy dysputy i bardzo lubiliśmy spierać się oraz ze wszystkich sił staraliśmy się zwieść jeden drugiego z wzajemnością. Przy okazji, takie postępowanie może okazać się bardzo złym nawykiem, gdyż ludzie często stają się wyjątkowo nieprzyjemni w towarzystwie z powodu zaistniałej różnicy zdań, która oprócz zepsucia rozmowy rodzi obrzydzenie a nawet wrogość, a także zaprzepaszcza okazję do nawiązania przyjaźni. Zrozumiałem to, czytając książki mojego ojca na temat sporów religijnych. Od tamtej pory zauważyłem, że ludzie rozsądni rzadko się tak zachowują, z wyjątkiem prawników, naukowców i wszelkiego rodzaju ludzi, którzy wychowali się w Edynburgu.

Pewnego razu zaczęliśmy z Collinsem dyskurs o stosowności przysposabiania płci żeńskiej do edukacji i zdolności kobiet do nauki. Uważał, że to niewłaściwe i że kobiety nie mają naturalnych predyspozycji w tym kierunku. Ja miałem zgoła przeciwne zdanie, może trochę ze względu na chęć ożywienia dyskusji. Collins był z natury o wiele bardziej elokwentny, zawsze dysponował szerokim zasobem słownictwa i czasami bardziej imponowała mi jego poprawność niż siła argumentów. Kiedy rozstaliśmy się bez rozstrzygnięcia sprawy i nie widzieliśmy się przez jakiś czas, usiadłem, aby przedstawić swoje argumenty na piśmie. Rzetelnie je spisałem, a następnie przesłałem mu. Kiedy odpisał, ja również odpowiedziałem. Każdy z nas napisał trzy lub cztery listy, aż wreszcie

ojciec znalazł moje papiery i je przeczytał. Nie wdając się w dyskusję, skorzystał z okazji, aby porozmawiać ze mną o sposobie pisania. Zauważył, że chociaż miałem przewagę nad moim antagonistą w poprawnej pisowni i interpunkcji (co zawdzięczałem pracy w drukarni), brakowało mi elegancji wyrazu, metody i trafności i w tych aspektach zostałem pokonany przez mojego oponenta. Uznałem jego uwagi za słuszne i dlatego zacząłem uważniej skupiać się na stylu pisania i byłem zdeterminowany, by dążyć do poprawy.

Mniej więcej w tym czasie wpadł mi w ręce tom Spectatora. Choć było to już trzecie wydanie, to nigdy wcześniej żadnego z nich nie widziałem. Kupiłem go, czytałem w kółko i byłem nim zachwycony. Uważałem to pismo za doskonałe i w miarę możliwości chciałem je naśladować. Mając to na uwadze, wziąłem pod rozwagę kilka artykułów i odnotowałem sens każdego zdania. Odłożyłem je na kilka dni, a następnie, nie patrząc na książkę, spróbowałem odtwarzać artykuły z pamięci tak, aby każde zdanie w pełni oddawało sens tak dokładnie, jak w pierwotnej wersji. Następnie porównałem mojego Spectatora z oryginałem, odkryłem kilka niedociągnięć i je poprawiłem. Stwierdziłem, że muszę poszerzyć słownictwo, aby opanować umiejętność spisywania wspomnień i używania właściwych wyrażeń. Sądziłem, że powinienem opanować tę umiejętność, zanim zdecydowałbym się na kontynuację pisania wersetów poetyckich, ponieważ nieustająca konieczność używania słów o tym samym znaczeniu, ale o różnej długości, aby dopasować je do miary, lub o innym brzmieniu dla osiągnięcia rymu, postawiłaby mnie przed ciągłą koniecznością poszukiwania różnorodności, a także poprowadziłaby do utrwalenia tej różnorodności w moim umyśle i uczynienia mnie w tym mistrzem. Z tego powodu wziąłem na warsztat niektóre z opowieści i przekształciłem je na poetyckie wersety i po jakimś czasie, kiedy już na dobre zapomniałem o prozie, ponownie je zamieniałem. Zdarzało mi się też czasem wprowadzać chaos w moich zbiorach notatek i po kilku tygodniach starałem się przywrócić je do najlepszego porządku, zanim zacząłem formować pełne zdania i przelewać je na papier. Miało to na celu nauczenie mnie metody układania myśli. Porównując moją późniejszą pracę z

oryginałem, odkrywałem wiele wad i poprawiałem je, ale czasami w pewnych szczegółach małej wagi odkrywałem, że udawało mi się szczęśliwie ulepszyć metodę lub język, a to zachęcało mnie do myślenia, że być może z czasem będę nie najgorzej pisal.

Taki był teraz mój wielki cel. Czas na te ćwiczenia i na czytanie znajdowałem w nocy, po pracy lub rano przed jej rozpoczęciem, albo w niedziele, kiedy wiedziałem, że będę sam w drukarni. Starałem się unikać na tyle, na ile mogłem, powszechnego obowiązku uczestnictwa w publicznym nabożeństwie. Tego wymagał ode mnie mój ojciec, kiedy byłem pod jego opieką. Z jakiegoś powodu nadal uważałem to za mój obowiązek, choć nie mogłem, jak mi się wydawało, pozwolić sobie teraz na jego wypełnianie.

Kiedy miałem około szesnastu lat, zaznajomiłem się z książką napisaną przez niejakiego Tryona, zalecającą dietę warzywną. Postanowiłem się w niej zagłębić. Mój brat, nie będąc jeszcze żonaty, nie miał na utrzymaniu domu. Zakwaterował siebie i swoich uczniów u innej rodziny. Odmowa jedzenia mięsa stanowiła niewygodę, a za moją wyjątkowość często byłem karcony. Zapoznałem się ze sposobami, w jakie Tryon przygotowywał niektóre ze swoich potraw, takie jak gotowanie ziemniaków lub ryżu, szybkie przygotowanie puddingu i kilka innych, a następnie zaproponowałem bratu, że jeśli da mi co tydzień połowę pieniędzy, które płacił za moje wyżywienie, to sam zapewnię sobie wikt. Natychmiast się na to zgodził, a ja zauważyłem, że z łatwością mogę zaoszczędzić połowę tego, co mi zapłacił. To zaś stanowiło dodatkowy fundusz na zakup książek. Ale miałem dzięki temu jeszcze jedną przewagę. Kiedy mój brat wraz z resztą pracowników udawali się na posiłki i wychodzili z drukarni, zostawałem w niej sam z moją przekąską, która często była złożona jedynie z biszkopta lub kromki chleba, garstki rodzynek lub tarty i szklanki wody. Resztę czasu, który pozostawał do ich powrotu, mogłem poświęcić na naukę, w której poczyniłem spore postępy za sprawą większej jasności umysłu i działania w pośpiechu, które zazwyczaj towarzyszą powściągliwości w jedzeniu i piciu.

W tamtym czasie niekiedy zawstydzała mnie moja ignorancja co do liczb, gdyż wiedzy matematycznej nie udało mi się opanować w szkolnej ławce. Sięgnąłem więc po książkę Cockera o arytmetyce i z wielką łatwością samodzielnie przeszedłem przez całość. Przeczytałem także książki Sellera i Shermy o nawigacji i zapoznałem się z podstawami geometrii; nigdy jednak nie zaszedłem daleko w tej nauce. Czytałem również dzieła takie jak O kwestii rozumienia ludzkiego autorstwa Locke'a czy Sztuka myślenia autorów z Port Royal.

Kiedy chciałem poprawić swój język, sięgałem po gramatykę angielską (wydaje mi się, że autorstwa Greenwooda), na końcu której były dwa małe szkice sztuki retoryki i logiki. Te ostatnie kończyły się wzorem prowadzenia sporu według metody sokratejskiej. Wkrótce potem zaczytywałem się w pismach sokratycznych autorstwa Ksenofonta, w których opisano wiele przypadków zastosowania tej samej metody. Oczarowałem się nią, zaadaptowałem ją, porzuciłem moje nagłe wzburzenie, niezgodę i argumenty, stawiając na bycie skromnym pytającym i wątpiącym. A ponieważ dzięki lekturze Shaftesbury'ego i Collinsa głęboko zwątpiłem w wiele punktów naszej doktryny religijnej, uznałem tę metodę za najbezpieczniejszą dla siebie i bardzo zawstydzającą dla tych, przeciwko którym jej używałem. Z tego powodu rozkoszowałem się nią, praktykowałem ją nieustannie i wyrobiłem w sobie wielką pomysłowość i biegłość w przyciąganiu ludzi, nawet posiadających większą wiedzę, namawiając ich do ustępstw, których konsekwencji nie przewidzieli. W ten sposób wplątywałem ich w trudności, z których nie mogli się otrząsnąć i osiągałem dzięki temu zwycięstwa, na które ani ja, ani moja sprawa nie zawsze zasługiwaliśmy. Kontynuowałem stosowanie tej metody przez kilka lat, ale stopniowo z niej rezygnowałem, zachowując jedynie zwyczaj wyrażania siebie w kategoriach skromnej niepewności. Kiedy przedstawiałem jakąkolwiek rzecz, która mogłaby być przedmiotem dyskusji, nigdy nie używałem fraz „z pewnością", „niewątpliwie" lub jakichkolwiek innych, które dodawałyby jakiejś opinii pozoru słuszności. Mówiłem raczej, że „wyobrażam sobie" lub „pojmuję", że

coś jest takie a takie, „wydaje mi się” lub „powinienem tak lub tak myśleć, z takich i takich powodów”; albo „wyobrażam sobie, że tak jest”, „jeśli się nie mylę”. Ten nawyk, jak sądzę, był dla mnie bardzo korzystny, kiedy miałem okazję przedstawiać swoje opinie i namawiać ludzi do działań, które od czasu do czasu promowałem. Ponieważ głównym celem rozmowy jest informowanie lub bycie poinformowanym, podobanie się odbiorcom lub przekonywanie, życzyłbym sobie, aby rozsądni ludzie nie pomniejszali swojej siły perswazji ze względu na zbyt wielką pewność siebie, nierzadko budzącą obrzydzenie u słuchacza, który ma tendencję do stawiania oporu. Przekreśla to cele, dla których obdarowani zostaliśmy umiejętnością mowy – czyli do dowcipu, przekazywania lub otrzymywania informacji albo przyjemności. Jeśli chcesz przekazać jakąś informację, dogmatyczne nastawienie przy jej prezentacji może wywołać sprzeciw i uniemożliwić dalszą szczerą uwagę. Jeśli pragniesz zdobyć informację i doskonalić się na podstawie wiedzy innych, a jednocześnie mocno utwierdzasz się w swoich obecnych opiniach, skromni, rozsądni ludzie, którzy nie lubią sporów, zapewne nie wyprowadzą cię z błędu. I w ten sposób rzadko możesz liczyć na to, że będziesz w stanie zadowolić swoich słuchaczy lub przekonywać do siebie tych, których aprobaty pragniesz.

Aleksander Pope roztropnie mówi:

„Tak ucz ludzi, jakbyś ich nie uczył wcale

Lecz przypominał rzeczy znane doskonale”.

„Mówić trzeba, choć pewnie, na pozór nieśmiało”.

Dalej polecając nam:

Połączył to zdanie z innym, które w moim odczuciu jest mniej poprawne:

„Bo brak skromności z braku rozsądku wypływa”.

Czyż nie brakuje w przeprosinach za brak skromności sensu (skoro człowiek jest już i tak na tyle nieszczęśliwy, że w ogóle pragnie to uczynić)?

I czy nie lepiej byłoby powiedzieć:

„Jedno jest tłumaczenie, gdy mowa chełpliwa,

Brak skromności z braku rozsądku wypływa”?

To jednak powinienem poddać jeszcze głębszej rozwadze.

Gazeta New England Courant

W 1720 lub 1721 roku mój brat zaczął drukować gazetę. Była drugą, która ukazywała się w Ameryce i nazywała się „New England Courant”. Przed nią wydawano jedynie „Boston News-Letter”. Pamiętam, że niektórzy z jego przyjaciół zniechęcali go do tego przedsięwzięcia, ponieważ według nich nie miało ono szans powodzenia, a istnienie jednej gazety było, ich zdaniem, wystarczające dla Ameryki. Obecnie (1771) jest ich nie mniej niż dwadzieścia pięć. James kontynuował jednak swoje przedsięwzięcie,

a po pracy przy składaniu czcionek i drukowaniu arkuszy zostałem zatrudniony do sprzedawania nakładów na ulicy.

Wśród jego przyjaciół było kilku genialnych ludzi, którzy dla zabawy pisali drobne teksty do gazety. Zyskały one uznanie i sprawiły, że stała się ona bardziej popularna, a ci panowie często nas odwiedzali. Słysząc ich rozmowy i relacje o aprobacie, z jaką przyjmowano ich twórczość, byłem tak podekscytowany, że postanowiłem, iż także ja spróbuję swoich sił w pisaniu. Jednak, będąc jeszcze chłopcem i podejrzewając, że mój brat sprzeciwiłby się wydrukowaniu czegokolwiek mojego autorstwa, wymyśliłem, że nie będę się podpisywać. Napisałem zatem anonimowy artykuł i włożyłem go w nocy pod drzwi drukarni. Znaleziono go rano i przekazano przyjaciołom Jamesa, kiedy jak zwykle nas odwiedzili. Przeczytali go i skomentowali w mojej obecności, a ja miałem wielką przyjemność stwierdzić, że mój tekst spotkał się z ich aprobatą i że w ich różnych domysłach na temat autora, wymieniano wyłącznie znanych nam ludzi nauki wyróżniających się pewnym charakterem i pomysłowością. Przypuszczam teraz, że miałem dość szczęścia do moich sędziów i że być może nie byli oni aż tak dobrzy w tym, co robili, jak wtedy sądziłem.

Zachęciło mnie to jednak na tyle, że napisałem i przekazałem prasie w ten sam sposób kilka innych artykułów, które zostały przyjęte równie pochlebnie. Zachowywałem tajemnicę, dopóki mój mały zasób rozsądku do takich występków całkowicie się nie wyczerpał. Kiedy ujawniłem swój sekret, znajomi Jamesa zaczęli mnie nieco lepiej traktować, co jednak nie do końca mu się spodobało, bo pomyślał, prawdopodobnie nie bez powodu, że przez to staję się zbyt próżnym. Być może była to jedna z przyczyn nieporozumień, do których dochodziło między nami mniej więcej właśnie w tym czasie. Chociaż był moim bratem, uważał siebie za mojego mistrza, a mnie za swojego ucznia. Wobec tego oczekiwał ode mnie tych samych usług, co od innych, podczas gdy ja uważałem, że w niektórych sprawach za bardzo mnie poniżał i że jako brat mógłby mieć do mnie nieco bardziej pobłażliwe podejście. Nasze spory często

próbowaliśmy rozwiązać przed ojcem i wydaje mi się, że albo zwykle miałem rację, albo byłem lepszym orędownikiem swej sprawy, ponieważ wyroki zapadały zasadniczo na moją korzyść. Mój brat był porywczy i często mnie bił, co zdecydowanie mi nie odpowiadało. Uważając swoją praktykę za bardzo nudną, ciągle marzyłem o jakiejś sposobności by ją skrócić. Pojawiła się ona w pewnym sensie zupełnie nieoczekiwanie. Odnoszę wrażenie, że owo surowe traktowanie wzbudziło we mnie tak mocną awersję do arbitralnej władzy, że pozostała ona we mnie już na całe życie.

Jeden z artykułów opublikowanych w naszej gazecie, mówiący o jakiejś kwestii politycznej, o której teraz zapomniałem, obraził Zgromadzenie. Brat został pojmany, przesłuchany i skazany na miesięczne więzienie, ponieważ – jak przypuszczam, nie chciał wyjawić jego autora. Ja również zostałem schwytany i byłem przesłuchiwany przez radę, ale chociaż nie dałem im żadnej satysfakcji, zadowolili się upomnieniem i zwolnili mnie. Być może uznali, że byłem jedynie uczniem zobowiązanym dochować tajemnic swego mistrza.

Podczas uwięzienia mojego brata, co bardzo mi się nie podobało, kierowałem gazetą pomimo naszych osobistych różnic. Ośmieliłem się opisać w nieco mniej przychylny sposób naszych władców, co mój brat przyjął bardzo życzliwie, podczas gdy inni zaczęli mnie postrzegać w niekorzystnym świetle jako młodego geniusza, mającego skłonność do zniesławień i satyry. Zwolnieniu mojego brata towarzyszył (bardzo dziwny) rozkaz Izby, zgodnie z którym „James Franklin nie powinien już drukować gazety zwanej New England Courant".

W naszej drukarni odbyły się konsultacje z jego przyjaciółmi dotyczące tego, co powinien zrobić w tej sprawie. Niektórzy proponowali uchylenie się od nakazu poprzez zmianę nazwy pisma, ale mój brat, widząc związane z tym niedogodności, uznał ostatecznie, że lepszym rozwiązaniem będzie drukowanie go w przyszłości pod nazwiskiem Benjamina Franklina. Aby uniknąć

cenzury Zgromadzenia, która mogłaby spaść na niego, gdyby pismo było drukowane przez jego ucznia, postanowił uciec się do podstępu. Polegał on na podpisaniu ze mną nowej umowy, dzięki której brat mógłby uchylić się od odpowiedzialności i miałby zapewnioną korzyść z mojej pracy. Chciano, bym podpisał umowy na nowe przedsięwzięcia na resztę mojego pobytu. Miały one pozostać tajne. Był to bardzo mizerny plan, jednak został natychmiast wdrożony w życie, a gazeta przez kilka miesięcy wydawana była pod moim nazwiskiem.

W końcu, gdy między mną a moim bratem doszło do kolejnej scysji, postanowiłem zapewnić sobie wolność, wykorzystując fakt, że beze mnie James nie odważy się zawrzeć żadnych nowych umów. Nie postępowałem w porządku, chcąc wykorzystać tę możliwość, co było jednym z pierwszych błędów mojego życia. Niesprawiedliwość ta miała jednak niewielkie znaczenie, kiedy zbyt często z wielką pasją „obdarzał" mnie ciosami, choć w żadnym stopniu nie był człowiekiem chorym na nienawiść. Być może to ja byłem zbyt zuchwały i prowokowałem go.

Kiedy dowiedział się, że chcę go opuścić, zadbał o to, abym nie znalazł pracy w żadnej innej drukarni w mieście, chodząc i rozmawiając z każdym mistrzem, który następnie odmawiał mi zatrudnienia. Właśnie wtedy pomyślałem o wyjeździe do Nowego Jorku, czyli najbliższego miejsca, gdzie znajdowała się drukarnia. Wolałem wyjechać z Bostonu, gdyż zdawałem sobie sprawę, że zrobiłem się już trochę nieznośny dla władz, a ze względu na arbitralne postępowanie Zgromadzenia w sprawie mojego brata prawdopodobnie gdybym został, wkrótce wpadłbym w tarapaty. Ponadto moje niedyskretne dysputy na temat religii sprawiły, że dobrzy ludzie zaczęli wytykać mnie z przerażeniem jako niewiernego lub ateistę. Byłem zdeterminowany w tej kwestii, ale miałem wrażenie, że ojciec, który teraz stał po stronie Jamesa, użyje odpowiednich środków, aby mnie powstrzymać, jeśli tylko spróbuję mówić otwarcie o tym, co myślę. Dlatego mój przyjaciel Collins zdecydował się udzielić mi pomocy. Uzgodnił z kapitanem

nowojorskiego statku mój przejazd, mówiąc mu, że jestem jego młodym znajomym, który musiał wyjechać po tym, jak zbałamucił dziewczynę. Ona zaszła w ciążę i przyjaciele zmusiliby go do ożenku. Sprzedałem więc część swoich książek, żeby zebrać nieco pieniędzy na podróż i po cichu zostałem zabrany na pokład, a ponieważ wiatry nam sprzyjały, w ciągu trzech dni, jako zaledwie siedemnastoletni chłopiec, dobiłem do brzegu Nowego Jorku, blisko 480 km od domu, bez najmniejszej rekomendacji i żadnych znajomości oraz z bardzo małą sumą pieniędzy w kieszeni.

W drodze

Choć moje ciągoty do morza zdążyły osłabnąć, to teraz mógłbym im zadośćuczynić. Mając jednak zawód i wychodząc z założenia, że jestem całkiem dobrym robotnikiem, zaoferowałem usługi miejscowemu drukarzowi, staremu panu Williamowi Bradfordowi, który był niegdyś pierwszym drukarzem w Pensylwanii, skąd został wygnany po kłótni z prominentem, George'em Keithem. Nie mógł mnie zatrudnić, gdyż miał niewiele zleceń i wystarczająco dużo pomocników. Powiedział mi jednak: „Mój syn w Filadelfii stracił niedawno swoją prawą rękę, Aquilla Rose'a. Jeśli tam pójdziesz, wierzę, że może cię zatrudnić". Filadelfia położona jest 160 km dalej. Wypłynąłem łodzią do Amboy, zostawiając kufer i inne rzeczy, które miano mi dosłać później. Gdy przekraczaliśmy zatokę, złapała nas nawałnica. Rozerwała na strzępy zgniłe żagle, co uniemożliwiło nam dostanie się do Kill i zmusiło do zacumowania na Long Island. Podczas podróży jeden z pasażerów, pijany Holender, wypadł za burtę. Kiedy tonął, zdołałem sięgnąć po niego do wody i złapałem za jego trzęsącą się głowę, dzięki czemu można było go z powrotem

wciągnąć na pokład. To, że wpadł do wody, nieco go otrzeźwiło i zaraz potem poszedł spać, uprzednio wyciągnąwszy z kieszeni książkę, którą chciał osuszyć. Okazało się, że była to książka niegdyś mojego ulubionego autora, Bunyana – Wędrówka Pielgrzyma – w języku holenderskim, pięknie wydrukowana na dobrym papierze, z miedzianymi zdobieniami, o szacie o wiele lepszej niż ta, którą posiadało pierwotne wydanie. Wtedy odkryłem, że została ona przetłumaczona na większość języków Europy i przypuszczam, że czytano ją wtedy częściej niż jakąkolwiek inną książkę, być może z wyjątkiem Biblii. „Zacny John" jako pierwszy ze znanych mi autorów łączył narrację z dialogami. Ta metoda pisania była bardzo angażująca dla czytelnika, który w najciekawszych momentach niejako znajdował się wśród bohaterów utworu i brał udział w dyskursie. Naśladował to z powodzeniem Defoe w Robinsonie Cruzoe, Moll Flanders, Religious Courtship, Family Instructor czy też w innych dziełach, a Richardson uczynił to na przykład w swojej Pameli.

Kiedy zbliżaliśmy się do wyspy, odkryliśmy, że w pobliżu nie było możliwości przybicia do brzegu, a o kamienistą plażę uderzały ogromne fale. Zarzuciliśmy więc kotwicę i obróciliśmy się w kierunku brzegu. Kilka osób zeszło na ląd i próbowało nas holować, ale wiatr był tak silny, a fale tak głośne, że nie mogliśmy się usłyszeć ani zrozumieć. Na brzegu znajdowały się czółna, a my dawaliśmy znaki i machaliśmy do nich, pokazując, że powinni po nas przypłynąć. Niestety albo nas nie zrozumieli, albo myśleli, że to niewykonalne, więc odeszli, zostawiwszy nas na wodzie. Zapadła noc, więc nie mieliśmy innego wyjścia, jak przeczekać, aż wiatr ustąpi. Tymczasem wioślarz i ja doszliśmy do wniosku, że jeśli będzie to możliwe, powinniśmy się przespać. Wczołgaliśmy się do szalupy, do tego Holendra, który był jeszcze mokry, a rozpryski wody uderzające w burtę naszej łodzi docierały do nas, tak że wkrótce byliśmy prawie tak samo mokrzy jak on. W ten sposób przeleżeliśmy całą noc, nie odpoczywając zbytnio, ale następnego dnia wiatr ustał i przed nocą zdołaliśmy dotrzeć do Amboy, po trzydziestu godzinach żeglowania

po słonej wodzie bez prowiantu i bez żadnego napoju oprócz butelki brudnego rumu.

Wieczorem dostałem gorączki i poszedłem spać, ale przeczytawszy gdzieś, że sposobem na podwyższoną temperaturę jest pita w nadmiarze zimna woda, zastosowałem się do tego zalecenia i potem przez większość nocy obficie się pociłem, a gorączka faktycznie mnie opuściła. Rano, po przeprawieniu się promem, wyruszyłem w pieszą podróż, mając 80 km do Burlington, gdzie, jak mi powiedziano, powinienem znaleźć łodzie, a nimi dostać się do Filadelfii.

Pozwoliłem sobie na więcej szczegółów w opisie mojej pierwszej podróży do tego miasta, abyś mógł porównać nieprawdopodobne początki tej historii z postacią, którą tam się stałem. Miałem na sobie ubranie robocze, a moja najlepsza odzież płynęła do mnie drogą morską. Byłem brudny po podróży. Moje kieszenie były wypchane zużytymi koszulami oraz pończochami i nie wiedziałem, gdzie szukać noclegu. Byłem zmęczony podróżowaniem, wiosłowaniem i brakiem odpoczynku, odczuwałem ogromny głód, a cały mój zapas gotówki składał się z talara holenderskiego i około jednego szylinga w miedziakach, którego dałem ludziom z łodzi za mój rejs. Z początku odmówili przyjęcia zapłaty z powodu wiosłowania, którego się podjąłem. ale nalegałem, aby wzięli monety. Człowiek jest czasem bardziej hojny, gdy ma niewiele pieniędzy, niż wtedy, gdy posiada ich dużo – być może przez obawę, że kiedyś znów zubożeje.

Przez cały dzień bardzo mocno padało. Byłem całkowicie przemoczony, a do południa bardzo zmęczony. Zatrzymałem się w podrzędnej gospodzie, w której spędziłem całą noc, zaczynając żałować, że opuściłem dom. Poczyniłem też tak żałosną uwagę, że po zadanych mi pytaniach zaczęto podejrzewać, że jestem jakimś zbiegłym służącym, co mogło się źle skończyć. Następnego dnia udałem się jednak dalej i wieczorem dotarłem do gospody znajdującej się w promieniu kilkunastu kilometrów od Burlington, prowadzonej przez niejakiego doktora Browna. Skoro tylko odświeżyłem się po podróży, zaczął ze mną rozmawiać, a gdy

dowiedział się, że trochę czytałem, stał się bardzo towarzyski i przyjazny. Nasza znajomość trwała aż do jego śmierci. Wyobrażam sobie, że był wędrownym lekarzem, gdyż nie było żadnego miasta w Anglii ani regionu w Europie, którego nie potrafiłby szczegółowo opisać. Miał pewną biegłość w pisaniu i wykazywał się pomysłowością, ale był niewierzący, a kilka lat później podjął się parafrazowania Biblii na marnej jakości wiersze, tak samo jak Cotton uczynił to z dziełami Wergiliusza. W ten sposób przedstawił wiele ważnych faktów w bardzo zabawnym świetle i mógłby zaszkodzić słabym umysłom, gdyby tylko jego praca została opublikowana, ale tak się nigdy nie stało.

Spędziłem noc w jego domu, a następnego ranka dopłynąłem do Burlington, ale ku mojemu przerażeniu stwierdziłem, że łodzie odpłynęły na chwilę przed moim przybyciem. Nie spodziewano się, że ponownie wypłyną one przed wtorkiem, a wtedy była akurat sobota, dlatego udałem się do pewnej starej kobiety w mieście, u której kupiłem pierniki jako prowiant na drogę, i poprosiłem ją o radę. Zaproponowała, abym zatrzymał się w jej domu do momentu, kiedy będę mógł przeprawić się przez wodę. Będąc zmęczonym pieszą wędrówką, przyjąłem zaproszenie. Rozumiała, że jestem drukarzem i chciała, abym mógł zostać w tym mieście i zająć się swoimi sprawami, nie zdając sobie sprawy z zasobów, jakich potrzebowałbym na samym początku. Była bardzo gościnna, z wielką życzliwością poczęstowała mnie mięsem wołowym na obiad, przyjmując w zamian tylko kufel piwa. Myślałem, że aż do wtorku nie będę się musiał o nic martwić, jednak wieczorem, gdy wybrałem się na spacer brzegiem rzeki, zauważyłem łódkę z kilkoma osobami, które – jak się okazało – płynęły w kierunku Filadelfii. Pozwolili mi dołączyć, a ponieważ nie było wiatru, musieliśmy wiosłować przez całą drogę. Około północy, nie widząc jeszcze miasta, niektórzy kompani byli przekonani, że musieliśmy je minąć i nie zamierzali dalej wiosłować. Inni nie wiedzieli, gdzie jesteśmy, popłynęliśmy więc w stronę brzegu i weszliśmy do potoku, a następnie znaleźliśmy się przy starym płocie, przy którym rozpaliliśmy ognisko. Noc była zimna – jak to w październiku – ale pozostaliśmy tam do świtu. Gdy

zaczęło świtać, jeden z moich towarzyszy stwierdził, że znajdujemy się w Cooper's Creek, nieco powyżej Filadelfii, którą dostrzegliśmy w oddali, gdy tylko wydostaliśmy z potoku. Ostatecznie dotarliśmy tam około ósmej lub dziewiątej w niedzielę rano i znaleźliśmy się przy nabrzeżu Market Street.

Przybycie do Filadelfii

Pozwoliłem sobie na więcej szczegółów w opisie mojej pierwszej podróży do tego miasta, abyś mógł porównać nieprawdopodobne początki tej historii z postacią, którą tam się stałem. Miałem na sobie ubranie robocze, a moja najlepsza odzież płynęła do mnie drogą morską. Byłem brudny po podróży. Moje kieszenie były wypchane zużytymi koszulami oraz pończochami i nie wiedziałem, gdzie szukać noclegu. Byłem zmęczony podróżowaniem, wiosłowaniem i brakiem odpoczynku, odczuwałem ogromny głód, a cały mój zapas gotówki składał się z talara holenderskiego i około jednego szylinga w miedziakach, którego dałem ludziom z łodzi za mój rejs. Z początku odmówili przyjęcia zapłaty z powodu wiosłowania, którego się podjąłem. ale nalegałem, aby wzięli monety. Człowiek jest czasem bardziej hojny, gdy ma niewiele pieniędzy, niż wtedy, gdy posiada ich dużo – być może przez obawę, że kiedyś znów zubożeje.

Potem poszedłem ulicą, rozglądając się, aż w pobliżu targowiska spotkałem chłopca z chlebem. Umiałem przygotować wiele posiłków z chleba, więc zapytałem go, skąd go wziął i natychmiast udałem się na Second Street do piekarza, do którego mnie skierował. Poprosiłem o biszkopt, jaki jadałem w Bostonie, ale wydaje się, że w

Filadelfii takiego nie piekli. Potem poprosiłem o bochenek za trzy pensy, ale chleba również nie sprzedawali. Dlatego, nie zważając na różnicę w cenie ani nazwie jego chleba, poprosiłem, by sprzedał mi jakiekolwiek pieczywo o wartości trzech pensów. Otrzymałem trzy wielkie i puszyste bułeczki. Zaskoczyła mnie ich liczba, ale wziąłem je i, nie mając miejsca w kieszeniach, odszedłem z bułką pod każdą pachą, zamierzając zjeść je po drodze. I tak idąc przez Market Street aż do Fourth Street, minąłem drzwi pana Reada, ojca mojej przyszłej żony. Stała wtedy w drzwiach i z pewnością pomyślała, że wyglądam śmiesznie. Potem odwróciłem się i poszedłem w dół przez Chestnut Street i częściowo przez Walnut Street, zjadając całą bułkę i zanim się obejrzałem, znalazłem się znowu na nabrzeżu Market Street, w pobliżu łodzi, na której przypłynąłem. Wszedłem do niej, aby napić się wody z rzeki. Najedzony jedną z moich bułek, dwie pozostałe oddałem kobiecie i jej dziecku, moim współtowarzyszom podróży, którzy oczekiwali na dalszą drogę.

Odświeżony po podróży, znów ruszyłem ulicą, która wypełniła się wieloma schludnie ubranymi ludźmi, spośród których wszyscy szli w jedną stronę. Dołączyłem do nich i tym samym zaprowadzono mnie do wielkiego domu spotkań kwakrów znajdującego się w pobliżu rynku. Usiadłem wśród zgromadzonych, rozejrzałem się i nie słysząc nic z tego, co mówili, a będąc bardzo sennym z powodu zmęczenia spowodowanego wiosłowaniem i brakiem odpoczynku poprzedniej nocy, zasnąłem i spałem aż do zakończenia spotkania. Niespodziewanie pewien człowiek okazał się na tyle uprzejmy, aby mnie obudzić. Był to zatem pierwszy dom w Filadelfii, do którego trafiłem i w którym spałem.

Schodząc znowu w stronę rzeki i przyglądając się ludziom, spotkałem młodego kwakra, którego twarz bardzo mi się podobała. Zaczepiwszy go, poprosiłem, by powiedział mi, gdzie jako przyjezdny, mogę się zatrzymać. Byliśmy wtedy blisko szyldu oberży Trzech Marynarzy. „Tutaj – powiedział – przyjmują obcych, przy czym dom ten nie cieszy się dobrą reputacją. Jeśli zechcesz pójść ze mną, pokażę ci lepsze miejsce”. Zabrał mnie do Crooked Billet na Water Street.

Postanowiłem zjeść tam obiad, a podczas posiłku zadano mi kilka wnikliwych pytań. Wydaje mi się, że ze względu na mój młody wiek i wygląd podejrzewano, że mogę być uciekinierem. Po obiedzie powróciła moja senność i zaprowadzono mnie do łóżka, w którym położyłem się, nie ściągnąwszy nawet ubrania i spałem tak do szóstej wieczorem. Następnie zawołano mnie na kolację, po której znowu położyłem się spać i spałem mocno aż do rana.

Potem doprowadziłem się do jak najlepszego porządku i poszedłem do Andrew Bradforda, drukarza. Zastałem w sklepie jego starego ojca, którego spotkałem uprzednio w Nowym Jorku, a który podróżując konno, dotarł do Filadelfii przede mną. Przedstawił mnie swojemu synowi, który przyjął mnie grzecznie, poczęstował mnie śniadaniem, ale powiedział, że nie potrzebuje obecnie pomocy, ponieważ ostatnio już kogoś zatrudnił. Przekazał mi jednak, że w mieście istnieje inna, niedawno założona drukarnia, prowadzona przez niejakiego Keimera, który być może mnie zatrudni. Jednak na wypadek, gdyby tak się nie stało, zaoferowano mi zakwaterowanie w domu gospodarza, który od czasu do czasu miał mi zlecać pomniejsze zadania, a później już miałem u niego pracować na stałe.

Starszy pan poszedł ze mną do drukarni Keimera. Kiedy już byliśmy na miejscu, Bradford powiedział: „Sąsiedzie, przyprowadziłem do ciebie młodego człowieka z twojej branży, może będziesz chciał kogoś takiego do pomocy”. Keimer zadał mi kilka pytań, włożył mi do ręki maszynę do składu liter, aby zobaczyć, jak pracuję, a potem powiedział, że wkrótce mnie zatrudni, choć nie miał wtedy nic do roboty. Keimer – ponieważ nigdy wcześniej nie widział starego Bradforda – uznał go za jednego z przychylnych mu mieszkańców miasta o dobrej woli i zaczął z nim rozmawiać na temat swojego obecnego przedsięwzięcia i perspektyw. Bradford nie przyznał się, że jest ojcem drugiego drukarza. Keimer opowiedział mu, że spodziewa się wkrótce wziąć w swoje ręce największą część interesu, więc Bradford zaczął zadawać mu wyszukane pytania, aby rozwiać wszelkie wątpliwości. Keimer wyjawił wszystkie plany oraz opowiedział, jakich targów dobił i w jaki sposób zamierza

postępować. Stojąc z boku i słysząc to wszystko, od razu zauważyłem, że jeden z nich był podstępnym, starym, wyrafinowanym mówcą, a drugi zwykłym nowicjuszem. Bradford zostawił mnie z Keimerem, który był bardzo zaskoczony, kiedy powiedziałem mu, kim był ten stary człowiek.

Drukarnia Keimera składała się ze starej, zniszczonej prasy i jednej małej, zużytej czcionki angielskiej, którą wykorzystywał podczas układania elegii na cześć Aquila Rose'a, wspomnianego już wcześniej genialnego młodego człowieka o wspaniałym charakterze, bardzo szanowanego w mieście urzędnika Zgromadzenia i zdolnego poety. Keimer tworzył także wiersze, ale podchodził do tego obojętnie. Nie można było powiedzieć, że je pisze, bo jego manierą było komponowanie ich wprost z głowy. W związku z tym nie istniały żadne kopie, wyłącznie jeden egzemplarz. Na przygotowanie druku elegii prawdopodobnie zużyłby wszystkie litery, jeśli nikt by mu nie pomógł. Podjąłem starania, aby jego prasa (której jeszcze nie używał i z której sposobu działania dotąd nic nie rozumiał) nadawała się do pracy. Obiecałem, że przyjdę i wydrukuję jego elegię, gdy tylko będzie gotowa, a tymczasem wróciłem do Bradfordów, u których się zatrzymałem i stołowałem. Potrzebowali oni kogoś, kto mógłby się zająć załatwianiem pilnych spraw bieżących. Kilka dni później Keimer posłał po mnie, żebym wydrukował elegię. Zaraz potem znalazł dla mnie kolejne zlecenie – ulotkę do przedruku.

Uważałem tych dwóch drukarzy za słabo przygotowanych do swojej działalności. Bradford nie został do niej przysposobiony i był raczej niepiśmienny, a Keimer był kimś w rodzaju uczonego, zwykłym składaczem tekstu nie znającym się na obsłudze prasy. Przypominał jednego z francuskich proroków i potrafił odgrywać ich entuzjastyczne poruszenie. W tym czasie nie wyznawał żadnej konkretnej religii, ale czasami odnosił się do nich wszystkich. Podchodził do świata w sposób ignorancki i miał w sobie, jak się później przekonałem, sporo z łotra. Nie podobało mu się, że podczas gdy z nim pracowałem, mieszkałem u Bradfordów. W rzeczy samej miał on dom, ale nie było w nim mebli, więc nie mógł mnie

zakwaterować. Zorganizował mi więc mieszkanie u pana Reada, o którym wcześniej wspomniałem, a ponieważ mój wygląd zdążył się już poprawić a moje ubranie także zaczynało jakoś wyglądać, w oczach panny Read wypadłem znacznie korzystniej niż wtedy, gdy pierwszy raz zobaczyła mnie jedzącego bułkę na ulicy.

Znajomość z gubernatorem Keithem

Zacząłem teraz poznawać innych młodych ludzi w mieście, głównie miłośników czytania, z którymi miło spędzałem wieczory. Zdobywając pieniądze dzięki mojej pracy, jak również za sprawą oszczędności, żyło mi się bardzo dobrze i mogłem zapomnieć o Bostonie. Nie chciałem, aby ktokolwiek stamtąd wiedział, gdzie obecnie mieszkam, z wyjątkiem mojego przyjaciela Collinsa, który dzielił ze mną tę tajemnicę i zachował ją. Wydarzył się jednak incydent, który odesłał mnie z powrotem znacznie wcześniej, niż zamierzałem wrócić. Właściciel szalupy i mój szwagier, Robert Holmes, handlujący między Bostonem a Delaware, będąc w Newcastle, ponad 60 km od Filadelfii, usłyszał o mnie i napisał do mnie list, w którym wspomniał o troskach moich przyjaciół w Bostonie wynikających z mojego nagłego wyjazdu. Zachęcał mnie do powrotu i zapewniał o ich dobrej woli i o tym, że jeśli wrócę, to wszystko ułoży się po mojej myśli. Odpowiedziałem na jego list, dziękując mu za radę, i podając powody, dla których opuściłem Boston, aby przekonać go, że nie myliłem się w mojej decyzji tak bardzo, jak utrzymywał.

Sir William Keith, gubernator prowincji, przebywał wówczas w Newcastle, a kapitan Holmes właśnie dotrzymywał mu towarzystwa,

gdy dostał wiadomość ode mnie. Opowiedział o mnie gubernatorowi i pokazał mu list. Keith przeczytał go i wydawał się zdziwiony, gdy dowiedział się, ile mam lat. Powiedział, że wyglądam na młodego, pod pewnymi względami obiecującego mężczyznę, którego należy zachęcać do działania. Jego zdaniem drukarze w Filadelfii byli godni pożałowania, a jeśli miałbym się tam osiedlić, nie miał wątpliwości, że odniosę sukces w tym zawodzie. Ze swojej strony pozyskałby dla mnie przychylność opinii publicznej i wyświadczyłby mi każdą możliwą przysługę, jaka byłaby w jego mocy. Mój szwagier przekazał mi to później w Bostonie. Pewnego dnia, kiedy Keimer i ja pracowaliśmy razem stojąc przy oknie, gdy jeszcze nic nie wiedziałem o obietnicy gubernatora, zobaczyliśmy, że on i inny dżentelmen (który okazał się pułkownikiem Frenchem z Newcastle), pięknie ubrani, przeszli przez ulicę do naszego domu i zapukali do drzwi.

Keimer natychmiast zbiegł na dół, myśląc, że przyjechali do niego, ale gubernator zapytał o mnie. Podszedł do mnie i z protekcjonalną grzecznością, do której byłem zupełnie nieprzyzwyczajony, powiedział mi wiele komplementów, chciał mnie lepiej poznać, skarcił mnie uprzejmie, że nie przyszedłem do niego, kiedy po raz pierwszy przybyłem na miejsce, i zabrał mnie ze sobą do tawerny, dokąd jechał z pułkownikiem Frenchem, aby spróbować, jak powiedział, „wspaniałej madery". Nie zdziwiło mnie to szczególnie, ale Keimer patrzył z takim zdumieniem, jakby zaszkodziła mu wieprzowina, którą zjadł wcześniej. Udaliśmy się z gubernatorem i pułkownikiem Frenchem do tawerny na rogu Third Street. Popijając maderę, zaproponował mi założenie firmy i przedstawił prawdopodobieństwo odniesienia sukcesu. Wraz z pułkownikiem Frenchem zapewnili mnie, że powinienem trzymać ich stronę i mieć wpływ na interesy publiczne. Wątpiąc w to, czy mój ojciec mi w tym pomoże, sir William powiedział, że przekaże mi list, w którym określi moje zalety i nie wątpił, że uda mu się go przekonać. Postanowiono więc, że powinienem wrócić do Bostonu pierwszym statkiem wraz z listem polecającym od gubernatora. Tymczasem musiałem trzymać to w tajemnicy i kontynuować pracę z Keimerem jak gdyby nigdy nic,

a gubernator od czasu do czasu zapraszał mnie na obiad, co było w moim odczuciu wielkim zaszczytem. Rozmawiał ze mną w najbardziej uprzejmy, serdeczny i przyjazny sposób, jaki można sobie wyobrazić.

Mniej więcej pod koniec kwietnia 1724 roku mały statek kierował się w stronę Bostonu. Opuściłem Keimera, aby udać się do moich przyjaciół. Gubernator przekazał mi obszerny list do mojego ojca, w którym napisał wiele pochlebnych rzeczy o mnie i zdecydowanie polecił pomysł mojego osiedlenia się w Filadelfii, który, jak przewidywał, musi zaowocować zdobyciem pokaźnej fortuny. Podczas zejścia w dół zatoki wpłynęliśmy na mieliznę i doszło do przecieku. Morze zaczęło się przedzierać na pokład i musieliśmy wypompowywać wodę niemal bez przerwy, w czym również ja miałem swój udział. Do Bostonu dotarliśmy bezpiecznie w ciągu około dwóch tygodni. Nie było mnie siedem miesięcy, a moi przyjaciele nic o mnie nie słyszeli, gdyż mój szwagier Holmes jeszcze nie wrócił i nie przekazał o mnie żadnej informacji. Moje nieoczekiwane pojawienie się zaskoczyło rodzinę. Wszyscy byli jednak bardzo zadowoleni, że mnie widzą i, z wyjątkiem mojego brata, przywitali mnie z radością. Poszedłem zobaczyć się z nim w jego drukarni. Ubrałem się wytworniej niż kiedykolwiek podczas służby u niego, od stóp do głów miałem na sobie nowe odzienie, zegarek, a moje kieszenie były wyłożone srebrem o wadze prawie 5 funtów szterlingów. Przywitał mnie niezbyt przychylnie, obejrzał mnie od stóp do głów i wrócił do pracy.

Czeladnicy byli ciekawi, gdzie byłem, w jakim rejonie i jak mi się podobało. Chwaliłem się szczęśliwym życiem, które wiodłem, wyrażając stanowczo zamiar powrotu. Jeden z nich zapytał, ile tam zarabiałem. Wyciągnąłem garść srebra i rozłożyłem je przed nim. Widok ten należał do rzadkości, gdyż w Bostonie płacono papierowymi pieniędzmi. Wtedy skorzystałem z okazji i pozwoliłem im zobaczyć mój zegarek, a na koniec (mój brat nadal był zrzędliwy i ponury) dałem im po małej monecie na napitek i wyszedłem. Moja wizyta bardzo go uraziła, ponieważ kiedy moja matka po jakimś czasie rozmawiała z nim o pojednaniu, o tym, że chce nas widzieć w

dobrych relacjach i że możemy żyć w przyszłości jako zgodni bracia, powiedział, że obraziłem go przed ludźmi w taki sposób, że nigdy mi tego nie zapomni ani nie przebaczy. W tym się jednak mylił.

Mój ojciec otworzył list od gubernatora z pewnym zaskoczeniem i przez kilka dni nie chciał ze mną rozmawiać na ten temat. Kiedy kapitan Holmes wrócił do Bostonu, ojciec pokazał mu list i zapytał go, jak dobrze zna Keitha i jakim jest on człowiekiem. Dodał, że gubernator musi być nierozważny, aby myśleć o zleceniu prowadzenia interesu chłopcu, który jeszcze przez trzy lata powinien pobierać nauki. Holmes, próbował przekonać ojca do tego projektu, jak tylko mógł, ale ten wyraził się jasno o jego niestosowności i w końcu stanowczo odmówił. Następnie napisał list do sir Williama, dziękując mu za patronat, który mi tak uprzejmie zaoferował, i informując go, że odmawia udzielenia mi wsparcia i zgody na założenie firmy, ponieważ jestem jego zdaniem zbyt młody, by można było mi powierzyć zarządzanie tak ważnym i kosztownym w przygotowaniu interesem.

Mój przyjaciel i kompan Collins, który był urzędnikiem pocztowym, aż błagał mnie o przekazanie mu relacji z życia w mojej nowej prowincji, zdeterminowany, aby również tam pojechać. Podczas gdy ja czekałem na decyzję mojego ojca, wyruszył przede mną drogą lądową na Rhode Island. Zostawił swoje książki, które obejmowały pokaźny zbiór matematyki i nauk przyrodniczych, aby udać się do Nowego Jorku, gdzie miał na mnie czekać.

Mój ojciec, choć odrzucił propozycję sir Williama, był jednak zadowolony z tego, że udało mi się tak korzystnie wyrobić charakter. Podobało mu się, że biorąc przykład ze znamienitej osoby, u której mieszkałem, stałem się tak pracowity i ostrożny, że w krótkim czasie mogłem się dostatnio wyposażyć. Dlatego też, nie widząc żadnych perspektyw na to, abym znów zamieszkał z bratem, wyraził zgodę na mój powrót do Filadelfii. Doradził mi, abym zachowywał się z szacunkiem dla tamtejszej ludności, starał się uzyskać ogólne poważanie i unikał rozbojów i zniesławienia, do czego miałem zbyt

wielką skłonność. Powtarzał mi, że przez cierpliwą pracę i roztropne oszczędzanie mógłbym zaoszczędzić wystarczająco dużo, aby już w wieku dwudziestu jeden lat osiągnąć stabilizację finansową. Usłyszałem również, że gdybym wtedy nadal miał zamiar zająć się własnym interesem, mógłbym liczyć na jego pomoc. To było wszystko, co mogłem otrzymać, z wyjątkiem kilku małych darów jako dowodów miłości jego i mojej matki, kiedy wyruszyłem ponownie w stronę Nowego Jorku, tym razem z ich aprobatą i błogosławieństwem.

Będąc w Newport na Rhode Island, odwiedziłem mojego brata, Johna, który był żonaty i osiadł tam kilka lat wcześniej. Przyjął mnie bardzo czule, bo zawsze mnie kochał. Jego przyjaciel, niejaki Vernon, miał w Pensylwanii do odebrania około 35 funtów, chciał, abym je dla niego zabrał i zatrzymał je do czasu, aż udzieli mi dalszych wskazówek, co z nimi zrobić. Wręczył mi przekaz. Później sprawiło mi to sporo kłopotu.

W Newport zabraliśmy wielu pasażerów do Nowego Jorku, wśród których były dwie młode kobiety podróżujące razem. Była też pewna poważna, dostojna dama przypominająca matronę, wraz ze swoją służbą. Okazałem uprzejmą gotowość, by wyświadczyć jej kilka drobnych przysług, które, jak sądzę, sprawiły, że spojrzała na mnie przychylnym okiem. Dlatego też, kiedy z dnia na dzień zauważała coraz większą zażyłość między mną a dwiema młodymi kobietami, które zachęcały mnie do zacieśniania znajomości, wzięła mnie na bok i powiedziała: „Młody człowieku, martwię się o ciebie, ponieważ nie masz u boku żadnego przyjaciela i wydaje się, że niewiele wiesz o świecie ani o sidłach, w jakie może wpaść młodzież. To są bardzo złe kobiety, widzę to we wszystkich ich działaniach, a jeśli opuścisz gardę, narażą cię na jakieś niebezpieczeństwo. Są ci obce i radzę ci, troszcząc się życzliwie o twoje dobro, zerwać z nimi znajomość”. Początkowo nie myślałem o nich tak źle jak ona, jednak, gdy wspomniała o kilku rzeczach, które zauważyła i usłyszała, a które umknęły mojej uwadze, przekonała mnie do swojej racji. Podziękowałem jej za życzliwą radę i obiecałem, że wezmę ją do

serca. Kiedy przyjechaliśmy do Nowego Jorku, te kobiety powiedziały mi, gdzie mieszkają i zaprosiły, bym je odwiedził. Odmówiłem – i dobrze zrobiłem. Następnego dnia kapitan nie mógł znaleźć srebrnej łyżki wraz z kilkoma innymi rzeczami, które zginęły z jego kabiny, a wiedząc, że były to złodziejki, wydał nakaz przeszukania ich kwater, w których znalazł skradzione towary, a następnie kazał wymierzyć im karę. Mimo, iż udało mi się uniknąć zatonięcia, gdy zahaczyliśmy o skałę, pomyślałem wtedy, że to jednak ta ostatnia decyzja mogła mieć dla mnie większe znaczenie.

Trudne relacje

W Nowym Jorku odnalazłem mojego przyjaciela Collinsa, który przyjechał tam jakiś czas wcześniej. Od dziecka byliśmy sobie bliscy, czytaliśmy te same książki, tyle, że on miał więcej czasu na czytanie i studiowanie oraz przejawiał ogromny talent do nauki matematyki, w której był lepszy ode mnie. Gdy mieszkałem w Bostonie, większość wolnego czasu spędzałem na rozmowach z nim. Był jeszcze wówczas trzeźwo myślącym i pracowitym chłopcem. Budził respekt przez wzgląd na wyniki w nauce u kilku duchownych i innych poważnych ludzi oraz zdawało się, że ustawi się w życiu. Ale podczas mojej nieobecności nabrał nawyku popijania brandy. Zobaczyłem na własne oczy, a także słyszałem od innych, że od przybycia do Nowego Jorku chodził codziennie pijany i bardzo dziwnie się zachowywał. Wpadł też w hazard i stracił pieniądze, więc musiałem przyjąć go do swojej kwatery i pokryć jego wydatki na podróż do Filadelfii, co było dla mnie bardzo niewygodne.

Ówczesny gubernator Nowego Jorku, Burnet (syn biskupa Burneta), dowiedział się od kapitana, że pewien młody człowiek, jeden z jego pasażerów, posiada wiele książek. Gubernator postanowił się ze mną spotkać. Czekałem więc na niego i choć powinienem był zabrać ze sobą Collinsa, to jednak akurat nie był on trzeźwy. Gubernator potraktował mnie z wielką życzliwością, pokazał mi swoją bibliotekę, która była bardzo duża i odbyliśmy wiele rozmów o książkach i autorach. Był to drugi gubernator, który uczynił mi zaszczyt i zwrócił na mnie uwagę, co dla takiego biednego chłopca jak ja było bardzo miłe.

Udało nam się dotrzeć do Filadelfii. Po drodze odebrałem pieniądze od Vernona, bez których moglibyśmy nie ukończyć podróży. Collins chciał znaleźć zatrudnienie w jakimś kantorze, ale mimo że miał pewne kompetencje, nie odniósł sukcesu i kontynuował zakwaterowanie i wyżywienie w tym samym domu ze mną i na mój koszt. Nie wiadomo czy wyczuwano jego śmierdzący alkoholem oddech, czy przyczyną było jego zachowanie. Wiedząc, że mam pieniądze Vernona, nieustannie pożyczał ode mnie, wciąż obiecując spłatę, gdy tylko znajdzie pracę. W końcu doszło do tego, że oddałem mu tak dużo pieniędzy, że z niepokojem myślałem o tym, co zrobię, jeśli zostanę wezwany do spłaty długu.

Jego picie nie ustawało, o co czasami się kłóciliśmy, bo kiedy był trochę odurzony, stawał się bardzo krnąbrny. Pewnego razu, gdy płynęliśmy łodzią po rzece Delaware z kilkoma innymi młodymi ludźmi, odmówił wiosłowania na swojej zmianie. „Wieźcie mnie do domu” – powiedział. „Nie będziemy wiosłować za ciebie” – odpowiedziałem. „Musisz wiosłować albo zostaniesz na wodzie całą noc” – rzekł – „jeśli tego chcesz”. Inne osoby w łodzi były w stanie mu pofolgować i wiosłować za niego. Ponieważ jednak miałem już dość jego zachowania, nadal odmawiałem. Przysiągł więc, że zmusi mnie do wiosłowania lub wyrzuci za burtę. Ruszył stąpając po ławeczkach w moją stronę, a kiedy podszedł do mnie i mnie uderzył, włożyłem dłoń pod jego wiosło i wstałem, przez co wrzuciłem go przodem do rzeki. Wiedziałem, że jest dobrym pływakiem, więc nie

martwiłem się o niego, ale zanim zdążył wyłonić się z wody i chwycić łódź, kilkoma pociągnięciami wioseł oddaliliśmy się poza jego zasięg. Kiedy zbliżał się do łodzi, pytaliśmy, czy będzie wiosłować, a jednocześnie wiosłowaliśmy, aby odsunąć łódź od niego. Był gotów umrzeć na złość nam i uparcie nie chciał wiosłować. Widząc jednak, że w końcu zaczyna się męczyć, wyciągnęliśmy go i wieczorem przywieźliśmy przemoczonego do domu. Rzadko kiedy wymienialiśmy potem cywilizowane słowa, a pewien kapitan z Indii Zachodnich, który miał pozyskać nauczyciela dla synów pewnego dżentelmena na Barbadosie, którego przypadkowo spotkał, zgodził się go tam zawieźć. Zostawił mnie wtedy, obiecując oddać mi pierwsze zarobione pieniądze, jakie powinien otrzymać, aby spłacić dług, ale potem nigdy już o nim nie słyszałem.

Nie powinienem był tykać pieniędzy Vernona i stanowiło to jedną z pierwszych wielkich pomyłek w moim życiu. Pokazało mi to, że mój ojciec nie mylił się za bardzo w swoim osądzie, kiedy zakładał, że jestem zbyt młody, by prowadzić poważne interesy. Ale sir William po lekturze jego listu powiedział, że był zbyt ostrożny. Ludzie bardzo różnią się od siebie, rozwaga nie zawsze idzie w parze z wiekiem, a młodość nie musi oznaczać jej braku. „Skoro on ci nie pomoże – powiedział gubernator – uczynię to sam. Daj mi spis rzeczy, które trzeba przywieźć z Anglii, a ja po nie poślę. Odwdzięczysz mi się, kiedy będziesz mógł. Jestem zdeterminowany, by stworzyć tu dobrą drukarnię i jestem pewien, że ci się uda”. Mówił o tym tak serdecznie, że nie miałem najmniejszych wątpliwości co do jego intencji. Dotychczas propozycja prowadzenia przeze mnie interesu nie wyszła poza Filadelfię i nadal utrzymywałem ją w sekrecie. Gdybym powiedział innym, że teraz polegam na słowie gubernatora, prawdopodobnie jakiś tamtejszy znajomy, który znał go lepiej, poradziłby mi nie przywiązywać wielkiej wagi do jego słów, gdyż później dowiedziałem się, że był znany z lekceważącego stosunku wobec obietnic, których w rzeczywistości nigdy nie zamierzał dotrzymać. A jednak, ponieważ o nic go nie prosiłem, jak mogłem uważać jego hojność za nieszczerą? Wierzyłem, że był jednym z najlepszych ludzi na świecie.

Przedstawiłem mu inwentarz małego domu drukarskiego, którego koszt według moich obliczeń miał wynieść około stu funtów szterlingów. Przypadło mu to do gustu, ale spytał mnie, czy nie lepiej by było, gdybym udał się do Anglii, aby samodzielnie wybrać czcionki i sprawdzić, czy każdy wybrany przedmiot posiada właściwą jakość wykonania. „Gdybyś tam był, mógłbyś nawiązywać znajomości i wzorować się na tamtejszej sztuce księgarskiej i papierniczej" – powiedział. Zgodziłem się, że takie rozwiązanie może być korzystne. „W takim razie – stwierdził – przygotuj się do drogi na Annisie". Annis był statkiem, który wypływał raz do roku i kursował w tamtym czasie przeważnie między Londynem a Filadelfią. Minęło kilka miesięcy, zanim Annis miał wypłynąć, więc do tego czasu nadal pracowałem z Keimerem, martwiąc się o pieniądze, które dostał ode mnie Collins. Każdego dnia obawiałem się, że Vernon wezwie mnie do spłaty długu, co jednak nie zdarzyło się przez kilka następnych lat.

Wydaje mi się, że dotąd nie wspomniałem o tym, iż podczas mojej pierwszej podróży z Bostonu, w pobliżu Block Island, moi współtowarzysze zabrali się do połowu dorsza i złowili bardzo dużo ryb. Dotąd trzymałem się swojego postanowienia, że nie będę jadł zwierząt i przy tej okazji postrzegałem, za moim mistrzem Tryonem, złowienie każdej ryby jako swego rodzaju niesprowokowane morderstwo, ponieważ żadna z nich nigdy nie wyrządziła, ani nie mogła wyrządzić nam krzywdy, która usprawiedliwiałaby ich rzeź. Wszystko to wydawało mi się bardzo rozsądne. Kiedyś jednak byłem wielkim miłośnikiem smaku ryb, a przyrządzone na patelni na gorąco, pachniały cudownie. Przez jakiś czas balansowałem między twardą zasadą a skłonnością, aż w którymś momencie przypomniałem sobie, że gdy ryby były patroszone, widziałem mniejsze ryby wyjęte z ich żołądków. Wtedy pomyślałem: „Jeśli jecie siebie nawzajem, nie widzę powodu, dla którego nie możemy was zjeść". Wobec tego jadłem dorsza wraz z innymi z wielkim zapałem, tylko od czasu do czasu wracając do diety warzywnej. Bycie istotą

rozumną jest bardzo wygodne, ponieważ pozwala uzasadnić każdą myśl i każde obrane działanie.

Keimer i ja żyliśmy na dobrej stopie i nieźle się dogadywaliśmy, bo on nie podejrzewał, że zamierzam prowadzić swój własny interes. Zachował wiele ze swojego dawnego entuzjazmu i wielokrotnie prowadziliśmy długie dysputy. Stosowałem na nim moją sokratejską metodę i bardzo często udawało mi się go zmylić, zadając pytania pozornie odległe od każdego tematu branego pod rozwagę, a jednak stopniowo zmierzałem do sedna sprawy i naprowadzałem go na trudności i sprzeczności, co poskutkowało tym, że w końcu stawał się absurdalnie ostrożny i ledwo odpowiadał mi na najprostsze pytania, zapytując najpierw: „Co zamierzasz z tego wywnioskować?". Przekonało go to jednak o moich zdolnościach perswazyjnych i zupełnie poważnie zaproponował mi zostanie jego wspólnikiem w projekcie założenia nowej sekty. Do niego należałoby głoszenie doktryny, a ja miałem zawstydzić wszystkich jej przeciwników. Kiedy przyszedł, aby wyjaśnić ze mną zawiłości tej doktryny, znalazłem w niej kilka kwestii, którym się sprzeciwiałem i podjąłem wysiłek przedstawienia mu swoich poglądów.

Keimer nosił długą brodę, ponieważ gdzieś w Prawie Mojżeszowym jest powiedziane: „Nie będziesz brudzić kącików swojej brody". Podobnie zachowywał szabat w siódmy dzień – te dwa punkty były dla niego istotne. Nie lubiłem obu tych wymogów, ale zgodziłem się na nie pod warunkiem przyjęcia przez niego doktryny niespożywania pokarmu odzwierzęcego. „Wątpię" – powiedział. – „Mój organizm tego nie wytrzyma". Zapewniłem go, że do niczego takiego nie dojdzie i że stanie się przez to zdrowszy. Zwykle był wielkim żarłokiem i postanowiłem trochę się z nim zabawić i namówić go na post. Zgodził się, pod warunkiem, że dotrzymam mu towarzystwa. Zrobiłem to i trzymaliśmy się tej diety przez trzy miesiące. Wikt zapewniała nam kobieta z sąsiedztwa, której sporządziłem listę czterdziestu dań do przygotowania takich, aby nie zawierały ani ryb, ani mięsa, ani ptactwa, a kaprys ten szczególnie mi odpowiadał z powodu jego taniości, bo nie kosztowało nas to więcej niż

osiemnaście funtów szterlingów tygodniowo. Od tamtej pory wielokrotnie robiłem sobie posty, w tym celu porzucając nagle i bez najmniejszych niedogodności wspólną dietę, aby następnie do niej wrócić. Myślę, że na niewiele zdała się rada, aby wprowadzać te zmiany stopniowo. Mnie udawało się dotrzymać postanowienia bez problemów, ale biedny Keimer cierpiał męki i zmęczony byciem jaroszem, tęsknił za mięsem z Egiptu. W końcu zamówił pieczoną świnię. Zaprosił mnie i dwie przyjaciółki na obiad, ale ponieważ wieprzowina została podana do stołu zbyt wcześnie, gospodarz nie mógł oprzeć się pokusie i zjadł całość sam, zanim przyszliśmy.

Miłość i przyjaźnie

W tym czasie uderzyłem w konkury do panny Read. Traktowałem ją z wielkim szacunkiem i czułem do niej przywiązanie. Miałem powody, by sądzić, że darzy mnie tym samym uczuciem. Ponieważ jednak miałem właśnie wyruszyć w długą podróż, a oboje byliśmy bardzo młodzi, mając zaledwie nieco powyżej osiemnastu lat, jej matka uważała za najrozsądniejsze, abyśmy obecnie nie posuwali się za daleko, a małżeństwo rozsądniej byłoby zawrzeć po powrocie, kiedy powinienem, zgodnie z oczekiwaniami, rozpocząć swoją działalność. Być może też uważała, że moje oczekiwania nie są tak uzasadnione, jak sobie wyobrażałem.

W tym czasie moimi głównymi znajomymi byli Charles Osborne, Joseph Watson i James Ralph, wszyscy oni byli miłośnikami czytania. Dwaj pierwsi pracowali dla wybitnego pisarza i przewoźnika z miasta, Charlesa Brogdena, a trzeci był zatrudniony jako ekspedient u kupca. Watson był pobożnym, rozsądnym młodzieńcem o wielkiej prawości,

inni byli bardziej rozluźnieni w swoich zasadach religijnych, zwłaszcza Ralph, który, podobnie jak Collins, budził we mnie niepokój, przez co cierpiałem. Osborne był rozsądny, szczery, bezpośredni, serdeczny i czuły dla swoich przyjaciół, ale w sprawach literackich zbyt bardzo lubił krytykować. Ralph był genialny, szlachetny w swoich manierach i niezwykle elokwentny. Myślę, że nigdy nie znałem bardziej elokwentnego mówcy. Obaj byli wielkimi wielbicielami poezji i zaczęli próbować swoich sił w krótkich utworach. Wiele przyjemnych spacerów, które odbyliśmy we czwórkę w niedzielę do lasu w pobliżu Schuylkill, spędziliśmy na wzajemnej lekturze i rozmowach o tym, co przeczytaliśmy.

W związku z tym padła propozycja, aby każdy z nas na kolejnym spotkaniu przeczytał fragment własnego utworu, aby mógł go następnie ulepszyć dzięki wspólnym obserwacjom, krytyce i poprawkom. Ponieważ język i ekspresja były tym, o co nam chodziło, wykluczyliśmy wszelkie względy inwencji, zgadzając się, że tematem zadania powinna być własna wersja Psalmu 18, który opisuje zstąpienie Boga na pomoc wołającemu. Kiedy zbliżała się godzina naszego spotkania, Ralph wezwał mnie na bok i dał mi znać, że jego dzieło jest gotowe. Powiedziałam mu, że byłem zajęty i ze względu na mały zapał do pracy nic nie zrobiłem. Pokazał mi swój utwór, by poznać moją opinię, a ja bardzo go pochwaliłem, gdyż wydawało mi się, że ma on wielką wartość. „Cóż – powiedział – Osborne nigdy nie dostrzeże najmniejszej zalety w żadnej z moich prac, ale uczyni tysiąc krytycznych uwag z samej zazdrości. Nie jest aż tak zazdrosny o ciebie, chciałbym więc, żebyś wziął ten utwór i pokazał go jako swój. Ja będę udawał, że nie miałem czasu i niczego nie przygotowałem. Zobaczymy, co on na to powie". Zgodziłem się i natychmiast przepisałem utwór, aby wyglądało na to, że wyszedł spod mojej ręki.

Kiedy doszło do spotkania, Watson odczytał swój utwór. Było w nim trochę piękna, ale i wiele wad. Osborne wypadł o wiele lepiej. Ralph podszedł do jego utworu sprawiedliwie. Zauważył kilka niedoskonałości, ale oklaskiwał atrybuty dzieła. On sam nie miał nic

do pokazania. Ociągałem się z przeczytaniem mojego. Chciałem się usprawiedliwić, że nie miałem wystarczająco dużo czasu na poprawienie błędów, ale żadna wymówka nie zostałaby przyjęta i musiałem przedstawić to, co miałem. Przeczytałem raz i drugi, a Watson i Osborne wycofali się z konkursu i zaczęli bić gromkie brawa. Ralph przedstawił tylko kilka krytycznych uwag i zaproponował kilka poprawek, ale ja broniłem swojego tekstu. Osborne był przeciwny Ralphowi i powiedział mu, że nie jest lepszym krytykiem niż poetą, więc zrezygnował z argumentacji. Kiedy Watson i Ralph poszli razem do domu, Osborne wyraził jeszcze większą aprobatę w stosunku do tego, co uważał za moją twórczość, powstrzymując się przed tym wcześniej, jak powiedział, bym nie uważał tego za pochlebstwo. „Pomyślałby kto – powiedział – że Franklin był zdolny do takiego przedstawienia, takiego obrazu, takiej siły, takiego ognia! On nawet zaimprowizował oryginał. W rozmowie zdaje się nie mieć odpowiedniego zasobu słów, waha się i błądzi, a jednak, dobry Boże, jak on pisze!". Kiedy następnym razem się spotkaliśmy, Ralph odkrył fortel, w który go wplątaliśmy, a Osborne był trochę zaskoczony.

Ta sytuacja utwierdziła Ralpha w postanowieniu zostania poetą. Zrobiłem wszystko, co mogłem, aby go od tego odwieść, ale kontynuował pisanie wersetów, dopóki nie wyperswadował mu tego Alexander Pope. Stał się jednak całkiem dobrym prozaikiem. Więcej o nim opowiem później, ale ponieważ być może nie będę miał okazji ponownie wspomnieć o pozostałych dwóch kolegach, powiem tylko, że Watson zmarł w moich ramionach kilka lat później, nad czym bardzo ubolewałem, gdyż był najlepszy z naszej grupy. Osborne udał się do Indii Zachodnich, gdzie został wybitnym prawnikiem i zarabiał poważne pieniądze, ale zmarł młodo. Zawarliśmy poważną umowę, że ten, któremu zdarzy się umrzeć pierwszemu, powinien, o ile to możliwe, złożyć przyjacielską wizytę drugiemu i poinformować go, jak odnajduje się w tym odmiennym stanie. Ta obietnica nie została jednak spełniona.

Pierwszy wyjazd do Londynu

Gubernator, który najwyraźniej lubił moje towarzystwo, często zapraszał mnie do swojego domu, a swoje wsparcie dla mojego interesu zawsze podkreślał jako pewnik. Zapewnił mi, że przygotuje dla mnie listy polecające do kilku jego znajomych, oprócz listu kredytowego, aby zapewnić sobie pieniądze na zakup prasy i maszynopisów, papieru i tym podobnych drobiazgów. Miałem się po nie zjawić w przyszłości, ale termin ich odebrania nie został jeszcze wyznaczony. To przeciągało się do czasu aż statek, którego wypłynięcie również było kilkakrotnie przekładane, miał wreszcie odpłynąć. Kiedy zjawiłem się u gubernatora przed rozpoczęciem podróży i chciałem odebrać listy, jego sekretarz, doktor Bard, przyszedł do mnie i poinformował, że gubernator jest bardzo zajęty pisaniem, ale będzie w Newcastle przed przypłynięciem statku i wtedy dostarczy mi listy.

Ralph, choć był żonaty i miał jedno dziecko, postanowił towarzyszyć mi w tej podróży. Myślałem, że zamierzał nawiązać tam korespondencję i pozyskiwać towary do sprzedaży na zlecenie, ale potem odkryłem, że ze względu na niezadowolenie z tego, jak układały się jego relacje z żoną, zamierzał ją opuścić i nigdy więcej nie wrócić. Pożegnawszy się z moimi przyjaciółmi i wymieniwszy obietnice z panną Read, opuściłem Filadelfię na statku, który zakotwiczył w Newcastle. W tym czasie przebywał tam również gubernator, ale kiedy udałem się do jego kwatery, sekretarz przyszedł do mnie i najuprzejmiej na świecie dał mi do zrozumienia, że gubernator nie może się teraz ze mną zobaczyć, gdyż pochłonęły go sprawy najwyższej wagi, ale nada wszystkie listy, gdy będę już na

pokładzie, a póki co serdecznie życzy mi dobrej podróży i szybkiego powrotu. Wróciłem na pokład trochę zdziwiony, ale wciąż nie wątpiłem, że otrzymam te listy.

Tym samym statkiem miał płynąć pan Andrew Hamilton, sławny prawnik z Filadelfii, wraz z synem. Mieli oni zamieszkać w wielkiej kajucie z panem Denhamem, kupcem kwakierskim oraz panami Onionem i Russelem, mistrzami ślusarstwa z Maryland. Tym samym Ralph i ja zostaliśmy zmuszeni do zajęcia miejsca w sterowni, a nikt na pokładzie nas nie znał, więc traktowano nas jak zwyczajnych pasażerów. Pan Hamilton i jego syn (James, późniejszy gubernator) musieli zawrócić z Newcastle do Filadelfii, gdyż otrzymał on wielkie honorarium za wystąpienie w sprawie zarekwirowanego statku. Tuż przed wypłynięciem pułkownik French wszedł na pokład i okazał mi wielki szacunek, dzięki czemu zostałem zauważony, a wraz z moim przyjacielem Ralphem otrzymaliśmy zaproszenie od panów, abyśmy dołączyli do nich w kajucie, bo tam już teraz było dla nas miejsce, w związku z czym przenieśliśmy się tam.

Dowiedziawszy się, że pułkownik French przyniósł na pokład przesyłki od gubernatora, poprosiłem kapitana o listy, które miały do mnie trafić. Powiedział, że wszystkie zostały wrzucone do jednego worka i nie mógł ich w tamtej chwili wyciągnąć, ale zapewnił mnie, że zanim dobijemy do portu w Anglii, będę mieć możliwość ich zabrania. Byłem więc zadowolony z takiego obrotu spraw i wyruszyliśmy w podróż. Mieliśmy przemiłe towarzystwo w kabinie i podróżowało nam się w niej wyjątkowo dobrze. Do dyspozycji były wszystkie obfite zapasy pana Hamiltona, który nam ich nie skąpił. Podczas podróży zawarłem przyjaźń z panem Denhamem, która trwała do końca jego dni. Pod innymi względami podróży nie można uznać za szczególnie przyjemną ze względu na bardzo złą pogodę.

Kiedy wpłynęliśmy do Kanału, kapitan dotrzymał słowa i dał mi możliwość przejrzenia torby w poszukiwaniu listów gubernatora. Nie znalazłem żadnego adresowanego do mnie. Wybrałem sześć lub siedem listów, które – sądząc po charakterze pisma – mogły być

przeznaczone dla mnie, zwłaszcza że jeden z nich został napisany do Basketa, królewskiego drukarza, a drugi do jakiegoś handlarza materiałów piśmiennych.

Przybyliśmy do Londynu 24 grudnia 1724 roku. Najpierw spotkałem tego handlarza i próbowałem dostarczyć mu list od gubernatora Keitha. „Nie znam takiej osoby" – przyznał, a po otwarciu listu powiedział: „O! to jest od Riddlesdena. Ostatnio odkryłem, że jest kompletnym łajdakiem i nie chcę mieć z nim nic wspólnego i nie będę czytać żadnych listów od niego". Następnie włożył mi list do ręki, odwrócił się na pięcie i zostawił mnie, aby obsłużyć jakiegoś klienta. Zaskoczyło mnie to, że autorem tych listów nie był gubernator; zacząłem więc sięgać pamięcią wstecz i kontemplować okoliczności, w jakich nawiązaliśmy znajomość, aż nabrałem wątpliwości, czy mówił szczerze. Odszukałem Denhama i przedstawiłem mu całą sprawę. Pomógł mi zrozumieć charakter Keitha. Powiedział, że jest mało prawdopodobne, iż napisał dla mnie jakieś listy oraz że nikt, kto go znał, nie polegał na nim w najmniejszym stopniu. Śmiał się z pomysłu, że gubernator miał dać mi listy kredytowe, nie udzielając, jak powiedział, nikomu żadnej pożyczki. Wyrażając pewne zaniepokojenie tym, co powinienem teraz zrobić, poradził mi, abym postarał się o zatrudnienie w ramach mojej dotychczasowej specjalności. Powiedział: „Zatrudnij się w jakiejś tutejszej drukarni, a kiedy wrócisz do Ameryki, zyskasz większą przewagę".

Zdawaliśmy sobie sprawę – podobnie jak kupiec materiałów piśmienniczych – że Riddlesden, adwokat, był łajdakiem. Niemal doprowadził do ruiny ojca panny Read, namawiając go do związania się z nim. Z tego listu wynikało, że istniał jakiś tajny plan, aby zaszkodzić Hamiltonowi (który miał płynąć z nami), a Keith wraz Riddlesdenem byli jego prowodyrami. Denham, który przyjaźnił się z Hamiltonem, uważał, że powinien przyjrzeć się sprawie. W związku z tym, gdy przybyliśmy do Anglii, częściowo z niechęci i żalu do Keitha i Riddlesdena, a częściowo z pragnienia wyświadczenia przysługi, wręczyłem Denhamowi ten list. Podziękował mi serdecznie, ponieważ

informacja ta była dla niego ważna i od tego czasu stał się moim przyjacielem, co potem wielokrotnie działało na moją korzyść.

Cóż jednak myśleć o żałosnych sztuczkach gubernatora, który tak bardzo stara się zaimponować biednemu, naiwnemu chłopcu? Po prostu weszło mu to w zwyczaj. Chciał zadowolić wszystkich, a mając niewiele do zaoferowania, składał sporo obietnic. Tym niemniej był genialnym, rozsądnym człowiekiem, całkiem niezłym pisarzem, a dla ludzi dobrym gubernatorem, choć nie zawsze jego postępowanie podobało się właścicielom ziemskim, których instrukcje czasami ignorował. Niektóre z naszych najlepszych praw były jego pomysłem i zostały uchwalone podczas jego administracji.

Ralph i ja byliśmy nierozłącznymi towarzyszami. Zamieszkaliśmy razem w Małej Brytanii za trzy szylingi i sześć pensów tygodniowo – tyle, na ile nas było wtedy stać. Ralph odszukał krewnych, ale oni byli biedni i nie mogli mu pomóc. Dopiero teraz opowiedział mi o swoich zamiarach pozostania w Londynie i o tym, że nigdy nie zamierzał wracać do Filadelfii. Nie przywiózł ze sobą żadnych pieniędzy, ponieważ wszystko, co zebrał, wydał co do grosza na opłacenie podróży. Miałem piętnaście dukatów i od czasu do czasu coś mu pożyczałem, kiedy obaj rozglądaliśmy się za pracą. Ralph nawet starał się zatrudnić w teatrze, wierząc, że ma kwalifikacje do bycia aktorem. Wilkes jednak, do którego się zgłosił, odradził mu szczerze myślenie o tej pracy, ponieważ nie było według niego możliwości, by odniósł w tej dziedzinie sukces. Następnie Ralph zaproponował Robertsowi, wydawcy z Paternoster Row, że będzie dla niego tworzyć tygodnik taki jak „Spectator”. Postawił jednak pewne warunki, na które Roberts nie przystał. Później starał się zdobyć pracę jako kopista u wydawców i prawników, ale z marnym skutkiem.

Ja zaś natychmiast podjąłem pracę u Palmera w słynnej drukarni na Bartholomew Close, gdzie pracowałem przez blisko rok. Byłem dość pracowity, ale dużą część moich zarobków przeznaczałem na spędzanie czasu z Ralphem. Chodziliśmy na przedstawienia i

braliśmy udział w innych miejskich rozrywkach. Wydaliśmy razem wszystkie moje dukaty, a potem po prostu żyliśmy z dnia na dzień. Wydawało się, że całkiem zapomniał o swojej żonie i dziecku, a ja stopniowo o moich zobowiązaniach wobec panny Read, do której napisałem tylko jeden list. Zawiadamiałem ją, że prawdopodobnie nieprędko wrócę. To była kolejna z wielkich pomyłek mojego życia, które chciałbym naprawić, gdybym miał przeżyć je jeszcze raz. W rzeczywistości z powodu naszych wydatków ciągle nie byłem w stanie opłacić przyjazdu do domu.

U Palmera zajmowałem się składaniem drugiego wydania Religii Natury Williama Wollastona. Niektórych z jego wywodów nie uważałem za uzasadnione. Napisałem krótki artykuł metafizyczny, w którym poczyniłem uwagi na ich temat i zatytułowałem go Rozprawa o wolności, konieczności, przyjemności i bólu. Dedykowałem go mojemu przyjacielowi Ralphowi i wydrukowałem w małym nakładzie. Pan Palmer po tym wydarzeniu zaczął mnie postrzegać jako młodego człowieka przejawiającego pewne zdolności, mimo że surowo potępiał postulaty głoszone w broszurze, które wydawały mu się obrzydliwe. Wydrukowanie tej broszury było kolejnym błędem. Mieszkając w Małej Brytanii, poznałem pewnego księgarza, Wilcoxa, który prowadził sklep tuż obok. Posiadał ogromną kolekcję używanych książek. Nie istniały wówczas biblioteki. Doszliśmy do porozumienia, że na pewnych rozsądnych warunkach, których szczegółów już teraz nie pamiętam, mogę wziąć, przeczytać i zwrócić każdą z jego książek. Uznałem to za wielki pożytek dla siebie i korzystałem z tej okazji tak często, jak tylko mogłem.

Moja broszura w jakiś sposób wpadła w ręce pewnego lekarza, Lyonsa, autora książki pod tytułem Nieomylność ludzkiego sądu. Zaowocowało to zawarciem z nim znajomości. Bardzo cenił moje zdanie, często wzywał mnie do siebie, abyśmy rozmawiali na podobne tematy, zaprowadził mnie do Horns, pobliskiej piwiarni w Cheapside i przedstawił doktorowi Mandeville'owi, który zorganizował tam swego rodzaju klub. Był jego duszą jako najbardziej żartobliwy i miły gawędziarz. Lyons przedstawił mnie

również doktorowi Pembertonowi w kawiarni Batsona, który to obiecał mi kiedyś, że jeśli nadarzy się okazja, zapozna mnie z sir Isaakiem Newtonem, czego bardzo pragnąłem. Nigdy jednak do tego nie doszło.

Przywiozłem ze sobą kilka ciekawostek, wśród których główną była sakiewka z azbestu oczyszczająca się w ogniu. Sir Hans Sloane usłyszał o niej, odwiedził mnie i zaprosił do swojego domu na Bloomsbury Square, gdzie pokazał mi wszystkie swoje zbiory kolekcjonerskie. Namówił mnie, bym sprzedał mu sakiewkę, za którą sowicie zapłacił, w ten sposób powiększając swą kolekcję.

W naszym domu mieszkała młoda kobieta, modystka, która, jak mi się wydaje, prowadziła sklep pod arkadami. Była bardzo dobrze wychowana, żywiołowa, a także rozsądna i bardzo miła w rozmowie. Ralph wieczorami czytał jej sztuki teatralne, a ich spotkania stawały się coraz bardziej intymne. Kiedy wynajęła inną kwaterę, Ralph przeniósł się do niej. Mieszkali razem przez jakiś czas, ale ponieważ nadal nie mógł znaleźć pracy, a jej dochody nie starczały na utrzymanie ich oraz jej dziecka, podjął decyzję o wyjeździe z Londynu, aby spróbować zatrudnić się w wiejskiej szkole, do czego miał odpowiednie kwalifikacje. Uważał, że miał piękny charakter pisma i był mistrzem arytmetyki oraz rachunków. Uważał jednak, że taka praca uwłacza jego godności i był przekonany, że niedługo los się do niego uśmiechnie. W związku z tym nie chciał przyznawać się do swojego zajęcia. Zmienił nazwisko i uczynił mi zaszczyt przybrania mojego. Niebawem otrzymałem od niego list, w którym poinformował mnie, że osiedlił się w małej wiosce (w Berkshire, jak sądzę), gdzie uczył czytania i pisania kilkunastu chłopców, pobierając zapłatę w wysokości sześćdziesięciu centów tygodniowo. Poprosił mnie, abym zajął się panią T. i pragnął, żebym do niego pisał jako do pana Franklina, dyrektora szkoły, w takim a takim miejscu.

Pisywał do mnie dość regularnie, przysyłając mi duże części poematu epickiego, który wówczas komponował, a także prosił mnie o uwagi i poprawki. Udzielałem mu ich od czasu do czasu, ale starałem się

raczej zniechęcać go do dalszych działań. Właśnie opublikowano jedną z satyr Younga. Przepisałem i wysłałem mu znaczną jej część, która w ostrym świetle ukazywała głupotę służenia muzom z bez nadziei na poparcie z ich strony. Nie przyniosło to żadnego skutku, a ja nadal otrzymywałem nowe ustępy poematu. Tymczasem pani T., straciwszy z jego powodu przyjaciół i pracę, często nie miała za co żyć, a wtedy zwracała się do mnie i pożyczałem jej tyle, ile tylko mogłem, aby jej pomóc. Zacząłem lubić jej towarzystwo i jako że w tym czasie nie przejawiałem zbytnio religijnej powściągliwości i zakładałem, że jestem dla niej ważny, próbowałem się z nią spoufalić (kolejny błąd), na co ona odpowiedziała oburzeniem i urazą oraz doniosła Ralphowi o moim zachowaniu. Zniszczyło to całkowicie nasze stosunki. Kiedy wrócił do Londynu, dał mi do zrozumienia, że swoim zachowaniem anulowałem wszystkie zobowiązania, jakie miał wobec mnie. Tym samym nie miałem co liczyć na to, że kiedyś odda mi to, co mu pożyczyłem. Nie miało to jednak większego znaczenia, ponieważ i tak nie był on wypłacalny, a utrata jego przyjaźni uwolniła mnie od dość przykrego ciężaru. Postanowiłem zatem zdobyć trochę pieniędzy i, spodziewając się lepszej pracy, opuściłem Palmera, by pracować u Wattsa, który prowadził jeszcze większą drukarnię w pobliżu Lincoln’s Inn Fields. Tutaj pracowałem przez resztę mojego pobytu w Londynie.

Ambitny młody drukarz

Po rozpoczęciu pracy w tej drukarni zabrałem się do obsługiwania prasy. Wychodziłem z przekonania, że odczuwam brak wysiłku fizycznego, do jakiego przywykłem w Ameryce, gdzie obsługa prasy

jest połączona ze składaniem. Piłem tylko wodę, podczas gdy pozostali robotnicy, których było prawie pięćdziesięciu, żłopali ogromne ilości piwa. Od czasu do czasu nosiłem po schodach w górę i w dół dużą kasztę z czcionkami w każdej ręce, kiedy inni nosili tylko po jednej. Z tego i z kilku innych powodów zastanawiali się, jak to możliwe, że „Wodny Amerykanin", jak mnie nazywali, był silniejszy od nich, pijących mocne piwo! W drukarni przesiadywał chłopak z piwiarni, który przynosił piwo robotnikom. Mój towarzysz przy prasie wypijał codziennie kufel przed śniadaniem, kufel na śniadanie z chlebem i serem, kufel między śniadaniem a kolacją, kufel na kolację, kufel po południu około szóstej i kolejny, gdy wykonywał swoją codzienną pracę. Uważałem to za obrzydliwy zwyczaj. Mój towarzysz jednak wychodził z założenia, że trzeba wypić mocne piwo, aby mieć siły do pracy. Starałem się go przekonać, że siła fizyczna, jaką daje piwo, jest proporcjonalna do ziarna lub mąki jęczmienia rozpuszczonego w wodzie, z której zostało ono zrobione – że więcej jęczmienia zawiera jedna kromka chleba i że gdyby zjadł chleb i popił wodą, miałby więcej siły niż po piwie. Mimo to mój towarzysz pił dalej i miał cztery lub pięć szylingów do oddania z pensji w każdą sobotnią noc za ten ohydny napój, a ja byłem wolny od tego wydatku. Z tego powodu biedakom zawsze kiepsko się powodziło.

Watts po kilku tygodniach zażyczył sobie, abym przeszedł do zecerni, więc opuściłem robotników przy prasach. Zecerzy zażądali ode mnie wkupienia się pięcioma szylingami na popicie. Uważałem to żądanie za niesłuszne, ponieważ wkupiłem się już na dole. Majster był tego samego zdania. Wytrzymałem dwa lub trzy tygodnie, w trakcie których traktowano mnie jak wyklętego. Na każdym kroku spotykałem się z różnymi złośliwościami. Mieszano czcionki, przekładano strony, łamano matrycę i tak dalej, a wszystko to przypisywano duszkowi, o którym mówiono, że nawiedzał tych, którzy odmówili wkupu. Tym samym pomimo ochrony majstra byłem zobowiązany do płacenia pieniędzy.

Kiedy nasze relacje się ociepliły, wkrótce zyskałem znaczne wpływy wśród towarzyszy. Zasugerowałem kilka rozsądnych zmian w ich zecerskich zwyczajach i wprowadziłem je wbrew wszystkim sprzeciwom. Idąc za moim przykładem, duża część z nich przestała jadać otępiające śniadania z piwem, chlebem i serem. Zamiast tego z sąsiedniej jadłodajni sprowadzaliśmy sobie po dużej misce owsianki posypanej pieprzem, pokruszonym chlebem i odrobiną masła, co kosztowało nas tyle, ile kufel piwa, czyli trzy i pół pensa. Było to wygodniejsze i tańsze śniadanie, a co najważniejsze – nie mroczyło umysłu. Ci, którzy nadal cały dzień popijali piwo, często nie płacąc za nie, sprawiali, że ich dług w piwiarni wciąż narastał. Pożyczali więc ode mnie pieniądze na trunek, który im – jak sami twierdzili – dobrze służył. W sobotnie wieczory pilnowałem przy wypłacie, aby odebrać pożyczone im sumy, które czasem wynosiły do trzydziestu szylingów tygodniowo. Pożyczki oraz opinia żartownisia, jaka do mnie przylgnęła, umacniały moją pozycję w grupie. Moja stała frekwencja (nigdy nie brałem wolnego w poniedziałki, jak inni) sprawiała, że majster patrzył na mnie przychylnym okiem, a moja niezwykła zręczność w składaniu czcionek sprawiła, że delegowano mnie do wszelkiej pilnej pracy, która na ogół była lepiej płatna. Tak więc powodziło mi się całkiem nieźle.

Moja dotychczasowa kwatera w Małej Brytanii znajdowała się zbyt daleko, znalazłem zatem inną przy Duke Street, naprzeciwko katolickiej kaplicy. Mieszkanie to znajdowało się na drugim piętrze, na tyłach włoskiego magazynu. Dom należał do pewnej wdowy, która miała córkę oraz zatrudniała służącą. Pracował u niej także czeladnik, który doglądał sklepu, ale mieszkał gdzie indziej. Po zasięgnięciu języka na mój temat w domu, w którym ostatnio mieszkałem, zgodziła się mnie przyjąć za ten sam czynsz, jaki dotychczas płaciłem, czyli 3 szylingi i 5 pensów tygodniowo. Powiedziała mi, że niska cena wynika z jej nadziei, że obecność mężczyzny zapewni jej ochronę. Była wdową, starszą kobietą, wychowała się jako protestantka, będąc córką duchownego, ale została nawrócona na religię katolicką przez męża, którego pamięć bardzo ceniła. Obracała się wśród ludzi dystyngowanych i znała o

nich tysiąc anegdot, jeszcze z czasów Karola II. Kulała ze względu na podagrę, dlatego rzadko wychodziła z pokoju i brakowało jej kompana do rozmów. Ja zaś upodobałem sobie jej towarzystwo i chętnie spędzałem z nią wieczory, kiedy tylko tego chciała. Nasza kolacja składała się tylko z połówki sardeli, cieniutkiej kromki chleba z masłem i pół kwarty piwa na dwie osoby. Mimo to posiłki te były wartościowe ze względu na rozmowy z nią. Ponieważ prowadziłem unormowany tryb życia, przestrzegałem godzin posiłków i nie sprawiałem kłopotów, staruszka nie chciała się ze mną rozstać. Kiedy usłyszałem o możliwości zakwaterowania bliżej mojej pracy, za dwa szylingi tygodniowo, co dla mnie – chcącego jak najwięcej oszczędzić – stanowiło już pewną różnicę, staruszka oświadczyła, że mam sobie wybić z głowy przeprowadzkę, bo od tej pory będę mógł jej płacić o dwa szylingi mniej. Mieszkałem więc z nią za półtora szylinga aż do końca mojego pobytu w Londynie.

Na strychu jej domu mieszkała siedemdziesięcioletnia stara panna. Gospodyni opowiedziała mi, że była ona katoliczką, a w młodości została wysłana za granicę, by wstąpić do zakonu, ale władze tego kraju nie zgodziły się na jej pobyt i wróciła do Anglii, gdzie choć nie było klasztorów, to ślubowała prowadzić życie jak najbardziej zbliżone do zakonnego. W związku z tym oddała cały swój majątek na cele dobroczynne, zostawiając sobie tylko 12 funtów rocznie na życie. Z tej sumy nadal wiele przeznaczała na pomoc innym, żywiąc się wyłącznie gotowaną kaszą, a podczas gotowania zawsze starała się zużyć jak najmniej opału. Mieszkała na tym strychu przez wiele lat, a kolejni katoliccy lokatorzy pozwalali jej tam mieszkać za darmo, gdyż uważali jej obecność za błogosławieństwo. Codziennie odwiedzał ją ksiądz, aby ją wyspowiadać. „Pytałam ją – mówi moja gospodyni – w jaki sposób przy tak bogobojnym życiu może codziennie wyznawać coś spowiednikowi". „Och – odpowiedziała – nie da się uniknąć próżnych myśli". Raz pozwolono mi ją odwiedzić. Była radosna i uprzejma oraz miło się z nią rozmawiało. Pokój był schludny, ale nie znajdowały się w nim żadne meble poza materacem, stołem z krucyfiksem i książką, stołkiem, na którym usiadłem, i obrazem Świętej Weroniki zawieszonym nad paleniskiem,

na którym widniała chusta świętej z cudownym wizerunkiem krwawiącej twarzy Chrystusa. Znaczenie obrazu zostało mi wyjaśnione z wielką powagą. Mieszkanka poddasza wyglądała blado, ale nigdy nie była chora. Stanowiło to dla mnie kolejny przykład, że małe dochody są wystarczające, by utrzymać człowieka przy życiu i w dobrym zdrowiu.

W drukarni Wattsa zawarłem znajomość z genialnym młodym człowiekiem, Wygatem, który mając bogate koneksje, był lepiej wykształcony niż większość drukarzy. Znał łacinę, mówił po francusku i uwielbiał czytać. Po zaledwie dwóch próbach nauczyłem go i jego przyjaciela pływać w rzece i wkrótce stali się dobrymi pływakami. Przedstawili mnie kilku panom z prowincji, którzy przybyli drogą wodną do Chelsea, aby zobaczyć tamtejszy ośrodek dobroczynny i zbiory Don Saltera. Po powrocie z Chelsea, na prośbę towarzystwa, którego ciekawość rozbudził Wygate, rozebrałem się, wskoczyłem do rzeki i popłynąłem z okolic Chelsea do Blackfriars, dokonując po drodze wielu wyczynów zarówno na wodzie, jak i pod wodą, które zaskoczyły i spodobały się tym, którzy nie znali tych sztuczek.

Od dziecka zachwycałem się tymi ćwiczeniami, studiowałem i ćwiczyłem wszystkie ruchy oraz pozycje przedstawione w kompendium pływackim francuskiego pisarza, Thevenota oraz dodawałem do nich niektóre z moich własnych pomysłów, skupiając się na tym, co łatwe i użyteczne. Wszystko to pokazałem znajomym i bardzo mi schlebiał ich podziw, a Wygate, który pragnął zostać mistrzem w pływaniu, coraz bardziej przywiązywał się do mnie z zarówno z powodu tych umiejętności, jak i ze względu na podobne zamiłowania naukowe. Wygate proponował mi wspólne podróżowanie po całej Europie, podczas którego mieliśmy się utrzymywać z pracy w naszym zawodzie. Byłem skłonny przystać na jego propozycję, jednak, gdy wspomniałem o tym mojemu dobremu przyjacielowi, panu Denhamowi, z którym często spędzałem godzinę, gdy miałem czas wolny, wyperswadował mi ten pomysł. Denham

polecił mi skupić się na powrocie do Pensylwanii, co sam również zamierzał uczynić.

Muszę podkreślić jedną cechę charakteru tego dobrego człowieka. Wcześniej pracował w przedsiębiorstwie w Bristolu, ale zadłużył się u wielu ludzi, a zawarłszy z nimi ugodę, wyjechał do Ameryki. Pracując pilnie jako kupiec, w ciągu kilku lat dorobił się prawdziwej fortuny. Gdy wraz ze mną wracał statkiem do Anglii, zaprosił swoich starych wierzycieli na przyjęcie, na którym dziękował im za dogodny układ, jaki z nim zawarli. Wierzyciele nie spodziewali się niczego poza poczęstunkiem i podziękowaniami, jednak każdy z nich znalazł pod talerzem przekaz bankowy na pełną kwotę niespłaconej sumy wraz z odsetkami.

Denham oświadczył mi, że planuje wrócić do Filadelfii i chce zabrać ze sobą dużą ilość towarów, aby otworzyć tam sklep. Zaproponował też, że przyjmie mnie do pracy, abym zajął się prowadzeniem księgowości, której mnie nauczy. Miałbym też pisać listy i pełnić nadzór nad sklepem. Dodał, że gdy tylko wprawię się w pracy kupca, awansuje mnie i wyśle z ładunkiem mąki, chleba i innych towarów do Indii Zachodnich oraz zapewni mi inne opłacalne zlecenia. Jeżeli nie zawiodę go w niczym, zapewni mi świetlaną przyszłość. Pomysł ten bardzo mi się podobał, gdyż byłem już zmęczony Londynem, a z przyjemnością wspominałem szczęśliwe miesiące spędzone w Pensylwanii, którą chciałem znowu zobaczyć. Dlatego też natychmiast zgodziłem się na warunki finansowe opiewające na pięćdziesiąt funtów rocznie w walucie pensylwańskiej. Co prawda było to mniej niż obecnie zarabiałem jako zecer, ale dawało mi lepsze widoki na przyszłość.

Zrezygnowałem zatem z drukarstwa, jak sądziłem, na zawsze i zacząłem codzienną pracę w nowej dziedzinie. Miałem styczność z różnymi kupcami, od których nabywałem artykuły dla pana Denhama, pilnowałem sposobu pakowania towaru oraz załatwiałem inne sprawunki. Kiedy cały ładunek znalazł się już na pokładzie, miałem kilka dni wolnego. Pewnego razu, ku mojemu zaskoczeniu,

posłał po mnie wielki człowiek, którego znałem tylko ze słyszenia, sir William Wyndham. W jakiś sposób dowiedział się, że przepłynąłem z Chelsea do Blackfriars oraz że w ciągu kilku godzin nauczyłem pływać Wygate'a i innego młodego mężczyznę. Miał dwóch synów, którzy niedługo mieli wyruszyć w podróż. Chciał, żeby najpierw opanowali pływanie i zaproponował, iż sowicie mnie wynagrodzi za ich naukę. Młodzieńcy nie przybyli jeszcze do miasta, a termin mojego pobytu był niepewny, więc nie mogłem podjąć się tego zadania. Po tym zdarzeniu uważałem za prawdopodobne, że jeśli zostałbym w Anglii i otworzył szkołę pływania, mógłbym zarobić na tym dużo pieniędzy. Byłem tym tak przejęty, że gdybym otrzymał propozycję wcześniej, prawdopodobnie nie wróciłbym tak prędko do Ameryki. Być może pamiętasz, że po wielu latach mieliśmy do czynienia z jednym z synów sir Williama Wyndhama, który został hrabią Egremont, o czym wspomnę jeszcze w innym miejscu.

W sumie spędziłem Londynie około osiemnastu miesięcy. Przeważnie ciężko pracowałem w swoim zawodzie i miałem niewiele czasu dla siebie. Pozwalałem sobie jedynie na oglądanie sztuk teatralnych i czytanie książek. Mój przyjaciel Ralph odpowiadał za moje zubożenie – był mi winien około dwudziestu siedmiu funtów, których przypuszczalnie nigdy nie miałem otrzymać z powrotem, a było to wielką sumą wobec moich małych zarobków! Mimo wszystko kochałem go, bo miał wiele dobrych cech. W żadnym wypadku nie dorobiłem się fortuny, ale nawiązałem trochę ciekawych znajomości, miałem możliwość przeprowadzania bardzo pożytecznych rozmów i dużo czytałem.

Nowe życie w Filadelfii

Wypłynęliśmy z Gravesend 23 lipca 1726 roku. Odsyłam cię do mojego Dziennika, w którym znajdziesz wszystkie szczegóły tej podróży. Być może najważniejszą częścią tego pamiętnika jest plan, który ułożyłem na morzu, aby uporządkować moje przyszłe życie. Jest to tym bardziej niezwykłe, że opracowałem go, kiedy byłem bardzo młody, a mimo to dość wiernie trzymałem się go aż do starości.

Dopłynęliśmy do Filadelfii 11 października i zauważyliśmy wiele zmian. Keith nie był już gubernatorem, został zastąpiony przez majora Gordona. Spotkałem go spacerującego po ulicach niczym zwykły obywatel. Gdy mnie zobaczył, wydawał się trochę zawstydzony, ale przeszedł bez słowa. Ja za to powinienem się wstydzić przy spotkaniu panny Read, gdyby nie to, że jej przyjaciele, którzy słusznie porzucili nadzieję na mój powrót po otrzymaniu listu ode mnie, przekonali ją, by poślubiła innego, garncarza Rogersa, co też uczyniła pod moją nieobecność. Nie była z nim jednak nigdy szczęśliwa i wkrótce się z nim rozstała, odmawiając wspólnego mieszkania i noszenia jego nazwiska. Mówiono zresztą, że znalazł inną żonę. Był bezwartościowym osobnikiem, choć jako rzemieślnik miał fach w ręku, przez co przyjaciele panny Read zwrócili na niego uwagę. Rogers popadł w długi, a w 1727 lub 1728 roku wyjechał do Indii Zachodnich, gdzie zmarł. Keimer natomiast miał teraz lepszy dom, sklep dobrze zaopatrzony w artykuły papiernicze, mnóstwo nowych czcionek, zatrudniał kilkoro pracowników, choć żaden z nich nie był dobry. Wyglądało na to, że miał dużo pracy.

Pan Denham wynajął sklep na Water Street, gdzie wykładaliśmy nasze towary. Starannie pilnowałem biznesu, studiowałem rachunki i w krótkim czasie stałem się ekspertem w sprzedaży. Mieszkaliśmy i jadaliśmy razem. Udzielał mi ojcowskich rad, okazując mi szczery szacunek. Szanowałem go i kochałem i moglibyśmy być razem

bardzo szczęśliwi, ale na początku lutego 1726, kiedy właśnie ukończyłem dwudziesty pierwszy rok, obaj zachorowaliśmy. Prawie umarłem na zapalenie opłucnej. Cierpiałem katusze i nawet już przyjąłem, że najwidoczniej przyszedł na mnie czas, więc byłem nieco rozczarowany, gdy doszedłem do siebie. Do pewnego stopnia żałowałem, że będę musiał prędzej czy później na nowo zająć się nieprzyjemną pracą. Nie pamiętam już, na co chorował pan Denham. Wiem, że trwało to długo i już nie wyzdrowiał. Zostawił mi małą spuściznę w testamencie ustnym jako dowód swej dobroci dla mnie. Pozostawił mnie samego w obliczu szerokiego świata. Jego sklep został bowiem oddany pod opiekę wykonawców jego testamentu, a moja praca w nim dobiegła końca.

Mój szwagier, Holmes, przebywający wówczas w Filadelfii, doradził mi powrót do mojego wcześniejszego zawodu. Keimer złożył mi ofertę dużych rocznych zarobków za przejęcie kierownictwa drukarni, aby mógł poświęcić więcej czasu na prowadzenie sklepu. W Londynie słyszałem jednak o nim wiele złego od jego żony i przyjaciół i nie chciałem mieć z nim nic więcej wspólnego. Moja próba pozostania kupcem spaliła jednak na panewce, więc ostatecznie wróciłem do pracy u Keimera. W drukarni pracowali wtedy Hugh Meredith oraz Stephen Potts. Pierwszy był trzydziestoletnim Walijczykiem z Pensylwanii wychowanym do pracy na wsi, uczciwym, rozsądnym, czynił wiele trafnych spostrzeżeń, był dobrym obserwatorem, ale lubił zaglądać do kieliszka. Potts z kolei był młodym wieśniakiem przeznaczonym przez rodziców do pracy na roli, o wielkich wrodzonych zdolnościach i ogromnym poczuciu humoru, ale trochę leniwym. Obaj pracownicy otrzymywali niesłychanie niskie tygodniówki, które miały wzrastać o szylinga co trzy miesiące, w miarę nabierania przez nich umiejętności w zawodzie. Spodziewane wysokie zarobki były tym, czym Keimer skusił ich do pracy. Meredith miał pracować przy prasie, a Potts zajmował się introligatorstwem. Zgodnie z umową Keimer miał ich uczyć, choć nie miał pojęcia ani o jednym, ani o drugim zajęciu. Kolejny z zatrudnionych, nieokrzesany Irlandczyk John, nie miał żadnych kwalifikacji, a Keimer wykupił jego służbę od kapitana

statku na cztery lata. John również obsługiwał prasę. George Webb, student Oksfordu, miał pracować jako zecer – jego pracę Keimer również wykupił na cztery lata. Opiszę go obszerniej za chwilę. Ostatnim pracownikiem był David Harry, chłopiec ze wsi, który został przyjęty jako praktykant.

Wkrótce zauważyłem, że za pensją o wiele wyższą od tej, którą Keimer zwykł płacić, krył się plan, abym nauczył tych prostych i tanich pracowników zawodu. Gdy wyszkolą się na tyle, by samodzielnie pracować, Keimer chciał się mnie pozbyć. Jednak nie zraziło mnie to zbytnio i z wielkim zapałem zacząłem porządkować drukarnię, w której panował ogromny zamęt. Stopniowo szkoliłem robotników, którzy coraz lepiej wykonywali swoją pracę. Dziwną sprawą był oksfordzki student w roli nabytego pracownika. Nie miał nawet osiemnastu lat i opowiedział mi nieco o sobie. Urodził się w Gloucester, pobierał nauki w tamtejszej szkole parafialnej, wyróżniał się wśród uczniów zamiłowaniem do amatorskiego teatru. Należał do tamtejszego klubu satyrycznego oraz napisał kilka utworów prozą i wierszem. Wydrukowano je w lokalnych gazetach. Później wysłano go do Oxfordu, gdzie kontynuował naukę przez rok, ale nie był zadowolony, gdyż chciał zobaczyć Londyn i zostać aktorem. Otrzymawszy kwartalną pensję w wysokości piętnastu gwinei, zamiast spłacić długi, wyjechał z miasta, ukrył studencką togę w janowcu i udał się do Londynu. W mieście tym nie znalazł żadnego przyjaciela, który by mu dobrze doradzał i wpadł w złe towarzystwo, a wkrótce wydał też wszystkie pieniądze. Nie wiedział, w jaki sposób zostać aktorem. Aby przeżyć, zastawił swoje ubranie. Po pewnym czasie nie miał już za co kupić sobie nawet chleba. Gdy szedł bardzo głodny ulicą i nie wiedział, co ze sobą zrobić, ktoś włożył mu do ręki ulotkę od werbownika, który oferował natychmiastową pomoc dla osób, gotowych zobowiązać się do pracy w Ameryce. Nie czekając ani chwili, udał się do biura werbunkowego, podpisał zobowiązanie i wszedł na pokład statku. Nie dał znać nikomu, co się z nim stało. Był rzutkim, dowcipnym, dobrodusznym i miłym towarzyszem, ale leniwym, bezmyślnym i w najwyższym stopniu nierozważnym.

Irlandczyk John wkrótce uciekł. Moje relacje z pozostałymi zaczęły się dobrze układać, a wszyscy darzyli mnie szacunkiem, gdyż wiedzieli, że od Keimera niczego się nie nauczą, zaś ode mnie codziennie dowiadywali się czegoś nowego. Nigdy nie pracowaliśmy w sobotę, to był szabat Keimera, więc miałem dwa dni na czytanie. Moje znajomości z genialnymi ludźmi w mieście znacznie się rozwinęły. Sam Keimer traktował mnie z wielką grzecznością i pozornym szacunkiem, a w tamtym czasie nie niepokoiło mnie nic poza długiem wobec Vernona, którego nie byłem jeszcze w stanie spłacić, będąc jak dotąd tylko biednym pracownikiem. Na szczęście był on na tyle uprzejmy, że nie żądał wtedy zwrotu pieniędzy.

Nasza drukarnia często potrzebowała specjalnych czcionek, a w Ameryce nie było ich producenta. Widziałem, jak były wytapiane u Jamesa w Londynie, ale nie zwracałem na to szczególnej uwagi. Teraz jednak sporządziłem formę i przy wykorzystaniu zwykłych liter odlewałem matryce z ołowiu, dzięki czemu całkiem sprawnie uzupełniłem wszystkie braki. Czasami też zajmowałem się rytownictwem, sporządzałem farbę drukarską, nadzorowałem proces składu i zajmowałem się praktycznie wszystkim innym.

Przedsiębiorca

Bez względu na to, jak bardzo byłem przydatny, zauważyłem, że moje usługi z każdym dniem tracą na znaczeniu, w miarę jak inni pracownicy nabierali doświadczenia. Kiedy Keimer wypłacił mi pensję za drugi kwartał, dał mi do zrozumienia, że moje uposażenie jest dla niego zbyt uciążliwe, więc zaproponował mi obniżkę. Stawał się

coraz mniej uprzejmy, przywiązywał większą wagę do swojego statusu mistrza, często znajdował błąd. Odnosiłem wrażenie, że tylko czyha na to, by mnie zwolnić. Niemniej jednak z dużą dozą cierpliwości kontynuowałem pracę, myśląc, że przyczyną była częściowo trudna sytuacja, w jakiej się znalazł. W końcu jednak pewien drobiazg położył się cieniem na naszych relacjach. Gdy w pobliżu sądu rozległ się wielki hałas, wystawiłem głowę przez okno, żeby sprawdzić, o co chodzi. Keimer stał wtedy na ulicy, spojrzał w górę i zobaczył mnie, więc zawołał donośnym i gniewnym głosem, abym wracał do swoich spraw. Dodał kilka słów wyrzutu, które bardziej dotknęły mnie z powodu tego jak głośno to wykrzyknął i wszystkich sąsiadów, którzy byli świadkami tego, jak mnie potraktowano. Natychmiast wszedł do drukarni i kontynuował kłótnię, a ostre słowa padały z obu stron. Keimer dał mi kwartalne wymówienie, wyrażając jednak nadzieję, że nie będzie musiał czekać na moje odejście do końca kwartału. Powiedziałem mu, że niepotrzebnie o tym wspomina, bo odchodzę w tej chwili, więc wziąwszy kapelusz, wyszedłem na dwór, prosząc jedynie Mereditha, którego spotkałem na dole, aby spakował niektóre rzeczy, które zostawiłem, i przyniósł je do mojego mieszkania.

Meredith przyszedł dopiero wieczorem i wtedy porozmawialiśmy o mojej sprawie. Powiedział, że bardzo mnie szanuje i nie chciał, żebym opuścił drukarnię, póki on w niej pracuje. Zniechęcał mnie do powrotu na ojcowiznę, o czym zacząłem myśleć. Przypomniał, że Keimer tonął w długach, a jego wierzyciele zaczęli się niepokoić. Sam Keimer prowadził swój sklep nieudolnie, często przyjmował zamówienia bez zysku, byle tylko dostać pieniądze, albo zaciągał kredyt bez prowadzenia dokładnych rachunków. Innymi słowy, niedługo mógł zbankrutować. To z pewnością spowodowałoby wakat, a ja mógłbym na nim skorzystać. Zgłosiłem sprzeciw, gdyż nie miałem pieniędzy, aby prowadzić ten interes. Odparł jednak, że jego ojciec miał o mnie wysokie mniemanie, a Meredith był przekonany, że pożyczyłby nam pieniądze, jeżeli tylko chciałbym z nim założyć spółkę. „Mój termin u Keimera – powiedział – upływa na wiosnę. Do tego czasu możemy zdobyć prasę i czcionki z Londynu.

Rozumiem, że nie mam odpowiedniego doświadczenia, ale jeśli chciałbyś wejść ze mną w spółkę, twoja wiedza na temat interesu znajdzie zastosowanie na sprzęcie drukarskim, który dostarczę, a my moglibyśmy dzielić się zyskami po równo".

Przystałem na jego propozycję. Jego ojciec przebywał akurat w mieście i zgodził się udzielić nam wsparcia, tym bardziej, że zauważył jak zbawienny wpływ wywieram na jego syna, który dzięki mnie powstrzymywał się od picia. Miał nadzieję, że Meredith zerwie z tym nędznym nawykiem, gdy będziemy tak blisko współpracować. Spisałem ojcu Mereditha inwentarz, z którym udał się do znajomego kupca. Zamówienie zostało wysłane. Cała rzecz miała być zachowana w tajemnicy do czasu otrzymania zamówionego wyposażenia. Tymczasem miałem zatrudnić się gdzie indziej, najlepiej w drukarni Bradforda. Nie mieli tam jednak żadnego wakatu, więc przez kilka dni pozostałem bez pracy. Niespodziewanie Keimer otrzymał zamówienie na wydrukowanie papierowych pieniędzy dla prowincji New Jersey, co wymagałoby szczególnych umiejętności, a tylko ja je opanowałem. W obawie przed tym, że Bradford mógłby mnie u siebie zatrudnić, wysłał mi niezmiernie uprzejmy list, że starzy przyjaciele nie powinni rozstawać się przez kilka słów wypowiedzianych w afekcie, a na końcu zaproponował mi powrót. Meredith namówił mnie, abym na to przystał, ponieważ ze względu na moje codzienne instrukcje będzie mógł nabrać więcej wprawy w pracy. Wróciłem zatem do Keimera i przez jakiś czas nasze relacje układały się lepiej niż poprzednio. Otrzymaliśmy zamówienie z New Jersey, a ja – aby je wykonać – skonstruowałem pierwszą prasę na płytki miedziane. Wyrytowałem także rozmaite ozdobne wzory na banknoty. Pojechaliśmy razem do Burlington, gdzie ku ogólnemu zadowoleniu wykonałem całość prac. Keimer otrzymał za to zlecenie tak dużą sumę, że jeszcze długo mógł utrzymać się na powierzchni.

W Burlington poznałem wielu znamienitych ludzi z tej prowincji. Kilku z nich zostało wyznaczonych przez Zgromadzenie jako komisja do kontroli prasy drukarskiej i pilnowania, aby nie drukowano więcej

banknotów, niż nakazuje prawo. Członkowie tej komisji musieli kolejno z nami przebywać i na ogół ten, który był obecny, przyprowadzał ze sobą jednego lub dwóch przyjaciół do towarzystwa. Dzięki czytaniu mój umysł był znacznie bystrzejszy niż Keimera. Przypuszczam, że z tego powodu rozmowa ze mną wydawała im się bardziej wartościowa. Zapraszali mnie do swoich domów, przedstawiali przyjaciołom i okazywali mi dużo uprzejmości, podczas gdy Keimer, mimo tytułu mistrza, pozostawał w tyle. Tak naprawdę był dziwną personą – nieświadomą życia codziennego, lubiącą niegrzecznie przeciwstawiać się przyjętym opiniom, w najwyższym stopniu niechlujną, entuzjastycznie nastawioną do wybranych postulatów religijnych i trochę złośliwą.

Kontynuowaliśmy tam pracę przez prawie trzy miesiące. Do tego czasu mogłem zaliczyć do moich nowych przyjaciół: sędziego Allena, Samuela Bustilla, sekretarza prowincji, Izaaka Pearsona, Josepha Coopera i kilku Smithów, członków Zgromadzenia oraz Izaaka Decowa. Ten ostatni był sprytnym, roztropnym starcem, który powiedział mi, że zaczynał pracę od wożenia na tackach gliny dla ceglarzy, nauczył się pisać, gdy był pełnoletni, a wreszcie pomagał nadzorcom budowlanym, którzy przyuczyli go do zawodu, dzięki któremu zdobył spory majątek. Powiedział: „Przewiduję, że wkrótce pozbędziesz się tego człowieka z interesu i zarobisz w Filadelfii fortunę”. Nie mógł wtedy słyszeć najmniejszej wzmianki o moim zamiarze otwarcia drukarni. Przyjaźń z tymi ludźmi przydała mi się w późniejszych latach, a ja sam starałem im się odwdzięczyć, jak tylko mogłem. Wszyscy szanowali mnie aż do końca swoich dni.

Religia a moralność

Zanim zacznę opisywać początki mojej działalności publicznej, powinienem chyba przedstawić ci ówczesny stan mojego umysłu pod względem wyznawanych zasad i moralności, abyś mógł zobaczyć, jak wielki miały one wpływ na przyszłe wydarzenia w moim życiu. Moi rodzice wcześnie wpoili mi religię i pobożnie wychowywali mnie jako wyznawcę protestantyzmu. Miałem jednak zaledwie piętnaście lat, kiedy po zwątpieniu w kilka punktów ujmowanych odmiennie w różnych czytanych przeze mnie książkach, zacząłem kwestionować samo Objawienie. Wpadło mi w ręce kilka publikacji przeciwnych deizmowi. Miały one stanowić treść kazań głoszonych w ramach odczytów Boyle'a, jednak wywarły one na mnie wpływ zupełnie odmienny od zakładanego. Mianowicie argumenty deistów, które zacytowano jako obalone, wydały mi się znacznie silniejsze niż argumenty przeciwko nim i, krótko mówiąc, wkrótce stałem się całkowitym deistą. Moje argumenty wypaczyły poglądy innych, zwłaszcza Collinsa i Ralpha. Jednak pamiętając o tym jak bardzo mnie skrzywdzili, nie okazując najmniejszej skruchy, i gdy do tego przypomniałem sobie jeszcze zachowanie Keitha (który był innym wolnomyślicielem) wobec mnie oraz moje własne postępowanie wobec Vernona i panny Read, które czasami sprawiało mi wiele kłopotów, zacząłem podejrzewać, że ta doktryna, choć mogła być prawdziwa, nie była zbyt użyteczna. Mottem mojej londyńskiej broszury był następujący wiersz Drydena: „Cokolwiek istnieje, jest słuszne. Chociaż prawie ślepy człowiek widzi tylko część łańcucha, najbliższe ogniwo, to jego oczy nie mogą dostrzec równoważącej wszystko belki wagi". Na podstawie atrybutów Boga, Jego nieskończonej mądrości, dobroci i mocy wywnioskowałem, że nic złego nie może być na świecie, a występek i cnota są próżnymi rozróżnieniami nieistniejących zjawisk. Później tekst tej broszury przestał mi się wydawać tak genialny, jak początkowo myślałem. Zacząłem myśleć, czy jakiś błąd nie wkradł się niepostrzeżenie do mojej argumentacji, aby zniekształcić jej dalszy ciąg, co jest bardzo powszechne w rozważaniach metafizycznych.

Narosło we mnie przekonanie, że prawda, szczerość i uczciwość w relacjach międzyludzkich mają ogromne znaczenie dla szczęścia w życiu. Sformułowałem na piśmie postanowienia, których zamierzałem trzymać się do końca życia i które wciąż pozostają spisane w moim dzienniku. Biblijne objawienie rzeczywiście odtąd nie miało dla mnie żadnego większego znaczenia. Uważałem jednak, że chociaż pewne czyny mogą nie być złe, ze względu na sam zakaz religijny, bądź dobre, ponieważ religia nakazuje ich wypełnianie, to prawdopodobnie niektóre z nich mogły zostać zabronione, ponieważ rzeczywiście były dla nas szkodliwe. Inne z kolei mogły zostać nakazane, ponieważ były dla nas korzystne w ich własnej naturze, biorąc pod uwagę wszystkie okoliczności. Właśnie to przekonanie, dzięki życzliwej ręce Opatrzności czy jakiegoś anioła stróża, a może przypadkowe, ale sprzyjające mi okoliczności oraz położenie, a może wszystko to razem wzięte, uchroniło mnie w tym niebezpiecznym czasie młodości w wielu groźnych sytuacjach, w których czasami się znajdowałem, stale będąc wśród obcych, z dala od oczu i rad mojego ojca. Dzięki temu nie popełniłem jakiejkolwiek rozmyślnej rażącej niemoralności lub niesprawiedliwości, jakiej można byłoby się spodziewać po moim braku religijności. Mówię o świadomie podejmowanych uczynkach, ponieważ wspomniane przeze mnie przypadki były spowodowane pewną koniecznością wynikającą z mojej młodości, braku doświadczenia i podłości innych. Miałem więc znośny charakter, który pozwalał mi zacząć wędrówkę po świecie. Doceniałem go i postanowiłem zachować.

Rozwój drukarni i pozycji w Filadelfii

Do Filadelfii wróciliśmy niedługo przed przyjazdem nowych czcionek z Londynu. Pogodziliśmy się z Keimerem i rozstaliśmy za jego zgodą, zanim dowiedział się o mojej drukarni. Wraz z Meredithem znaleźliśmy dom do wynajęcia w pobliżu rynku. Aby obniżyć czynsz, który wówczas wynosił zaledwie dwadzieścia cztery funty rocznie, a z biegiem czasu wzrósł do siedemdziesięciu, przyjęliśmy szklarza Thomasa Godfreya wraz z jego rodziną. Miał on opłacać znaczną część dzierżawy. Dodatkowo odtąd mogliśmy się u nich stołować. Ledwo zdążyliśmy wypakować czcionki i uporządkować prasę, gdy mój znajomy, George House, przyprowadził do nas rodaka, którego spotkał na ulicy. Człowiek ten poszukiwał drukarni i złożył u nas pierwsze zlecenie. Całą gotówkę wydaliśmy na różnorodne drobiazgi, bez których nie moglibyśmy rozpocząć pracy, a otrzymanie pięciu szylingów za realizację pierwszego zlecenia sprawiło mi więcej przyjemności niż jakikolwiek pieniądz, który od tamtej pory zarobiłem. Wdzięczność, jaką odczuwałem w stosunku do House'a, poskutkowała tym, że byłem bardziej skłonny pomagać młodym i początkującym adeptom sztuki drukarskiej, być może częściej niż powinienem.

W każdym kraju występują kruki, które kracząc, zwiastują klęskę. Taka osoba mieszkała wtedy w Filadelfii. Była to persona godna uwagi, starszy mężczyzna o mądrym spojrzeniu i bardzo poważnym sposobie mówienia. Nazywał się Samuel Mickle. Ten pan, zupełnie mi obcy, pewnego dnia zapukał do moich drzwi i zapytał, czy jestem młodym człowiekiem, który niedawno otworzył nową drukarnię. Po otrzymaniu odpowiedzi twierdzącej powiedział, że ma do mnie żal, ponieważ było to kosztowne przedsięwzięcie, a wszelkie nakłady przepadną, albowiem Filadelfia tonęła w długach. Mówił, że połowa mieszkających tu ludzi zbankrutowała lub prawie sięgnęła dna. Wznoszenie nowych budynków i wzrost czynszów to jedynie złudne pozory, które w rzeczywistości wkrótce miały nas zrujnować. Mickle podał mi przy tym szczegółowy opis nieszczęść, które zachodziły już teraz lub miały nadejść w najbliższym czasie, czym wprawił mnie w nie lada osłupienie. Gdybym poznał tego jegomościa, zanim zaangażowałem się w ten interes, prawdopodobnie nigdy bym się

tego nie podjął. Ten człowiek nadal jednak mieszkał w tym upadającym mieście i nieustannie głosił jego ruinę, odmawiając przez wiele lat kupna domu, ponieważ wszystko miało ulec zniszczeniu. Po pewnym czasie miałem przyjemność zobaczyć, jak zapłacił za dom pięć razy więcej niż gdyby go kupił wówczas, gdy zaczął krakać.

Powinienem wspomnieć wcześniej, że jesienią poprzedniego roku zebrałem większość moich utalentowanych znajomych, zakładając klub wzajemnego doskonalenia, który nazwaliśmy „Junta". Spotykaliśmy się w piątkowe wieczory. Zasady, które opracowałem, wymagały, aby każdy członek po kolei przedstawił jedno lub więcej pytań dotyczących dowolnego aspektu z zakresu moralności, polityki lub filozofii naturalnej, które mieliśmy omówić, a raz na trzy miesiące każdy z nas miał napisać i przeczytać esej na dowolny temat. Nasze debaty miały odbywać się pod kierownictwem przewodniczącego i być prowadzone w szczerym duchu poszukiwania prawdy, bez zamiłowania do sporów i pragnienia zwycięstwa. Aby uniknąć spoufalania się, wszelkie wyrażanie pozytywnych opinii lub bezpośredniej sprzeczności stały się po pewnym czasie zabronione i obarczone niewielkimi karami pieniężnymi.

Często pracowaliśmy do jedenastej w nocy, a czasami nawet dłużej, gdyż musiałem skończyć jeszcze przygotowania do pracy na następny dzień, a drobne zamówienia zdobywane dzięki innym znajomym od czasu do czasu odrywały nas od głównego zlecenia. Byłem jednak tak zdeterminowany, by składać po arkuszu w formacie folio dziennie, że pewnego wieczoru, kiedy po przygotowaniu matryc pomyślałem, że mój dzień pracy dobiegł końca, a jedna z nich przez przypadek się rozbiła, także dwie strony uległy zniszczeniu, natychmiast rozprowadziłem wszystkie elementy i złożyłem ją od nowa, jeszcze zanim poszedłem spać. Nasza pracowitość nie umknęła uwadze sąsiadów i stopniowo zdobywaliśmy uznanie. Do moich uszu dotarło, że ktoś wspomniał o nowej drukarni w Klubie Kupieckim. Panowała tam opinia, że to nie może się udać, ponieważ w tym miejscu działają już dwie drukarnie,

Keimera i Bradforda. Doktor Baird (którego odwiedziliśmy wiele lat później w jego rodzinnym domu w St. Andrew w Szkocji) był jednak odmiennego zdania. „Zakład Franklina jest lepszy od każdej znanej mi drukarni. Widzę, że pracują tam bez ustanku, zarówno kiedy wieczorem wracam z klubu do domu jak i rankiem, zanim wszyscy ich sąsiedzi wstają z łóżek" – rzekł. Zdziwiło to kupców i wkrótce potem otrzymaliśmy od jednego z nich ofertę zaopatrzenia nas w artykuły papiernicze, ale nie zdecydowaliśmy się rozwijać przedsiębiorstwa w tym kierunku.

Wspominam o tej branży swobodnie i szczegółowo, chociaż wydaje mi się, że być może zabrzmi to jak pochwała samego siebie, ale robię to dlatego, aby ci z potomnych, którzy to przeczytają, mogli poznać pożytek z pracowitości, gdy zobaczą jej przychylne dla mnie skutki.

Drukarski interes

George Webb, któremu pewna przyjaciółka pożyczyła pieniądze na to, by wykupił się u Keimera, przyszedł do nas, by szukać pracy jako czeladnik. Nie mogliśmy go wtedy zatrudnić, ale w tajemnicy dałem mu do zrozumienia, że wkrótce zamierzam zacząć wydawać gazetę, a wtedy mogę mieć dla niego pracę. Moje nadzieje na sukces, jak mu powiedziałem, opierały się na tym, że jedyna wówczas gazeta, drukowana przez Bradforda, należała raczej do marnych, była niefortunnie zarządzana, w żaden sposób nie dostarczała rozrywki, a mimo to była dla niego opłacalna. Pomyślałem więc, że dobra gazeta na pewno znajdzie czytelników. Poprosiłem Webba, aby o tym

nikomu nie wspominał. Ten jednak przekazał nowinę Keimerowi, który natychmiast, aby ze mną konkurować, sam wysunął propozycję stworzenia takiego pisma, przy którym Webb mógłby pracować. Nie podobało mi się to. Ponieważ nie mogłem jeszcze rozpocząć wydawania własnej gazety, to aby im przeciwdziałać, napisałem kilka rozrywkowych artykułów dla gazety Bradforda do rubryki „Wścibski Nos", którą Breintnal prowadził jeszcze przez kilka miesięcy. W ten sposób uwaga publiczności została skupiona na moich utworach, a propozycje Keimera, które wyśmiewaliśmy, zostały zlekceważone. Zaczął jednak wydawać tę swoją gazetę i po prowadzeniu jej przez trzy kwartały, mając najwyżej dziewięćdziesięciu stałych czytelników, zaoferował mi ją za bezcen, a ja, będąc w gotowości do prowadzenia tej działalności już od jakiegoś czasu, kupiłem ją bez większego namysłu, co po kilku latach okazało się dla mnie niezwykle korzystne.

Widzę, że jestem skłonny mówić o tym przedsięwzięciu w liczbie pojedynczej, chociaż nasza współpraca z Meredithem nadal trwała. Przyczyna może być taka, że w rzeczywistości całe zarządzanie firmą spoczywało na mnie. Meredith nie był zecerem, nie miał talentu dziennikarskiego i rzadko kiedy bywał trzeźwy. Moi przyjaciele ubolewali nad tym, że byłem z nim w spółce, ale ja miałem w tym układzie swoją korzyść.

Nasze pierwsze gazety wyglądały zupełnie inaczej niż wszystkie poprzednie drukowane w tym regionie: charakteryzowały je lepsza czcionka i ładniejsze wydruki. Niektóre porywające uwagi z mojego pisma dotyczące sporu, jaki toczył się wówczas między gubernatorem Burnetem a Zgromadzeniem Massachusetts, trafiły na usta wielu znamienitych ludzi. Konflikt ten sprawił, że gazeta i jej redaktor naczelny byli popularnymi tematami do rozmów, a w ciągu kilku tygodni wiele osób zaczęło prenumerować nasze pismo.

Za ich przykładem poszło wielu innych ludzi, a liczba naszych czytelników stale rosła. Był to jeden z pierwszych dobrych skutków tego, że nieco pisywałem. Innym było to, że znamienici ludzie,

widząc gazetę prowadzoną przez kogoś, kto potrafił władać piórem, uznali za zasadne zachęcanie mnie do dalszego pisania. Bradford nadal drukował ustawy, prawa i inne sprawy publiczne. Gdy opublikował orędzie Izby do gubernatora, czyniąc to w niedbały sposób, przedrukowaliśmy je elegancko i poprawnie, i wysłaliśmy po egzemplarzu dla każdego członka Izby. Zauważono różnicę, co umocniło siły naszych przyjaciół w Izbie, która uchwaliła, że od następnego roku to my, a nie Bradford, będziemy drukować dokumenty dotyczące spraw publicznych.

Wśród moich przyjaciół w tej Izbie nie mogę pominąć już wcześniej wspomnianego pana Hamiltona, który powrócił z Anglii. Okazał mi w tej sprawie, podobnie jak w wielu innych, wiele wsparcia, kontynuując swój patronat aż do śmierci. Ja sam zaś pożyczyłem kiedyś jego synowi 500 funtów.

Mniej więcej w tym czasie Vernon przypomniał mi o zaciągniętym u niego długu, ale nie naciskał na mnie. Napisałem do niego pomysłowy list z podziękowaniami, prosząc o jeszcze odrobinę jego wyrozumiałości, na co przystał i, tak szybko jak tylko mogłem, spłaciłem kapitał z odsetkami. Jestem bardzo szczęśliwy, że w pewnym stopniu udało mi się naprawić ten błąd.

Pojawiła się jednak kolejna trudność, której nigdy nie miałem najmniejszego powodu się spodziewać. Ojciec Mereditha, który miał zapłacić za naszą drukarnię zgodnie z moimi oczekiwaniami, był w stanie wyłożyć tylko sto funtów gotówki, a drugie tyle byliśmy dłużni kupcowi, który w końcu się zniecierpliwił i pozwał nas wszystkich. Daliśmy poręczenie, ale wiedzieliśmy, że jeśli pieniądze nie zostaną wpłacone na czas, pozew wkrótce trafi do sądu i dojdzie do egzekucji, a nasze nadzieje legną w gruzach, ponieważ prasa i czcionki pójdą pod młotek, być może za połowę ceny.

W tej niedoli przyjazną rękę wyciągnęło do mnie dwoje prawdziwych przyjaciół, których dobroci nigdy nie zapomniałem i których nigdy nie zapomnę, dopóki żyję. Przyszli do mnie osobno, nawet się uprzednio

nie znając i bez żadnej prośby z mojej strony zaoferowali mi taką sumę, jaka była potrzebna, abym mógł wziąć na siebie całe przedsięwzięcie. Nie podobało im się, że nadal współpracowałem z Meredithem, którego, jak powiedzieli, często widywano pijanego na ulicach i grającego w karty w piwiarniach, co szargało naszą opinię. Tymi dwoma przyjaciółmi byli William Coleman i Robert Grace. Powiedziałem im, że nie mogę zaproponować separacji, dopóki Meredithowie nie będą mieli szansy na wypełnienie swojej części umowy, ponieważ uważałem, że mam wobec nich wielkie zobowiązania wynikające z tego, co dla mnie zrobili (lub co mogliby uczynić, jeśli tylko nadarzyłaby się ku temu okazja). Jeśli jednak nie wywiązaliby się z umowy, a nasze partnerstwo zostałoby rozwiązane, wtedy mógłbym zaakceptować pomoc ze strony moich nowych przyjaciół.

Sprawa toczyła się jakiś czas, aż powiedziałem do mojego partnera: „Być może twój ojciec nie jest zadowolony z roli, jaką odgrywasz w naszej spółce, a przez to nie zrobi dla naszej dwójki tyle, ile zrobiłby tylko dla ciebie samego? Jeśli tak jest, powiedz mi, a ja zrezygnuję na twoją rzecz i zajmę się swoimi sprawami". „Nie – powiedział Meredith – mój ojciec był mną naprawdę rozczarowany, a ja nie chcę dalej go niepokoić. Widzę, że to jest praca, do której się nie nadaję. Zostałem wychowany jako rolnik i szaleństwem był mój przyjazd do miasta i rozpoczęcie praktyk w wieku 30 lat, aby nauczyć się nowego zawodu. Wielu Walijczyków osiedliło się w Karolinie Północnej, gdzie ziemia jest tania. Jestem skłonny podążyć za nimi i wrócić do mojego starego zajęcia. Może znajdziesz przyjaciół, którzy ci pomogą. Jeśli weźmiesz na siebie długi przedsiębiorstwa, zwrócisz mojemu ojcu sto funtów, które wyłożył, spłacisz moje małe osobiste długi i dasz mi trzydzieści funtów oraz nowe siodło, zrzeknę się partnerstwa, a całość zostawię w twoich rękach". Zgodziłem się na tę propozycję. Sporządziliśmy stosowną umowę na piśmie, podpisaliśmy ją i natychmiast zapieczętowaliśmy. Dałem mu to, czego żądał, a wkrótce potem udał się do Karoliny, skąd w przyszłym roku wysłał mi dwa długie listy zawierające najlepszą relację z tego regionu, opis klimatu, gleby, hodowli itd., gdyż na tych sprawach

znał się bardzo dobrze. Wydrukowałem je w gazetach, a czytelnicy odebrali ten tekst bardzo pozytywnie.

Jak tylko Meredith wyjechał, zwróciłem się do moich dwóch przyjaciół. Ponieważ nie chciałem żadnego z nich faworyzować, wziąłem połowę tego, co każdy z nich proponował i spłaciłem długi firmy oraz kontynuowałem działalność w swoim własnym imieniu, ogłaszając, że spółka została rozwiązana. Wydaje mi się, że było to mniej więcej w roku 1729.

Kwestia papierowych pieniędzy

W tym również czasie ludzie zaczęli domagać się większej ilości papierowych pieniędzy, a w obrocie prowincji pozostało tylko piętnaście tysięcy funtów, które wkrótce miały zostać zamortyzowane. Zamożni mieszkańcy sprzeciwiali się każdemu dodrukowi, gdyż zwalczali papierowe pieniądze z obawy, że ulegną one inflacji, jak to miało miejsce w Nowej Anglii, ze szkodą dla wszystkich wierzycieli. Dyskutowaliśmy na ten temat w naszej Juncie, gdzie opowiadałem się po stronie dodruku, będąc przekonanym, że pierwsza niewielka suma, która pojawiła się w 1723 roku, zrobiła wiele dobrego, zwiększając handel, zatrudnienie i liczbę mieszkańców w prowincji. Widziałem, że stare, dotąd niezamieszkane domy znalazły lokatorów i zaczęto budować wiele nowych budynków. Dobrze pamiętałem, że kiedy pierwszy raz spacerowałem po ulicach Filadelfii, jedząc moją bułkę, widziałem na większości domostw ogłoszenia o możliwości ich wynajęcia, co

sprawiło, że sądziłem, iż mieszkańcy miasta opuszczają je jeden po drugim.

Nasze dyskusje w klubie dały mi ogląd tego tematu do takiego stopnia, że napisałem i wydrukowałem anonimową broszurę zatytułowaną Natura i konieczność papierowej waluty. Przypadła ona do gustu zwykłym ludziom, w przeciwieństwie do bogaczy, bo zwiększała ona pragnienie posiadania większej siły nabywczej u prostych ludzi. Wśród bogaczy nie było jednak nikogo, kto mógłby na nią pisemnie odpowiedzieć, dlatego ich sprzeciw się rozluźnił, a propozycja została przyjęta w Izbie głosem większości. Moi tamtejsi przyjaciele, którzy domniemali, że jestem w jakiś sposób za to odpowiedzialny, uznali, iż warto mnie wynagrodzić, zatrudniając mnie do drukowania pieniędzy. Była to dla mnie bardzo dochodowa praca i wielka pomoc. To kolejna korzyść, którą wyniosłem z tego, że umiałem pisać.

Czas i doświadczenie dowiodły użyteczności papierowych pieniędzy do takiego stopnia, że ich kwestia po pewnym czasie przestała być przedmiotem sporów. Wkrótce w obrocie było już pięćdziesiąt pięć tysięcy funtów, a w 1739 roku ich liczba wzrosła do osiemdziesięciu tysięcy. Później i podczas wojny suma ta przekroczyła trzysta pięćdziesiąt tysięcy funtów, a handel, budownictwo i liczba mieszkańców ciągle rosły. Dziś jednak, kiedy wracam myślami do przeszłości, uważam, że istnieją granice, powyżej których ilość pieniędzy w obiegu może być szkodliwa.

Wkrótce potem dzięki mojemu przyjacielowi Hamiltonowi otrzymałem zamówienie na wydrukowanie papierowych pieniędzy z Newcastle, co, jak wtedy mi się zdawało, stanowiło kolejne opłacalne zlecenie. Dla tych, którzy żyją w skromnych warunkach, niewielkie rzeczy nabierają ogromnych rozmiarów. Dla mnie zaś były to naprawdę duże korzyści, a także ogromna zachęta. Dzięki Hamiltonowi otrzymałem również zamówienie na druk ustaw i uchwał rządu Newcastle, co wykonywałem tak długo, jak prowadziłem drukarnię.

Rozwój biznesu drukarskiego

Przy drukarni otworzyłem mały sklep z artykułami papierniczymi. Miałem w nim doskonale opracowane różnego rodzaju blankiety, a pomagał mi mój przyjaciel Breintnal. Sprzedawałem też papier, pergamin, księgi kupieckie i tym podobne. Zgłosił się do mnie Whitemash, zecer, którego poznałem w Londynie. Był on doskonałym pracownikiem i nawiązałem z nim stałą współpracę. Przyjąłem też ucznia, syna Aquili Rose'a.

Zacząłem teraz stopniowo spłacać dług, który ciążył na drukarni. Aby zabezpieczyć swój kredyt i reputację jako handlowca, zadbałem nie tylko o to, by być naprawdę pracowitym i skromnym, ale także o to, by unikać wszelkich sytuacji, które sugerowałyby coś odmiennego. Ubierałem się skromnie, nie widziano mnie w żadnych miejscach rozpusty. Nigdy nie wychodziłem na ryby ani nie strzelałem. W istocie jedynie jakaś ciekawa książka była w stanie oderwać mnie od pracy, co zdarzało się rzadko i nie wiązało z ryzykiem żadnego skandalu. Aby pokazać, że nie wynoszę się ponad swój zawód, czasami taczką przywoziłem do domu papier, który kupowałem w innych sklepach. Gdy zyskałem opinię pracowitego, dobrze prosperującego młodego człowieka, płacącego należycie za to co kupował, kupcy, którzy sprowadzali materiały piśmienne, zabiegali o współpracę ze mną. Inni proponowali dostarczanie mi książek. Tymczasem długi Keimera rosły, jego interesy codziennie chyliły się ku upadkowi, a w końcu musiał sprzedać drukarnię, aby zadowolić swoich wierzycieli. Pojechał na Barbados, gdzie mieszkał przez kilka lat w bardzo złych warunkach.

Czeladnik Keimera, David Harry, którego przyuczałem do zawodu, odkupiwszy od niego drukarnię, zajął jego miejsce w Filadelfii. Na początku obawiałem się, że Harry będzie moim potężnym rywalem, ponieważ obracał się w gronie wpływowych przyjaciół, którzy byli chętni, aby wspierać jego drukarnię. Zaproponowałem mu więc partnerstwo, które na szczęście dla mnie odrzucił z pogardą. Był bardzo dumny, ubierał się jak dżentelmen, żył wystawnie, często wyjeżdżał za granicę dla rozrywki. Wszystko to, koniec końców, sprawiło, że nie poświęcał należytego czasu przedsiębiorstwu, które zaczęło podupadać, a on sam popadł w długi. Wszyscy klienci go opuścili i, nie mając żadnych zleceń, podążył za Keimerem na Barbados, zabierając ze sobą sprzęt drukarski. Tam zatrudnił swojego byłego mistrza jako czeladnika i o ile mi wiadomo, często się kłócili. Harry nieustannie zaniedbywał pracę i w końcu był zmuszony sprzedać czcionki i wrócić do swojej wiejskiej pracy w Pensylwanii. Nowy nabywca czcionek zatrudnił do ich obsługi Keimera, ten jednak po kilku latach zmarł.

W Filadelfii nie miałem już żadnych konkurentów, poza starym Bradfordem. Był człowiekiem bogatym i lubił wygodne życie. Od czasu do czasu wykonywał trochę zamówień drukarskich za pomocą najemnych pracowników, ale raczej nie przykładał wagi do swojego biznesu. Ponieważ jednak prowadził pocztę, sądzono, że ma większe możliwości zdobywania najświeższych informacji. Jego gazetę uważano za lepszego dystrybutora ogłoszeń niż moją. Wobec tego miał ich o wiele więcej, co dla niego było dochodowe, a dla mnie niekorzystne. Chociaż w rzeczywistości sam zamawiałem gazety i wysyłałem swoje pocztą, to jednak opinia publiczna nie zdawała sobie z tego sprawy. Przekupywałem listonoszy, którzy dostarczali je klientom prywatnie. Bradford był jednak na tyle niemiły, że zabronił mi korzystania z tych dodatkowych usług pracowników poczty, o co żywiłem do niego urazę i myślałem o nim tak złośliwie, że kiedy później znalazłem się w jego położeniu, starałem się nigdy nie powtórzyć jego zachowania.

Pani Franklin

Do tej pory stołowałem się u Godfreya, który mieszkał w moim domu ze swoją żoną i dziećmi, a w części sklepu prowadził swój zakład szklarski. Pracował raczej mało, a skupiał się na matematyce. Pani Godfrey chciała mnie zeswatać z córką krewnego od strony ojca. Wykorzystywała każdą okazję, abyśmy się często spotykali. Z mojej strony doszło do poważnych zalotów, gdyż dziewczyna na to zasługiwała. Starzy Godfreyowie co rusz zapraszali mnie na kolację i zostawiali nas razem samych, aż nadszedł czas na poważną rozmowę. Pani Godfrey pośredniczyła w naszych małych rokowaniach. Wyjaśniłem, że ożenię się z jej krewną, jeśli dostanę tyle pieniędzy, ile potrzebowałem do spłaty reszty zadłużenia drukarni, które, jak mniemałem, nie przekraczało wtedy stu funtów. Dała mi do zrozumienia, że jej rodzicie nie dysponują taką kwotą, na co odpowiedziałem, że mogą zastawić swój dom w biurze pożyczkowym. Po kilku dniach otrzymałem wiadomość, że rodzice dziewczyny nie zgadzają się na małżeństwo, gdyż zaciągnęli języka u Bradforda, który im powiedział, że drukarnia nie jest dochodowa, czcionki wkrótce się zużyją i będzie trzeba kupić nowe, a skoro Keimer i Harry zbankrutowali jeden po drugim, to prawdopodobnie wkrótce pójdę w ich ślady. Co więcej, zabroniono mi wstępu do ich domu oraz zakazano córce widywania się ze mną.

Czy była to prawdziwa zmiana nastawienia, czy tylko podstęp wynikający z założenia, że nasze uczucia są zbyt silne, aby się wycofać, więc pewnie potajemnie zawrzemy małżeństwo, dzięki czemu oni mieliby pełną swobodę w decydowaniu o wysokości posagu – tego nie wiem. Podejrzewałem jednak, że wychodzili

właśnie z takiego założenia, w związku z czym czułem się urażony i nigdy więcej do nich nie zawitałem. Pani Godfrey próbowała mnie nakłonić do odnowienia relacji, przedstawiając rodziców dziewczyny w bardziej korzystnym świetle. Nie przekonało mnie to jednak i zadeklarowałem stanowczo, że nie chcę mieć nic więcej wspólnego z tą rodziną. Tym razem to Godfreyowie poczuli się urażeni. Doszło nawet do kłótni, wskutek której się wyprowadzili, pozostawiając mi cały dom, a ja postanowiłem nie przyjmować więcej lokatorów.

Romans sprawił, że coraz poważniej zacząłem myśleć o żeniaczce. Zacząłem rozglądać się dookoła i nawiązywałem nowe znajomości. Szybko jednak przekonałem się, że skoro zawód drukarza jest ogólnie uważany za nędzny, nie mogę oczekiwać żony z posagiem, chyba że takiej, która pod innymi względami nie przypadłaby mi do gustu. Tymczasem trudna do opanowania namiętność młodości często ponaglała mnie do schadzek z kobietami lekkich obyczajów, co wiązało się z wydatkami i wielkimi niedogodnościami oraz ciągłym ryzykowaniem mojego zdrowia, czego ze wszystkich rzeczy najbardziej się bałem i czego uniknąłem tylko dzięki wielkiemu szczęściu. Jednocześnie utrzymywałem przyjacielskie stosunki sąsiedzkie z rodziną pani Read, której wszyscy członkowie darzyli mnie szacunkiem od czasu, gdy mieszkałem w ich domu. Często mnie zapraszali i prosili o pomoc w różnych sprawach, a czasami nawet udało mi się czymś przysłużyć. Było mi szkoda panny Read będącej w niefortunnej sytuacji, która sprawiała, że była permanentnie przygnębiona, rzadko się uśmiechała i unikała towarzystwa. Uważałem swoją niestałość i lekkomyślność podczas pobytu w Londynie za jedną z głównych przyczyn jej nieszczęścia, chociaż jej matka w swojej wyrozumiałości to sobie przypisywała winę, ponieważ odradzała nam małżeństwo, zanim wyjechałem, a następnie przekonała swoją córkę do związania się z innym mężczyzną. Choć nasze wzajemne uczucie odżyło, to teraz pojawiły się wielkie zastrzeżenia co do naszego związku. Jej małżeństwo rzeczywiście zostało uznane za nieważne, ponieważ w Anglii miała mieszkać poprzednia żona męża panny Read, ale ze względu na odległość występował problem, by to sprawdzić. Co więcej,

otrzymaliśmy wiadomość o jego śmierci, ale również i to nie było pewne. Gdyby informacja okazała się prawdziwa, to wiadomym było, że pozostawił on wiele długów, które mogłyby przejść na jego spadkobierców. Odważyliśmy się jednak pokonać wszystkie te trudności i 1 września 1730 roku pojąłem pannę Read za żonę. Żadna z wyżej wymienionych potencjalnych niedogodności nie stanęła na naszej drodze. Moja żona okazała się dobrą i wierną towarzyszką i bardzo pomagała mi w sklepie. Wiodło nam się dobrze i zawsze wspólnie staraliśmy się uszczęśliwić siebie nawzajem. W ten sposób poprawiłem tę wielką pomyłkę młodości najlepiej, jak mogłem.

Księgozbiór „Junty”

Mniej więcej w tym czasie nasze spotkania klubowe odbywały się już nie w tawernie, a w małym pokoju pana Grace’a, przeznaczonym specjalnie do tego celu. Zaproponowałem, aby przynieść tam książki, na które często powoływaliśmy się w naszych dyskursach. Taka wspólna biblioteka byłaby dla nas wygodna, gdyż każdy mógłby korzystać z książek innego członka klubu. Przystano na moją propozycję i złożyliśmy w jednym kącie pokoju wszystkie książki, jakie mogłyby się nam przydać w dysputach. Ich liczba nie była tak wielka, jak się spodziewaliśmy. Choć to rozwiązanie było bardzo użyteczne, to jednak pojawiły się pewne niedogodności związane z brakiem należytej opieki nad nimi, w związku z czym po upływie około roku kolekcja została ponownie podzielona i każdy z nas zabrał swoje książki do domu.

W tamtym czasie rozpocząłem swój pierwszy projekt o charakterze publicznym: biblioteki za prenumeratą. Opracowałem regulamin, który przepisał nasz wielki kopista, Brockden, i z pomocą moich przyjaciół z „Junty" pozyskałem pięćdziesięciu prenumeratorów, z których każdy płacił mi po czterdzieści szylingów wpisowego i dziesięć szylingów rocznie przez pięćdziesiąt lat, bo przez taki czas planowaliśmy prowadzić działalność. Następnie otrzymaliśmy statut, a liczba członków stowarzyszenia wzrosła do stu. Była to macierz wszystkich – obecnie tak licznych – północnoamerykańskich bibliotek za prenumeratą. Instytucja ta jest wielką rzeczą samą w sobie i ciągle się rozwija. Biblioteki te poprawiły ogólny poziom intelektualny Amerykanów, uczyniły zwykłych handlarzy i rolników tak inteligentnymi jak większość dżentelmenów z innych krajów oraz – być może – przyczyniły się w jakimś stopniu do zdecydowanej postawy, tak później powszechnej, w obronie przywilejów mieszkańców kolonii.

Nota: Powyższe zdania były pisane z zamiarem wyrażonym na początku i dlatego zawierają kilka małych rodzinnych anegdot niemających znaczenia dla osób postronnych. To, co dalej nastąpi, zostało napisane wiele lat później i zgodnie z radami zawartymi w przytoczonych listach zostaje adresowane dla szerszej publiczności. Do przerwy w pisaniu doprowadziły sprawy rewolucji.

Część druga

Kontynuacja sprawozdania z mojego życia rozpoczęta w Passy pod Paryżem w 1784 roku

Nie dysponując żadną kopią tego, co już napisałem, nie wiem, czy opowiedziałem już, w jaki sposób założyłem filadelfijską bibliotekę publiczną, która od początków działalności rozrosła się do ogromnych rozmiarów. Pamiętam jedynie, że zbliżyłem się do czasu jej powstania (1730). Zacznę więc tutaj od relacji, którą będzie można zawsze wykreślić, jeśli okaże się, że została już przytoczona.

Biblioteka

W czasie, gdy osiedlałem się w Pensylwanii, w żadnej z kolonii na południe od Bostonu nie było dobrej księgarni. W Nowym Jorku i Filadelfii drukarze, którzy mieli na stanie materiały piśmiennicze, sprzedawali tylko papier i tym podobne, a także almanachy, ballady i czasem kilka zwykłych podręczników szkolnych. Miłośnicy książek

musieli sprowadzać je z Anglii. Członkowie „Junty” posiadali zaledwie po kilka sztuk. Opuściliśmy piwiarnię, w której spotkaliśmy się na początku i wynajęliśmy pokój, w którym od tej pory odbywały się spotkania klubu. Zaproponowałem, aby każdy z nas przyniósł do tego pokoju swoje książki, aby można było z nich swobodnie korzystać podczas naszych dyskusji. Takie rozwiązanie miało dodatkową korzyść, gdyż każdy z nas mógł wypożyczyć takie książki, jakie chciałby przeczytać w domu. Zostało to odpowiednio zorganizowane i przez pewien czas nas zadowalało.

Ponieważ nasza mała kolekcja dawała nam satysfakcję, zaproponowałem, aby rozszerzyć tę działalność poprzez uruchomienie publicznej biblioteki za prenumeratą. Naszkicowałem plan i regulamin, a fachowy notariusz, Charles Brockden, nadał temu formę umowy, którą każda osoba zainteresowana dołączeniem musiała podpisać, podejmując jednocześnie zobowiązanie do uiszczenia z góry pewnej sumy na zakup książek oraz do płacenia rocznej składki na zwiększenie księgozbioru. Wówczas w Filadelfii nie było wielu amatorów czytelnictwa, a większość z nas była tak biedna, że choć podjąłem wszelkie starania, znalazłem jedynie ponad pięćdziesiąt osób, głównie młodych rzemieślników, skłonnych zapłacić czterdzieści szylingów wpisowego i dziesięć szylingów rocznej opłaty. Z tym małym funduszem zaczęliśmy działalność. Sprowadzaliśmy różne tytuły, a biblioteka była otwarta jeden dzień w tygodniu umożliwiając prenumeratorom pożyczanie książek za pokwitowaniem, które zobowiązywało do zapłaty podwójnej wartości woluminu, jeśli ktoś nie zwróciłby danego egzemplarza w terminie. Wkrótce instytucja zaczęła zyskiwać na popularności ze względu na swoją użyteczność i pojawiły się jej odpowiedniki w innych miastach oraz prowincjach. Biblioteki mogły rozwijać się dzięki darowiznom, czytanie stało się modne, a nasi czytelnicy, nie mając dostępu do żadnej publicznej rozrywki, która odciągnęłaby ich od lektury, dokładnie zapoznawali się z dostępnymi książkami. Po upływie kilku lat przyjezdni ludzie stwierdzali, że nasi mieszkańcy są bardziej wykształceni i bardziej inteligentni niż ludzie tego samego stanu w innych krajach.

Kiedy mieliśmy podpisać wyżej wspomniane zobowiązania, które miały wiązać nas i naszych spadkobierców przez pięćdziesiąt lat, pan Brockden, który spisywał akt, oświadczył: „Jesteście młodymi ludźmi, ale i tak jest mało prawdopodobne, aby którykolwiek z was dożył wygaśnięcia terminu wskazanego w dokumencie". Jak się okazało, wielu z nas jeszcze żyje, a dokument po kilku latach został unieważniony na mocy statutu, który przekształcił nasze stowarzyszenie w instytucję stałą.

Sprzeciwy i niechęć, z jakimi spotkałem się przy zabieganiu o zapisy, sprawiły, że szybko poczułem coś niewłaściwego w promowaniu biblioteki przeze mnie – pomysłodawcę tego użytecznego projektu. Mogło to budzić zastrzeżenia, że chcę się wywyższać ponad innych, mimo, że chciałem uzyskać jedynie jak największe poparcie dla tego przedsięwzięcia. Dlatego usunąłem się w cień i przedstawiałem ten projekt jako pomysł wielu przyjaciół, którzy poprosili mnie, abym zaproponował przystąpienie do niego także innym miłośnikom czytania. W ten sposób łatwiej było mi działać i dzięki licznym odniesionym sukcesom mogę szczerze polecić tę metodę. Chwilowa rezygnacja z mojej próżności została potem sowicie wynagrodzona. Jeśli przez chwilę nie będzie wiadomo, komu należy przypisać zasługi, zwykle znajdzie się ktoś na tyle próżny, by je sobie przywłaszczyć, a wtedy nawet sama zawiść wystarczy, by oddać sprawiedliwość i zrobić porządek z tymi, co stroją się w cudze piórka.

Biblioteka ta dała mi możliwość doskonalenia się poprzez ciągłą naukę, na którą przeznaczałem godzinę lub dwie dziennie. W ten sposób w pewnym stopniu wyrównałem braki wykształcenia ze wczesnej młodości. Czytanie było jedyną rozrywką, na jaką sobie pozwalałem. Nie spędzałem czasu w tawernach, nie poświęcałem go również na gry czy spacery, a moje przedsięwzięcie rozwijało się tak długo, jak było to konieczne. Prowadzona przeze mnie drukarnia nadal była zadłużona. Miałem dzieci, które należało kształcić i musiałem rywalizować o zlecenia z dwoma drukarniami, które prowadziły działalność w tym samym mieście dłużej ode mnie. Moja

sytuacja jednak z dnia na dzień stawała się coraz bardziej klarowna. Nadal kierowałem się moim pierwotnym nawykiem oszczędnego gospodarowania. Ojciec, gdy byłem jeszcze dzieckiem, często powtarzał mi przysłowie Salomona: „Mąż pilny w zawodzie stanie przed królami, a nie przed nikczemnikami", co stanowiło dla mnie swego rodzaju zachętę, aby zdobyć bogactwo i szacunek, choć nie sądziłem, że kiedyś rzeczywiście będzie mi dane stanąć przed królami. Jednak, jak czas pokazał, stanąłem przed pięcioma władcami, a nawet miałem zaszczyt zasiąść z jednym z nich, królem Danii, do kolacji.

Jedno z angielskich przysłów brzmi: „Kto dąży do powodzenia, musi zapytać żonę". Poszczęściło mi się, ponieważ moja żona miała taką samą jak ja skłonność - zarówno do pracy, jak i oszczędności. Pomagała mi chętnie w drukarni, składała i zszywała broszury, zajmowała się sklepem i kupowała stare płótna dla fabrykantów papierów. Nie utrzymywaliśmy zbędnej służby, nasz stół był prosty i skromny, a meble najtańsze. Moje śniadanie składało się z kromki chleba i mleka (bez herbaty), które jadłem z dwupensowej glinianej miski łyżką z cyny. Ale luksus często wkracza w życie rodzin i czyni postępy wbrew przyjętym zasadom. Gdy pewnego ranka zszedłem na śniadanie, zobaczyłem miskę z chińskiej porcelany i srebrną łyżeczkę! Moja żona kupiła je dla mnie, nie informując mnie o tym fakcie. Kosztowały one ogromną sumę trzech funtów i dwudziestu szylingów. Na swoje usprawiedliwienie powiedziała, że jej mąż zasługuje na srebrną łyżkę i miskę z chińskiej porcelany, podobnie jak każdy z jego sąsiadów. Wtedy po raz pierwszy w naszym domu pojawiły się srebro i porcelana, których ilość potem, wraz z upływem lat, w miarę jak nasze bogactwo stopniowo powiększało się, osiągnęła wartość kilkuset funtów.

Poglądy na religię

Jako prezbiterianin otrzymałem wykształcenie religijne. Chociaż niektóre z dogmatów tego wyznania, takie jak odwieczne prawo Boże czy nauka o wybranych i potępionych, wydawały mi się niezrozumiałe, inne zaś wątpliwe, i mimo że coraz rzadziej bywałem na publicznych zgromadzeniach religijnych, ponieważ niedziela była moim dniem na naukę, nigdy nie przestałem kierować się pewnymi zasadami religijnymi. Na przykład nigdy nie wątpiłem w istnienie Boga, że stworzył świat i rządził nim poprzez swoją Opatrzność. Wierzyłem, że najbardziej miłą Bogu służbą było czynienie dobra drugiemu człowiekowi, że nasze dusze są nieśmiertelne i że każda zbrodnia zostanie ukarana, a cnota nagrodzona w życiu doczesnym lub wiecznym. Zasady te jawiły mi się jako podstawowa treść każdej religii, a ponieważ występowały w każdym wyznaniu w naszym kraju, szanowałem je wszystkie, chociaż w różnym stopniu, ponieważ uważałem je za mniej lub bardziej pomieszane z innymi. Te zaś ani nie promowały, ani nie utwierdzały, ani nie skłaniały do moralności, a służyły głównie do dzielenia ludzi i budzenia nieprzyjaźni między nimi. Ten szacunek dla wszystkich wraz z opinią, że i najgorsze zło może mieć dobre skutki, skłaniał mnie do unikania wszelkich dyskusji, które mogłyby obrazić czyjąś religię. Nasza prowincja stawała się coraz liczniejsza, co wiązało się z potrzebą powstania nowych miejsc kultu, które zwykle wznoszono z dobrowolnych składek. Nigdy nie odmówiłem żadnego datku, bez względu na to, do jakiego wyznania miałaby należeć świątynia.

Chociaż rzadko uczestniczyłem w jakimkolwiek publicznym nabożeństwie, nadal uważałem je za słuszne i użyteczne, o ile przeprowadzano je we właściwy sposób. Regularnie opłacałem roczną kwotę, aby wesprzeć jedynego prezbiteriańskiego pastora i zbór, który mieliśmy w Filadelfii. Pastor czasami składał mi

przyjacielskie wizyty i próbował mnie nakłonić do uczestnictwa w jego nabożeństwie, a ja od czasu do czasu dawałem się namówić i co piątą niedzielę brałem udział w mszy. Gdybym uważał pastora za dobrego kaznodzieję, być może bywałbym na nich częściej, bez względu na to, że niedziele poświęcałem na studia. Zniechęcało mnie jednak to, że jego wypowiedzi miały charakter polemik albo objaśnień poszczególnych doktryn naszego wyznania i uważałem je za bardzo beznamiętne, nieciekawe i mało budujące, ponieważ nie została dzięki nim zaszczepiona czy narzucona ani jedna zasada moralna. Miałem wrażenie, że kazania tego pastora miały na celu uczynienie z nas dobrych prezbiterian, a nie dobrych obywateli.

Pewnego razu pastor obrał sobie na przedmiot kazania werset z czwartego rozdziału Listu do Filipian: „W końcu, bracia, wszystko, co jest prawdziwe, co godne, co sprawiedliwe, co czyste, co miłe, co zasługuje na uznanie: jeśli jest jakąś cnotą i czynem chwalebnym – to miejcie na myśli!”. Byłem przekonany, że w kazaniu na temat takiego tekstu nie można pominąć kwestii moralności, ale pastor ograniczył się tylko do pięciu punktów wskazanych przez apostoła, a mianowicie: 1. Zachowywać świętość dnia szabatu; 2. Pilnie czytać Pismo Święte; 3. Odpowiedzialnie uczestniczyć w publicznym nabożeństwie; 4. Przyjmować sakrament; 5. Oddawać należyty szacunek sługom Bożym. Choć wspomniane rzeczy mogą być pożyteczne, to jednak nie były one wskazaniami, których oczekiwałem po tym wersecie. Straciłem nadzieję, że jakiekolwiek kazanie będzie zawierać odwołanie do moralności. Zniechęciło mnie to tak bardzo, że nie uczestniczyłem już w jego homiliach. Kilka lat wcześniej (mianowicie w 1728 roku) ułożyłem małą liturgię lub formę modlitwy na własny użytek, zatytułowaną Artykuły wiary i akty religijne. Ponownie zacząłem się nią posługiwać i nie chodziłem już na publiczne nabożeństwa. Moje postępowanie może zasługiwać na potępienie, ale nie będę go usprawiedliwiać. Obecnie dążę do przedstawienia faktów, a nie przepraszania za nie.

13 cnót według Franklina

Mniej więcej w tym czasie rozpocząłem odważny i żmudny projekt osiągnięcia moralnej doskonałości. Chciałem żyć bez popełniania jakichkolwiek grzechów oraz walczyć z naturalną skłonnością, zwyczajami lub towarzystwem, które mogłoby sprowadzić mnie na manowce. Ponieważ wiedziałem (lub myślałem, że wiem), co jest dobre, a co złe, nie mogłem pojąć, dlaczego nie zawsze mogę robić jedno, a unikać drugiego. Wkrótce jednak okazało się, że podjąłem się zadania trudniejszego, niż przypuszczałem. Podczas gdy skupiałem się na unikaniu jednego przewinienia, często zaskakiwało mnie drugie. Nawyk wykorzystywał nieuwagę, a skłonność była czasem silniejsza od rozumu. Doszedłem do wniosku, że aby zapobiec potknięciom, nie wystarcza samo teoretyczne przekonanie, że w naszym interesie leży bycie całkowicie cnotliwym i że należy porzucić złe nawyki na rzecz dobrych oraz je utrwalić, zanim będziemy mogli polegać na jednym słusznym sposobie postępowania. W tym celu wymyśliłem więc następującą metodę.

W różnych wyliczeniach cnót moralnych, z którymi zetknąłem się w rozmaitych lekturach, znalazłem ich dość szeroki katalog, ponieważ różni pisarze pod jednym pojęciem rozumieli mniej lub więcej różnorakich idei. Umiarkowanie na przykład zdaniem jednych ograniczało się do jedzenia i picia, a według innych oznaczało ograniczenie każdej innej przyjemności, apetytu, skłonności czy namiętności, cielesnej czy psychicznej, nawet naszej chciwości i ambicji. Dla jasności postanowiłem używać raczej więcej określeń, a mniej idei kryjących się pod każdym z nich, niż odwrotnie. Pod trzynastoma nazwami cnót zapisałem wszystko, co w tym czasie wydawało mi się konieczne lub pożądane. Dołączyłem do każdej cnoty krótkie wskazówki, które w pełni wyrażały zakres, jaki

nadałem jej znaczeniu. Nazwy cnót wraz ze wskazaniami były następujące:

1. Umiar – nie jedz do otępienia, nie pij do podniecenia.
2. Milczenie – mów tylko to, co może przynieść korzyść tobie lub innym, unikaj próżnych konwersacji.
3. Porządek – trzymaj wszystkie swoje rzeczy w wyznaczonym do tego miejscu, niech wszystkie twoje sprawy mają swój czas.
4. Postanowienie – postanów sobie robić to, co powinieneś, wykonuj bezbłędnie to, co postanowisz.
5. Oszczędność – nie czyń wydatków, chyba że dla dobra własnego lub innych, nie marnuj niczego.
6. Pracowitość – nie marnuj czasu, zawsze rób coś pożytecznego, unikaj wszelkich niepotrzebnych działań.
7. Szczerość – nie czyń krzywdzącego oszustwa, myśl i mów niewinnie i sprawiedliwe.
8. Sprawiedliwość – nie rań nikogo, nie wyrządzaj zła i nie pozbawiaj korzyści, jakie komuś się od ciebie należą.
9. Powściągliwość – unikaj skrajności, zapomnij o złości za krzywdy w takim stopniu, jak myślisz, że zasługują na to, by były zapamiętane.
10. Czystość – nie toleruj żadnej nieczystości ciała, ubrania czy zwyczaju.
11. Spokój – nie przejmuj się drobnostkami oraz pospolitymi lub nieuniknionymi zdarzeniami.
12. Niewinność – rzadko zaspokajaj żądze cielesne, chyba że dla zdrowia lub by spłodzić potomstwo, nigdy w przypływie głupoty, słabości lub na szkodę twojego lub cudzego spokoju albo reputacji.
13. Pokora – podążaj śladami Jezusa i Sokratesa.

Moim zamiarem było wyrobienie nawyku stosowania się do wszystkich tych cnót. Wychodziłem z założenia, że byłoby dobrze nie rozpraszać uwagi, próbując od razu opanować każdą z nich, ale skupić się na jednej. Kiedy już wyćwiczyłbym się w niej, powinienem zająć się następną, aż uda mi się opanować wszystkie trzynaście.

Ponieważ wcześniejsze opanowanie jednej cnoty może ułatwić nabycie innych, uporządkowałem je odpowiednio, w takiej kolejności, jak je wyżej wymieniłem. Na początku znajduje się Umiar, który zapewnienia jasność i trzeźwość umysłu, które są tak potrzebne, gdy trzeba zachować stałą czujność i wystrzegać się dawniejszych przyzwyczajeń i nieustannych pokus. Kiedy już cnota Umiaru zostanie opanowana, ujarzmienie Milczenia przyjdzie z łatwością. Wraz z doskonaleniem cnót chciałem zdobywać wiedzę. Biorąc pod uwagę, że w rozmowie wiedzę uzyskuje się raczej za pomocą uszu niż języka, a zatem chcąc zerwać z nawykiem gadatliwości, zbędnej paplaniny, kalamburów i żartów słownych, które sprawiały, że akceptowało mnie wyłącznie próżnujące towarzystwo, umieściłem Milczenie na drugim miejscu. Spodziewałem się, że ta cnota oraz następna, Porządek, dadzą mi więcej czasu na zajęcie się moimi planami i studiami. Postanowienie, które raz wejdzie w nawyk, utrzymałoby mnie niewzruszenie w moich usiłowaniach opanowania wszystkich dalszych cnót. Oszczędność i Pracowitość uwolniłyby mnie od pozostałego długu, zapewniłyby dostatek i niezależność oraz ułatwiłyby praktykę Szczerości i Sprawiedliwości. Zatem, zgodnie z radą Pitagorasa zawartą w jego Złotych prawidłach, codzienne kontrolowanie samego siebie byłoby konieczne, wobec czego wymyśliłem następującą metodę sprawowania tej kontroli.

Przygotowałem małą książeczkę, w której wyznaczyłem po jednej stronie dla każdej cnoty. Pokratkowałem każdą stronę czerwonym atramentem, tak aby uzyskać siedem kolumn, po jednej na każdy dzień tygodnia, oznaczając każdą z nich literą oznaczającą dany dzień. Przekreśliłem te kolumny trzynastoma czerwonymi liniami, zaznaczając początek każdego wiersza pierwszą literą odpowiadającą każdej cnocie. Kiedy tabela była gotowa, za pomocą małej czarnej kropki zaznaczałem w odpowiednim wierszu i w odpowiedniej kolumnie każdy błąd, jaki popełniłem danego dnia w egzekwowaniu określonej cnoty.

Postanowiłem w każdym tygodniu skupić się na jednej wybranej cnocie. Tak więc, w pierwszym tygodniu z wielką czujnością starałem się wystrzegać wszelkich najmniejszych uchybień w Umiarkowaniu, pozostawiając pozostałe cnoty zwykłym przypadkom, zaznaczając każdego wieczoru wszelkie wykroczenia. Gdybym zatem w pierwszym tygodniu zachował pierwszy wers, oznaczony literą U (Umiar), bez żadnych kropek, to przypuszczam, że nawyk tej cnoty tak bardzo by ją wzmocnił, a jej przeciwieństwo osłabił, że mógłbym zaryzykować rozszerzenie uwagi o następną, a w następnym tygodniu utrzymać oba wersy wolne od kropek. Postępując w ten sposób w ciągu trzynastu tygodni mogłem ukończyć kurs, a w ciągu roku – cztery takie kursy. Podobnie jak osoba, która mając ogródek pełen chwastów, nie próbuje wyrywać wszystkich złych ziół za jednym zamachem, gdyż to przekraczałoby jej możliwości i siły, ale pieli każdą grządkę po kolei, powinienem z radością ujrzeć w mojej książeczce postępy, które poczyniłem w cnotach, oczyszczając kolejne wiersze z kropek, aż w końcu, po trzynastu tygodniach codziennej praktyki, powinienem szczęśliwie przeglądać czystą książkę

Za motto mojego zeszytu obrałem czterowiersz z dramatu Addisona Cato:

„Tu się zatrzymam, jeśli jest moc w górze,
(A jest. Przyroda swym dziełem to głosi),

To moc ta musi lubować się w cnocie,
A zatem cnota musi być szczęśliwa”.

Drugie motto zaczerpnąłem z Cycerona:

O vitæ Philosophia dux! O virtutum indagatrix expultrixque vitiorum! Unus dies, bene et ex præceptis tuis actus, peccanti immortalitati est anteponendus (O przewodniczko życia, filozofio! O strażniczko cnót, o pogromicielko występków! Jeden dzień spędzony dobrze i wedle twoich przykazań wart jest więcej niż grzeszna nieśmiertelność).

Jeszcze inny cytat o mądrości i cnocie zaczerpnąłem z Księgi Przypowieści Salomonowych:

„Przedłużenie dni w prawicy jej, a w lewicy jej bogactwa i zacność. Drogi jej rozkoszne i wszystkie ścieżki jej spokojne".

Postrzegając Boga jako źródło mądrości, uznałem za słuszne i konieczne zwrócić się do Niego o pomoc w jej uzyskaniu. W tym celu napisałem następującą krótką modlitwę, którą zawsze zmawiałem przed codziennymi wieczornymi kontrolami:

„O wszechmocna Dobroci! Szczodrobliwy Ojcze! Przewodniku Miłosierny! Dopomóż mi w mądrości, która ukaże, w czym tkwi moje prawdziwe dobro. Umocnij we mnie stanowczą chęć czynienia tego, co ta mądrość wskazuje. Przyjmij wszelkie miłe uczynki dla innych Twoich dzieci, gdyż jedynie w ten sposób mogę odwdzięczyć się za nieustanne Twoje łaski dla mnie".

Czasami odmawiałem też inną małą modlitwę, którą zaczerpnąłem z Poezji Thomsona:

„Ojcze Światła i Życia! Dobro Najwyższe!
Pokaż mi, co jest dobre, naucz mnie, czym jesteś

Zbaw od głupoty, próżności i występku
I dążeń niskich; niech duszę mą wypełni

Wiedza, świadomy pokój i cnota,
Błogosławieństwa święte, prawdziwe i wieczne!”.

Przystąpiłem do realizacji tego planu samooceny i przestrzegałem go przez dłuższy czas, robiąc tylko okazjonalnie przerwy. Zdziwiłem się, gdy spostrzegłem w sobie o wiele więcej wad, niż sobie wyobrażałem. Odczuwałem satysfakcję z obserwacji tego, jak się zmniejszają. Aby uniknąć kłopotów związanych ze sporządzaniem raz po raz nowej książeczki (szybko wypełniały się one dziurami, ponieważ zeskrobywałem na papierze ślady starych występków, aby zrobić miejsce na nowe podczas kolejnego kursu), przepisałem tabelę i wskazania do notatnika o kartach z kości słoniowej. Linie tabeli narysowałem trwałym czerwonym tuszem, a występki zaznaczałem ołówkiem, którego ślady mogłem łatwo zetrzeć za pomocą mokrej gąbki. Po jakimś czasie przerabiałem tylko jeden kurs w ciągu roku, a potem tylko jeden na kilka lat, aż w końcu całkowicie je porzuciłem, gdyż pracowałem za granicą i miałem wiele spraw do załatwienia, co zaburzało mój rytm dnia, ale zawsze miałem przy sobie moją małą książeczkę.

Najwięcej kłopotu sprawiało mi przestrzeganie Porządku. Doszedłem jednak do wniosku, że jest to do zrobienia, gdy człowiek może swobodnie dysponować swoim czasem, tak jak na przykład czeladnik drukarski. Jest to jednak niewykonalne w przypadku człowieka, który nieustannie ma do czynienia ze światem i spotyka się z ludźmi w porach, jakie im odpowiadają. Trudno było mi również przestrzegać Porządku w przypadku odkładania na miejsce rzeczy czy też

dokumentów. W dzieciństwie nie zostałem tego nauczony, a ze względu na ponadprzeciętnie dobrą pamięć nie przeszkadzały mi tak bardzo niedogodności związane z brakiem uporządkowania. Ten punkt kosztował mnie zatem poświęcenie mnóstwa uwagi, a występki w jego ramach bardzo mnie irytowały. Często popełniałem na nowo te same błędy i robiłem tak małe postępy w kierunku poprawy, że niemal zrezygnowałem z dalszych prób i prawie zadowoliłem się swoją niedoskonałą osobowością. Przypomina to historię pewnego człowieka, który kupując siekierę u mojego sąsiada, chciał mieć całą jej powierzchnię tak błyszczącą jak ostrze. Kowal zgodził się wyszlifować ją do blasku, jeżeli to kupiec będzie kręcił kołem, podczas gdy on przyciskałby mocno całą płaszczyznę siekiery do kamienia co sprawiało, że obracanie koła było bardzo męczące. Mężczyzna od czasu do czasu odchodził od koła, aby zobaczyć postępy. W pewnym momencie chciał już zabrać siekierę bez dalszego szlifowania. „Nie zabieraj jej – powiedział kowal – już niedługo będzie cała błyszcząca, a na razie jest centkowana". „To prawda – odrzekł kupiec – ale z plamkami jeszcze bardziej mi się podoba". Myślę, że tak samo byłoby ze mną – gdybym nie znalazł odpowiednich środków, aby nabyć dobre i przełamać złe nawyki w dziedzinie poszczególnych cnót, pewnie zrezygnowałbym z dalszej z walki i doszedł do wniosku, że „siekiera z plamkami jest najlepsza". Coś, co udawało rozsądek, nieustannie sugerowało mi, że takie skrajne trzymanie się cnót, jakiego od siebie wymagałem, byłoby może rodzajem dziwactwa moralnego, które wystawiłoby mnie na pośmiewisko. Ludzie powinni zdawać sobie sprawę z tego, że osiągnięcie doskonałego charakteru może iść w parze z zawiścią i nienawiścią i że życzliwy człowiek powinien pozwolić sobie na kilka wad, aby utrzymać swoich przyjaciół w ryzach.

Prawdę mówiąc, nie osiągnąłem poprawy w odniesieniu do Porządku, a teraz jestem już stary, a moja pamięć mnie zawodzi, co w dużym stopniu odbija się na mnie. Nigdy nie osiągnąłem doskonałości, do której dążyłem i było mi do niej daleko. Stałem się jednak lepszym i szczęśliwszym człowiekiem, niż gdybym tego nie próbował. Podobnie jak osoby, które dążą do doskonałego pisania,

naśladując pismo rytowe, nigdy nie osiągają pożądanej doskonałości, ale piszą pięknie i czytelnie, gdyż podjęty wysiłek wprawił ich rękę.

Być może moi potomkowie powinni wiedzieć, że tej małej sztuczce i błogosławieństwu Bożemu ich przodek zawdzięcza stałe szczęście w swoim życiu, aż do wieku siedemdziesięciu dziewięciu lat, kiedy przelewa te wspomnienia na papier. Wszelkie niepowodzenia, jakie może przynieść przyszłość, są w rękach Opatrzności, a jeśli nadejdą, refleksja nad przeszłym szczęściem powinna pomóc znosić je z większą pogodą ducha. Umiarkowaniu przypisuję swoje długoletnie zdrowie i to, co jeszcze pozostało z mocnego organizmu. Natomiast Pracowitości i Oszczędności zawdzięczam szybką poprawę warunków bytowych i zdobycie fortuny wraz z całą tą wiedzą, która pozwoliła mi być użytecznym obywatelem i zapewniła mi pewien stopień reputacji wśród uczonych. Szczerości i Sprawiedliwości przypisuję zaufanie swego kraju i nadawane mi zaszczytne stanowiska. Wspólnemu wpływowi wszystkich cnót, nawet w niedoskonałym stopniu, w jakim je opanowałem, zawdzięczam równomierność temperamentu i pogodę w rozmowie, która sprawia, że nawet młodsi ludzie wciąż łakną mojego towarzystwa. Żywię więc nadzieję, że niektórzy z moich potomków mogą pójść za moim przykładem i czerpać z tego korzyści.

Należy zauważyć, że moja metoda nie była całkowicie pozbawiona religii, przy czym nie było w niej śladu wyróżnienia któregokolwiek określonego wyznania. Celowo tego unikałem, ponieważ będąc w pełni przekonanym o użyteczności i doskonałości mojej metody, a także o tym, że może ona służyć wyznawcom wszystkich religii i zamierzając z czasem ją opublikować, nie znalazłoby się w niej nic, co mogłoby komukolwiek zaszkodzić, czy też obrażałoby jakieś wyznanie. Zamierzałem napisać mały komentarz na temat każdej cnoty, w którym pokazałbym korzyści z jej posiadania, a także szkody związane z przeciwną jej wadą. Pragnąłem zatytułować swą książkę Sztuka cnotliwości (nic bardziej niż cnota nie zapewnia ludziom pomyślnego losu), ponieważ ukazywałaby środki i sposoby uzyskania cnoty. Odróżniałoby ją od zwykłego napomnienia to, że

nie pouczałaby i nie wskazywałaby środków do tego jak być dobrym, ale byłaby jak człowiek z Listów Apostolskich, który widząc nagich i głodnych nakłania ich do przyodziania się i zjedzenia czegoś, nie pokazując, w jaki sposób mogą zdobyć żywność i odzienie (Jakub II 15, 16).

Tak się złożyło, że mój zamiar napisania i opublikowania takiej książki nigdy się nie spełnił. Rzeczywiście, od czasu do czasu zapisywałem krótkie wskazówki dotyczące uczuć i rozumowań, które chciałem w nim wykorzystać, a niektóre z nich zachowałem do tej pory. Konieczność zwrócenia szczególnej uwagi na sprawy prywatne we wcześniejszym okresie mojego życia, a w późniejszym czasie sprawy publiczne spowodowały jednak, że odłożyłem wszystko na później. W moim umyśle jawiło się to jako wielki i rozległy projekt, który wymagał zmobilizowania wszystkich sił. Ponieważ co rusz czekały na mnie nieprzewidziane zajęcia, nie mogłem całkowicie mu się poświęcić, więc zamiar dotąd nie został spełniony.

W tej pracy dążyłem do wyjaśnienia i uzasadnienia doktryny, że złe czyny nie są krzywdzące, ponieważ są zabronione, ale są zakazane, ponieważ są krzywdzące wyłącznie z uwagi na samą naturę człowieka. W związku z tym cnotliwość leży w interesie każdego człowieka, który pragnie szczęścia, choćby tylko w tym świecie. Biorąc pod uwagę te założenia (na świecie zawsze jest wielu bogatych kupców, szlachta, państwa i książęta, którzy potrzebują uczciwych osób do zarządzania ich sprawami, a tacy należą do rzadkości), chciałem dołożyć wszelkich starań, aby przekonać młodych ludzi, że żadne cechy nie przyniosły ubogiemu człowiekowi tyle szczęścia co uczciwość i prawość.

Moja lista zawierała początkowo tylko dwanaście cnót, jednak jeden z przyjaciół-kwakrów uprzejmie poinformował mnie, że powszechnie uważano mnie za pysznego; że moja duma często przejawiała się w rozmowach; że w dyskusjach nie zadowalam się tym, iż miałem rację podczas omawiania jakiejkolwiek kwestii, ale bywam apodyktyczny i raczej bezczelny, o czym przekonał mnie, wspominając o kilku

przypadkach. Postanowiłem dołożyć wszelkich starań, by wyleczyć się z tej wady lub głupoty i dodałem do mojej listy Pokorę, nadając temu słowu szerokie znaczenie.

Nie mogę się pochwalić wielkim sukcesem w nabyciu tej cnoty, ale opanowałem jej sporo, jeśli chodzi o pozory. Postanowiłem powstrzymać się od wszelkiej bezpośredniej sprzeczności z uczuciami innych i wszelkiego stanowczego wygłaszania własnych twierdzeń. Zabroniłem nawet sobie, zgodnie z dawnymi prawami naszej „Junty", używania każdego słowa lub wyrażenia oznaczającego ustaloną opinię, takiego jak „na pewno" czy „niewątpliwie". Zamiast tego mówiłem: „wyobrażam sobie", „sądzę" lub „zdaje mi się, że coś jest takie lub takie", albo „tak mi się obecnie wydaje". Kiedy ktoś powiedział coś, co uznałem za błąd, odmawiałem sobie przyjemności sprzeciwiania się mu gwałtownie i natychmiastowego pokazania absurdu w jego wypowiedzi. Odpowiadając, zaczynałem od zauważenia, że w pewnych przypadkach lub okolicznościach jego opinia byłaby słuszna, ale w niniejszej sprawie pojawiła się (lub wydaje mi się, że wystąpiła) jakaś różnica. Wkrótce odkryłem zaletę tej zmiany w moim zachowaniu. Rozmowy, które przeprowadzałem, przebiegały przyjemniej. Skromny sposób, w jaki przedstawiałem swoje opinie, przyniósł łatwiejszy ich odbiór i mniej sprzeczności. Ubyło mi zmartwień, kiedy okazywało się, że jestem w błędzie i łatwiej było mi przekonać innych, by porzucili swoje błędy i dołączyli do mnie, gdy miałem rację.

Sposób ten, który z początku przyjąłem, wymagał ode mnie przełamywania naturalnych skłonności, z czasem jednak stał się dla mnie tak łatwy i tak zwyczajny, że być może nawet od pięćdziesięciu lat nikt nie słyszał, by wymknął mi się jakiś apodyktyczny zwrot. Myślę, że z powodu tego zwyczaju (obok uczciwości charakteru) wynika, że miałem tak wielki wpływ na moich współobywateli, kiedy zasiadałem w radach publicznych i gdy proponowałem utworzenie nowych instytucji lub zmiany w starych. Byłem bowiem złym mówcą, mało elokwentnym, wahałem się w doborze słów, nie wypowiadałem się poprawnie, a jednak przeważnie przyznawano mi rację.

Prawdopodobnie żadna z naszych naturalnych skłonności nie jest tak trudna do opanowania jak Pycha. Można ją ukryć, zmagać się z nią, pokonać i zdusić ją, dręczyć się wedle uznania, a ona wciąż żyje i będzie się co jakiś czas wyłaniać. Być może często dostrzeżecie ją w tej historii, bo nawet gdybym mógł sobie wyobrazić, że całkowicie ją pokonałem, zapewne pysznię się moją pokorą.

(Tyle napisałem w Passy, w 1784 roku.)

Część trzecia

O polityce i religiach

Tym razem, w sierpniu 1788 roku, będę pisać w domu. Niestety nie znalazłem oczekiwanej pomocy w moich papierach, gdyż wiele z nich zaginęło na wojnie. Coś jednak znalazłem. Wspomniawszy o wielkim i rozległym zamiarze, jaki powziąłem, wydaje się właściwe, aby w tym miejscu przedstawić pewną relację z tego projektu i jego przedmiotu. Jego pierwsze rozwinięcie w mojej głowie pojawia się w przypadkowo zachowanej notatce:

Uwagi przy czytaniu historii w bibliotece, 19 maja 1731 roku:

„Wielkie sprawy świata, wojny, rewolucje itd. są powodowane przez partie";
„Pogląd tych partii opiera się na ich obecnym interesie ogólnym lub na tym, co za taki uważają";
„Odmienne poglądy różnych partii powodują zamieszanie";
„Podczas gdy partia realizuje ogólny plan, każdy człowiek ma na względzie swój osobisty interes";
„Gdy tylko partia osiągnie swój ogólny cel, każdy z jej członków skupia się na własnym interesie, a ponieważ interesy te są zbieżne, partia rozbija się na części i dochodzi do większego zamieszania";
„Nieliczni działacze publiczni kierują się wyłącznie dobrem swojego kraju, cokolwiek by nie twierdzili. Chociaż ich działania przynoszą

rzeczywiste korzyści ich krajowi, to jednak ludzie ci przede wszystkim uważają, że ich własny interes ściśle wiąże się z interesem kraju, a w działaniu nie kierują się wyłącznie troską o innych";
„Jeszcze mniej ludzi działa w sprawach publicznych z myślą o dobru ludzkości";
„Wydaje mi się, że obecnie istnieje wspaniała okazja do powołania Zjednoczonego Stronnictwa Cnoty, poprzez uformowanie z cnotliwych i szlachetnych ludzi ze wszystkich narodów jednolitej organizacji, która opierałaby się na dobrych i mądrych zasadach, zważywszy na to, że ci dobrzy i mądrzy ludzie prawdopodobnie powinni być bardziej jednomyślni w swoim posłuszeństwie niż zwykli ludzie wobec powszechnych praw";
„Uważam, że każdy, kto próbuje tego dokonać i ma odpowiednie predyspozycje, przypodoba się Bogu i zwieńczy swoje działania sukcesem".

B. F.

Kierując myśli na podjęcie tego projektu w przyszłości, kiedy okoliczności, w jakich się znajdę, zapewnią mi możliwość znalezienia koniecznego czasu wolnego, spisuję od czasu do czasu na kartkach związane z nim uwagi, jakie przychodzą mi do głowy. Większość z tych notatek zaginęła, ale jedna z nich wydaje mi się istotą zamierzonego wyznania wiary, zawierającego, jak sądziłem, istotę każdej znanej religii wolnej od wszelkich rzeczy, które mogłyby zaszokować wyznawców jakiejkolwiek religii. Wyraża się to w tych słowach:

„Jest jeden Bóg, Stwórca wszystkiego.
Rządzi on światem za pomocą swej Opatrzności.

Bóg powinien być wielbiony oddawaniem mu czci, modlitwą i dziękczynieniem.
Ale najmilsze Bogu jest czynienie ludziom dobra.

Dusza jest nieśmiertelna.
Bóg na pewno nagrodzi cnotę i ukarze występek, albo tu, albo później".

Moje pomysły z tamtego czasu odnosiły się do założenia sekty, do której najpierw zaprosiłbym młodych i samotnych ludzi. Każdy z wtajemniczonych powinien był nie tylko wyrazić zgodę na przyjęcie takiego wyznania, lecz także zaprawić się poprzez trzynastotygodniowe praktykowanie cnót i kontrolowanie siebie, jak to miało miejsce we wcześniej wspomnianym modelu. Istnienie takiego stowarzyszenia chciałem utrzymywać w tajemnicy aż do czasu, gdy stanie się ono znaczące, w celu zapobieżenia możliwości przyjęcia niewłaściwych osób. Przy tym każdy ze współbraci powinien szukać wśród swoich znajomych kreatywnej, dobrze sytuowanej młodzieży, której z roztropną ostrożnością będzie stopniowo przekazywać plan działania. Współbracia powinni angażować się w udzielanie sobie nawzajem rad, pomocy i wsparcia, aby osiągnąć pomyślność w zawodach, interesach i postępach życiowych. Dla odróżnienia powinniśmy przyjąć nazwę „Stowarzyszenie Wolnych i Chętnych": wolnych od władzy i występku, ze względu na stałe praktykowanie cnót, a dzięki cnocie Pracowitości i Oszczędności – wolnych od długów, które narażają człowieka na więzienie i stanie się niewolnikiem dla jego wierzycieli.

Tyle zapamiętałem z mojego planu, który częściowo przedstawiłem dwóm młodym ludziom. Przyjęli go z pewną dozą entuzjazmu, ale moje ówczesne niezbyt korzystne położenie i konieczność pilnego zajmowania się interesami skłoniły mnie do odłożenia tego pomysłu w czasie. Ponadto moje różnorodne zajęcia publiczne i prywatne, sprawiły, że w dalszym ciągu odkładałem to na później, aż w końcu zarzuciłem ten pomysł. Obecnie nie mam już siły ani werwy wystarczającej do poprowadzenia takiego przedsięwzięcia. Nadal uważam, że był to praktyczny plan, który mógłby przynieść wiele

korzyści, poprzez wychowanie wielkiej liczby dobrych obywateli. Nie zniechęcała mnie też pozorna skala przedsięwzięcia, ponieważ zawsze myślałem, że jeden człowiek o jako takich zdolnościach może doprowadzić do wielkich zmian i dokonać wielkich rzeczy dla ogółu ludzkości, jeśli najpierw opracuje dobry plan, a rezygnując z wszelkich rozrywek i innych zajęć, które odwróciłyby jego uwagę, uczyni wykonanie tego planu jedynym przedmiotem swoich starań i prac.

Almanach Biednego Ryszarda

W 1732 roku po raz pierwszy opublikowałem swój Almanach pod nazwiskiem Richard Saunders. Ukazywał się przez mniej więcej ćwierć wieku pod nazwą: Almanach Biednego Ryszarda. Starałem się, by dzieło to było zarówno zabawne, jak i użyteczne. Nie oczekwiałem, że będzie cieszyć się aż takim zainteresowaniem, że będę czerpać z niego znaczny zysk i sprzedawać rocznie blisko dziesięć tysięcy egzemplarzy. Widząc, że był on czytany na szeroką skalę, gdyż znajdował się w każdym domu w prowincji, stwierdziłem, że jest to właściwy środek przekazu dla ludzi gminnych, którzy nie kupowali prawie żadnych innych książek. Dlatego w kalendarzu każde wolne miejsce wypełniałem przypowieściami i sentencjami, które miały zaszczepić w czytelnikach przekonanie, że pracowitość i oszczędność są najlepszymi sposobami na zdobycie bogactwa, a tym samym zapewnienia sobie cnotliwości. Człowiek w potrzebie nie będzie zawsze postępować uczciwie, bo – jak głosiła jedna z sentencji – „trudno jest pustemu workowi stać prosto”.

Te przysłowia, które zawierały mądrość wielu epok i narodów, zebrałem i uformowałem w jednej rozprawce w Almanachu z 1757 roku jako przemówienie mądrego starca do ludzi biorących udział w aukcji. Połączenie w ten sposób wszystkich rozproszonych dotąd rad sprawiło, że wywarły one większe wrażenie. Utwór, który uzyskał powszechną akceptację, został przedrukowany we wszystkich gazetach na kontynencie. W Wielkiej Brytanii wydrukowano go w formie arkusza, który można było powiesić w domu. Wykonano dwa tłumaczenia na język francuski, a szlachta i duchowieństwo kupili dużą ilość egzemplarzy, aby bezpłatnie rozdać je biednym parafianom i właścicielom ziemskim. W Pensylwanii niektórzy sądzili, że zbiorek ten – ponieważ odradza wydatki na zagraniczne zbytki – przyczynił się do zwiększenia majętności, co można było obserwować jeszcze przez kilka lat po publikacji.

Uważałem również moją gazetę za oryginalny środek szerzenia oświaty i w związku z tym często przedrukowywałem w niej fragmenty „Spectatora" i innych umoralniających pism. Czasami publikowałem własne krótkie utwory, które zostały pierwotnie przedstawione w „Juncie". Wśród nich znalazł się dialog sokratejski udowodniający, że okrutnego człowieka –niezależnie od jego zdolności – nie można właściwie nazwać człowiekiem rozsądnym. Zamieściłem także rozprawkę o samozaparciu, pokazującą, że cnotę można utrwalić, jeżeli jej praktyka wejdzie w nawyk wolny od oporu ze strony przeciwnych skłonności. Można je znaleźć w dokumentach z początku 1735 roku.

Prowadząc gazetę, starannie wykluczyłem z publikacji wszelkie zniesławienia i nadużycia osobiste, które w ostatnich latach stały się tak haniebne dla naszego kraju. Ilekroć zachęcano mnie do wstawienia czegoś takiego, a pisarze powoływali się na wolność prasy i twierdzili, że gazeta jest jak dyliżans, gdyż każdy, kto zapłaci, ma prawo do zajęcia miejsca, odpowiadałem, że jeśli zechcę, wydrukuję ten utwór oddzielnie, a autor może mieć tyle kopii, ile zechce sam rozprowadzić, ale nie będę brał udziału w szerzeniu jego obłędu. Skoro zawarłem umowę z moimi prenumeratorami na

dostarczenie im tego, co może być pożyteczne lub zabawne, nie mogłem wypełnić gazety prywatnymi sprzeczkami, które ich nie obchodzą, nie czyniąc im jawnej niesprawiedliwości. Obecnie wielu naszych drukarzy nie ma skrupułów, by zaspokajać złośliwość jednostek fałszywymi oskarżeniami skierowanymi do najszlachetniejszych postaci spośród nas, wzmagając wrogość wiodącą nawet do pojedynków. Ponadto są tak niedyskretni, że drukują karygodne przemyślenia na temat rządów w sąsiednich państwach, a nawet o postępowaniach naszych najlepszych sprzymierzeńców, co może mieć najbardziej zgubne konsekwencje. O tych rzeczach wspominam w ramach przestrogi dla młodych drukarzy, których należy zachęcać, aby nie zanieczyszczali swoich pras i nie brukali swojego zawodu takimi haniebnymi praktykami, ale wytrwale odmawiali, ponieważ na moim przykładzie mogą zobaczyć, że szlachetne postępowanie nie będzie szkodzić ich interesom.

Dobry interes drukarski

W 1733 roku wysłałem jednego z moich czeladników do Charleston w Karolinie Południowej, gdzie potrzebny był drukarz. Zaopatrywałem go w prasę i czcionki na podstawie umowy na mocy której miałem otrzymać jedną trzecią zysków przedsiębiorstwa, płacąc jedną trzecią kosztów. Był człowiekiem wykształconym i uczciwym, ale wykazywał się ignorancją w sprawach rachunkowych. Choć czasem robił mi przekazy pieniężne na pewne sumy, nie mogłem otrzymać od niego żadnego rachunku ani żadnych zadowalających informacji na temat naszej spółki. Po jego śmierci firmę przejęła wdowa po nim, która urodziła i wychowała się w Holandii, gdzie, jak słyszałem, znajomość księgowości stanowi część

kobiecej edukacji. Wdowa ta nie tylko wysłała mi klarowne sprawozdanie za ubiegły okres, lecz także co kwartał kontynuowała rozliczanie z największą regularnością i dokładnością, a następnie zarządzała firmą z takim powodzeniem, że nie tylko odchowała dzieci, ale po upływie terminu mogła odkupić ode mnie drukarnię i przekazała ją swemu synowi.

Wspominam o tej sprawie głównie po to, aby zarekomendować tę gałąź wychowania naszych młodych kobiet jako prawdopodobnie bardziej przydatną od muzyki czy tańca dla nich i ich dzieci w przypadku wdowieństwa. Chroni je to bowiem od strat będących wynikiem postępowania chytrych ludzi, a umożliwia im potencjalnie kontynuowanie prowadzenia zyskownego przedsiębiorstwa aż do czasu, gdy syn będzie dorosły i zdolny do przejęcia interesu dla trwałej korzyści i wzbogacenia rodziny.

Około 1734 roku przybył do nas z Irlandii młody kaznodzieja prezbiteriański, Hemphill. Pięknym głosem i pozornie bez przygotowania wygłaszał najwspanialsze przemówienia, przyciągające znaczną liczbę słuchaczy różnych wyznań, którzy słuchali go z podziwem. Podobnie jak wielu innych, stałem się jednym z jego wiernych słuchaczy. Lubiłem jego kazania, ponieważ nie były one zbyt dogmatyczne, choć mocno zaszczepiały praktykę cnoty, czyli to, co w religijnym rygorze nazywane jest dobrymi uczynkami. Jednak ci z naszego zgromadzenia, którzy uważali się za ortodoksyjnych prezbiterian, nie zgadzali się z jego doktryną i przyłączyła się do nich większość starszego duchowieństwa. Przed synodem oskarżono go o nieprawowierność, aby zmusić do milczenia. Stałem się jego gorliwym obrońcą i dołożyłem wszelkich starań, aby zdobyć mu zwolenników. Przez pewien czas prowadziliśmy walkę na jego rzecz z nadzieją na sukces. Widząc, że choć umiał się pięknie wysławiać, to nie szło mu pisanie, użyczyłem mu swojego pióra i napisałem dla niego dwie lub trzy rozprawki, z czego jedną umieściłem w gazecie z kwietnia 1735 roku. Broszury te, jak to zwykle bywa z pismami polemicznymi, które chętnie czytano w

owym czasie, wkrótce straciły na aktualności i zastanawiam się, czy choć jeden ich egzemplarz uchował się do dziś.

Pewne pechowe zdarzenie bardzo zaszkodziło jego sprawie. Jeden z naszych przeciwników, słysząc, jak wygłasza kazanie, które było bardzo podziwiane, pomyślał, że gdzieś już je przeczytał, a przynajmniej jego część. Zbadał tę sprawę i stwierdził, że fragment ten był w całości przytoczony w jednym z „Przeglądów Angielskich" jako mowa doktora Fostera. Wywołało to zgorszenie wśród wielu naszych zwolenników, którzy w związku z tym porzucili sprawę Hemphilla i doprowadzili do szybszego pognębienia nas na synodzie. Jednakże wytrwałem przy kaznodziei, ponieważ wolałem, by wygłaszał dobre kazania napisane przez innych niż złe kazania własnego autorstwa, co było często praktyką naszego duchowieństwa. Później przyznał mi, że nie napisał żadnego kazania, które wygłosił. Dodał, że jego pamięć umożliwiła mu zachowanie i powtórzenie każdego kazania po jednym tylko czytaniu. Po naszej porażce zostawił nas w poszukiwaniu lepszego losu gdzie indziej, a ja opuściłem kongregację i nigdy do niej nie wróciłem, chociaż przez wiele lat uiszczałem opłatę na wsparcie jej duchownych.

Sukcesy i smutki

W 1733 roku zacząłem uczyć się języków. Wkrótce stałem się takim mistrzem francuskiego, że z łatwością czytałem książki w tym języku. Wtedy zająłem się włoskim. Znajomy, który też się go uczył, często namawiał mnie, bym zagrał z nim w szachy. Stwierdziwszy, że zajmie mi to zbyt dużo czasu, który mógłbym poświęcić na naukę, odmówiłem dalszej gry, chyba że pod warunkiem, iż zwycięzca w

każdej grze będzie mieć prawo do narzucenia przegranemu zadania, które miał wykonać przed następnym spotkaniem. Zadania te dotyczyły nauczenia się na pamięć gramatyki lub wykonanie jakiegoś przekładu. Ponieważ graliśmy mniej więcej jednakowo, zmuszaliśmy się nawzajem do nauki włoskiego. Nieco później z odrobiną żmudnego wysiłku przyswoiłem hiszpański na tyle, że i w tym języku mogłem czytać książki.

Wspomniałem już, że miałem za sobą tylko jeden rok nauki w szkole łacińskiej, kiedy byłem bardzo młody, po czym całkowicie zaniedbałem ten język. Ale kiedy uczyłem się francuskiego, włoskiego i hiszpańskiego, ze zdziwieniem zauważyłem, przeglądając łaciński Nowy Testament, że rozumiałem w tym języku znacznie więcej, niż przypuszczałem. Zachęciło mnie to do ponownego studiowania łaciny i tym razem poszło mi lepiej, ponieważ poprzednie języki znacznie przetarły mi szlak.
W tych okolicznościach doszedłem do wniosku, że istnieje pewna niespójność w ogólnie przyjętym sposobie nauczania języków. Próbuje się nam wmówić, że należy najpierw zacząć od łaciny, gdyż ułatwi to przyswojenie nowożytnych języków, które się z niej wywodzą. A jednak nie zaczynamy od greki, aby łatwiej było nam przyswoić łacinę. Prawdą jest, że jeśli możesz się wdrapać na szczyt schodów bez korzystania ze stopni, to łatwiej z nich zejdziesz. Jeśli jednak zaczniesz od najniższego schodka, z łatwością wejdziesz na górę. Dlatego też chciałbym zwrócić się do tych, którzy nadzorują wychowanie naszej młodzieży: czy skoro wielu z tych, którzy rozpoczynają naukę języków obcych od łaciny, porzuciło ją po kilku latach bez zdobycia większej biegłości, a to, czego się nauczyli, stało się prawie bezużytecznie, więc stracili czas, to czy nie byłoby lepiej zacząć od francuskiego, a następnie włoskiego itd.? Gdyby nawet uczniowie ci mieli nigdy nie tknąć łaciny, to jednak nauczyliby się innych, współczesnych języków, które mogłyby im się przydać w życiu.

Po dziesięciu latach nieobecności w Bostonie, kiedy to mój stan majątkowy znacznie się poprawił, odbyłem podróż, by odwiedzić

krewnych, na co wcześniej nie mogłem sobie pozwolić. W drodze powrotnej zatrzymałem się w Newport, by zobaczyć się z bratem, który prowadził tam drukarnię. Dawne kłótnie zostały zapomniane, a nasze spotkanie było bardzo serdeczne i uczuciowe. Szybko pogarszał się stan jego zdrowia, w związku z czym poprosił mnie, żebym w razie jego śmierci, która zbliżała się nieuchronnie, otoczył opieką jego syna, który miał wówczas tylko dziesięć lat, i wyszkolił go na drukarza. Spełniłem jego prośbę, najpierw jednak, zanim przekazałem mu schedę po ojcu, posłałem chłopca na kilka lat do szkoły. Jego matka prowadziła interesy do czasu, gdy dorósł. Wyposażyłem go w nowe czcionki, ponieważ te, które znajdowały się na stanie, były już zużyte. W ten sposób odpłaciłem się mojemu bratu za służbę, której go pozbawiłem, opuszczając go tak wcześnie.

W 1736 roku straciłem jednego z moich synów, wspaniałego czteroletniego chłopca. Umarł na ospę, którą zaraził się w zwykły sposób. Długo żałowałem i nadal żałuję, że nie zdecydowałem się na szczepionkę. Wspominam o tym dla dobra rodziców, którzy pomijają ten zabieg z obawy o śmierć dziecka w jego wyniku, czego sobie nigdy nie wybaczą. Mój przykład pokazuje, że żal może być taki sam w obu przypadkach i trzeba wybrać bezpieczniejsze rozwiązanie.

Nasz klub, „Junta”, okazał się tak pożyteczny i dostarczył nam takiej satysfakcji, że kilku z nas chciało zaprosić do niego swoich przyjaciół, jednak było to niemożliwe bez przekroczenia limitu członków ustalonego na dwunastu, co stanowiło najdogodniejszą dla nas liczbę. Od początku wyznawaliśmy zasadę utrzymywania naszej instytucji w tajemnicy, której na ogół wszyscy przestrzegali. Chcieliśmy w ten sposób uniknąć wniosków o dopuszczenie do członkostwa składanych przez niewłaściwe osoby, gdyż niektórym być może trudno byłoby odmówić. Byłem jednym z tych, którzy sprzeciwiali się jakiemukolwiek zwiększaniu liczby członków. Zamiast tego złożyłem pisemną propozycję, aby każdy członek z osobna stworzył podrzędny klub na tych samych zasadach dotyczących np. dyskusji, bez informowania jego uczestników o koneksjach z „Juntą”. Takie rozwiązanie wiązałoby się z wieloma korzyściami:

doskonaleniem wielu młodych obywateli dzięki wpajaniu im naszych zasad, lepszym poznaniem ogólnych odczuć mieszkańców dotyczących różnych spraw, gdyż kierujący dodatkowym klubem członek „Junty" mógł zaproponować omówienie ważnych dla nas kwestii i zdawać raport z dyskursu w jego oddzielnym klubie. Ponadto dodatkowe kluby mogłyby promować nasze partykularne interesy poprzez szersze rekomendacje i zwiększanie naszego wpływu w sprawach publicznych oraz naszej siły czynienia dobra poprzez szerzenie w kilku klubach przekonań „Junty".

Projekt został zaakceptowany i każdy członek zobowiązał się założyć swój klub, choć nie wszystkim się to udało. Zostało utworzonych tylko pięć lub sześć nowych stowarzyszeń, którym nadano różne nazwy, takie jak „Winnica", „Unia" czy „Związek". Okazały się one użyteczne zarówno dla siebie, jak i dla nas, gdyż dostarczały nam sporo cennych i pouczających wiadomości, które w pewnym stopniu wpływały w naszym duchu na opinię publiczną przy szczególnych okazjach, o których wspomnę we właściwym czasie.

Pierwszy urząd

W 1736 roku objąłem mój pierwszy urząd – pisarza Zgromadzenia. Wyboru dokonano bez sprzeciwu, ale roku później, kiedy ponownie zgłosiłem swoją kandydaturę (wybór pisarza, podobnie jak członków, odbywa się corocznie), ktoś z Izby wygłosił długą przemowę przeciwko mnie, aby ukazać w lepszym świetle innego kandydata. Wybór padł jednak na mnie, z czego byłem bardzo zadowolony, gdyż poza otrzymywanym wynagrodzeniem, piastowanie urzędu ułatwiało mi podtrzymywanie znajomości z członkami Zgromadzenia, a ci

zlecali mi drukowanie głosów, praw, papierowych pieniędzy i innych okazjonalnych zleceń publicznych, które na ogół były bardzo dochodowe.

Nie podobał mi się sprzeciw tego nowego członka, który był zamożnym i wykształconym dżentelmenem posiadającym wszelkie widoki na to, by z czasem zyskać wielki wpływ na Izbę (co rzeczywiście później nastąpiło). Nie chciałem jednak zdobyć jego przychylności poprzez okazywanie mu służalczych względów. Po pewnym czasie przyjąłem inną taktykę. Kiedy usłyszałem, że ma w swoim księgozbiorze pewną bardzo rzadką i ciekawą książkę, napisałem do niego list, w którym wyraziłem pragnienie jej przeczytania i poprosiłem o wyświadczenie mi przysługi i pożyczenie mi jej na kilka dni. Wysłał ją natychmiast, ja zaś zwróciłem ją po mniej więcej tygodniu. Dołączyłem kolejną notatkę, w której wyraziłem moją gorącą wdzięczność. Kiedy następnym razem spotkaliśmy się w Izbie, przemówił do mnie (czego nigdy wcześniej nie robił) w sposób bardzo uprzejmy. Od tamtej pory zawsze okazywał gotowość udzielenia mi pomocy przy każdej okazji i zostaliśmy wielkimi przyjaciółmi, a nasza przyjaźń trwała aż do jego śmierci. Jest to kolejny przykład prawdziwości starej maksymy, której się nauczyłem: „Kto raz wyświadczył ci przysługę, będzie bardziej skłonny oddać ci nową niż ten, któremu ty wyrządziłeś dobro”. Świadczy to również o tym, o ile bardziej opłaca się zaniechać wrogiego postępowania niż zachowywać je w pamięci, odpłacać i podtrzymywać.

Pocztmistrz generalny i Kompania ogniowa

W 1737 roku pułkownik Spotswood, nieżyjący już gubernator Wirginii, a w tamtym czasie poczmistrz generalny, niezadowolony był z postępowania swojego zastępcy w Filadelfii ze względu na pewne zaniedbania w obowiązkach i nieścisłość jego rachunków. Odebrał mu więc stanowisko, a następnie mnie złożył propozycję jego objęcia. Przyjąłem tę posadę chętnie i uznałem za bardzo korzystną. Chociaż pensja była niewielka, to objęcie tego urzędu ułatwiało mi utrzymywanie korespondencji potrzebnych mojej gazecie. Skutkowało także zwiększonym popytem na nią i większą liczbą ogłoszeń, co przełożyło się na większe dochody. Gazeta mojego starego konkurenta w tym czasie proporcjonalne upadała, z czego byłem zadowolony. Zrezygnowałem jednak z odwetu za jego odmowę przewożenia mojej gazety, kiedy pełnił funkcję poczmistrza generalnego. Mój konkurent bardzo więc cierpiał z powodu zaniedbań księgowości. Wspominam to jako lekcję dla młodych ludzi, zatrudnianych do prowadzenia spraw innych. Powinni zawsze składać rachunki i sprawozdania z wielką jasnością i punktualnością. Przestrzeganie tej zasady jest najistotniejszą ze wszystkich rekomendacji dotyczących nowych miejsc pracy i rozwoju interesów.

Zacząłem teraz stopniowo kierować myśli ku sprawom publicznym, zaczynając jednak od rzeczy drobnych. Jedną z pierwszych instytucji, które w moim odczuciu wymagały reformy była Straż miejska. Zarządzali nią po kolei konstable poszczególnych oddziałów. Każdy konstabl wyznaczał grupę mieszkańców, aby ci pełnili straż wyznaczonej nocy. Osoby, które się temu sprzeciwiły, musiały zapłacić sześć szylingów rocznie w ramach rekompensaty za konieczność zatrudnienia zastępców. W rzeczywistości kwota ta wynosiła znacznie więcej niż suma potrzebna do tego celu, przez co stanowisko konstabla było bardzo intratne. W efekcie konstable często zatrudniali za parę łyków trunku takich oprychów, że nikt z szanujących się mieszkańców nie chciał mieć z nimi do czynienia. Samo pełnienie obowiązków strażnika było również często zaniedbywane, a większość nocy stróże spędzali na pijatykach. W związku z tym napisałem i odczytałem w „Juncie” rozprawkę, w której przedstawiłem te nieprawidłowości i podkreśliłem w

szczególności niesprawiedliwość stałego sześciofuntowego podatku dla konstabli. Majątek biednej wdowy, którego miała doglądać straż, nie przekraczał wartości pięćdziesięciu funtów, jednak musiała ona zapłacić tyle samo, co najbogatszy kupiec, który miał w swoich składach towary warte tysiące funtów.

Zaproponowałem rozsądniejszy nadzór poprzez zatrudnianie ludzi bardziej odpowiednich do pełnienia stałej służby oraz bardziej sprawiedliwy sposób pobierania opłaty polegający na nałożeniu podatku proporcjonalnego do majątku. Pomysł ten, zaakceptowany przez „Juntę", został przedstawiony innym klubom tak, by sprawiał wrażenie, że powstał w każdym z nich. Chociaż plan ten nie został natychmiast wprowadzony w życie, to jednak umysły zdążyły przygotować się do zmiany. Gdy po upływie kilku lat członkowie naszych klubów stali się bardziej wpływowi, stosowna ustawa weszła w życie.

Mniej więcej w tym czasie napisałem rozprawkę (najpierw odczytałem ją w „Juncie", a później została opublikowana) o różnych wypadkach i niedbalstwach doprowadzających do podpalania domów. Przestrzegałem przed nimi proponując sposoby ich uniknięcia. Moja wypowiedź była szeroko komentowana i uważano ją za pożyteczną. Dała ona początek projektowi utworzenia zrzeszenia, które w większym stopniu byłoby przygotowane do gaszenia pożarów oraz udzielania wzajemnej pomocy w usuwaniu i zabezpieczaniu dóbr w razie niebezpieczeństwa. Wkrótce został on wprowadzony w życie. W momencie założenia zrzeszenie obejmowało trzydziestu członków. Umowa zobowiązywała każdego z nich do stałego przechowywania i przygotowania na wypadek pożaru pewnej liczby skórzanych kubłów oraz mocnych worków i koszy do pakowania oraz przenoszenia towarów, które miały być wykorzystane w przypadku wybuchu pożaru. Zgodziliśmy się spotykać raz w miesiącu, aby przedstawiać sobie pomysły na temat zapobiegania i gaszenia pożarów, jakie przyszły nam do głowy, a mogłyby usprawnić naszą działalność.

Wkrótce okazało się, jak bardzo trafnym pomysłem było założenie tej instytucji. Ze względu na dużą liczbę chętnych postanowiliśmy powołać drugą kompanię. Niedługo potem zaczęły powstawać kolejne, aż stały się tak liczne, że objęły większość mieszkańców posiadających jakiś majątek. Teraz, gdy piszę te słowa, mija pięćdziesiąt lat od założenia Związkowej Kompanii Ogniowej, która istnieje do dziś i nadal się rozwija, choć z pierwszych członków żaden oprócz mnie i jeszcze jednego, o rok starszego ode mnie mężczyzny, już nie żyje. Niewielkie grzywny, które nakładano na członków za nieobecność na comiesięcznych zebraniach, przeznaczano na zakup pomp, drabin, haków przeciwpożarowych i innych użytecznych narzędzi stanowiących wyposażenie każdej kompanii. Śmiem wątpić, czy jest na świecie miasto lepiej wyposażone w środki do zwalczania pożarów w ich zarodku. Od czasu powstania tych instytucji ogień strawił najwyżej jeden lub dwa domy jednocześnie, a płomienie często były gaszone jeszcze zanim budynek, w którym się pojawiły spłonął do połowy.

Wielebny Whitefield i budowa domu spotkań

W 1739 roku przybył do nas z Irlandii wielebny Whitefield, który wsławił się tam jako wędrowny kaznodzieja. Początkowo pozwolono mu wygłaszać kazania w niektórych naszych kościołach, ale nie przypadł on do gustu duchownym, którzy wkrótce odmówili mu wstępu na ambonę, więc musiał wygłaszać swoje homilie na polach. Zainteresowanie jego wystąpieniami było ogromne, brali w nich udział przedstawiciele wszystkich sekt i wyznań. Często uczestniczyłem w tych spotkaniach i obserwowałem niezwykły wpływ jego głosu na słuchaczy oraz to, jak wielkim darzono go podziwem i

szacunkiem, pomimo szorstkiego obycia i zapewniania, że z natury ludzie są półbestiami i półdiabłami. Co zdumiewające, wkrótce nastąpiła zmiana w obyczajach naszych mieszkańców. Wydawało się, że wszyscy obojętni dotąd na sprawy religii i nieprzykładający się do niej, stali się nagle gorliwymi jej wyznawcami, a wieczorami w całym mieście godzinami rozlegał się śpiew psalmów.

Zebrania na świeżym powietrzu, z uwagi na zmianę pogody, okazały się niewygodne, zaproponowano zatem budowę domu przeznaczonego na spotkania oraz wyznaczono osoby do przyjmowania datków. Wkrótce zebrano wystarczające sumy na zakup ziemi i wzniesienie budynku, który miał trzydzieści metrów długości, dwadzieścia szerokości i był mniej więcej wielkości Westminster Hall. Prace budowlane postępowały z takim zapałem, że ukończono je w czasie znacznie krótszym, niż się spodziewano. Zarówno dom, jak i ziemię oddano pod zarząd darczyńcom, zaznaczając, że może przemawiać tam kaznodzieja wszelkiego wyznania i wszelkiej religii, który miałby coś do przekazania mieszkańcom Filadelfii. Gmach nie powstał z myślą o żadnej konkretnej sekcie, a dla samych obywateli. Zatem gdyby nawet mufti Konstantynopola wysłał misjonarza, aby głosił tam mahometanizm, znalazłby do swojej służby ambonę.

Wielebny Whitefield, opuściwszy nas, udał się do Georgii, w drodze głosząc kazania. Osadnictwo w tej prowincji dopiero się rozpoczęło, ale zamiast wytrwałych i pracowitych rolników przyzwyczajonych do pracy, którzy są jedynymi ludźmi nadającymi się do takiego przedsięwzięcia, wysyłano tam rodziny zbankrutowanych sklepikarzy i innych niewypłacalnych dłużników, często leniwych lub opuszczających więzienia. Osiadając w lasach, niezdolni do karczowania ziemi i znoszenia trudnych warunków, ludzie ci często ginęli pozostawiając wiele bezbronnych dzieci. Widok ich nieszczęsnej sytuacji natchnął szlachetne serce wielebnego Whitefielda do zbudowania Domu Sierot, w którym dzieci te otrzymałyby wsparcie i edukację. Podczas podróży na północ namawiał wszystkich do udziału w tym przedsięwzięciu i udało mu

się zgromadzić dużą kwotę, ponieważ jego przemówienia posiadały cudowną władzę nad sercami i sakiewkami jego słuchaczy, czego ja sam byłem przykładem.

Projekt sam w sobie wydawał mi się słuszny, ale ponieważ Georgia była wówczas pozbawiona materiałów budowlanych i robotników, padł pomysł, aby wielkim nakładem kosztów wysłać ich z Filadelfii. Pomyślałem więc, że lepiej byłoby wybudować ten dom tutaj i sprowadzić do niego dzieci. Doradzałem, by tak postąpić. Wielebny Whitefield trwał jednak przy swoim pierwotnym pomyśle, odrzucił moją radę i dlatego odmówiłem wniesienia wkładu finansowego. Wkrótce po tym, wziąłem udział w jednym z jego kazań. W trakcie dostrzegłem, że zamierza zakończyć je zbiórką, po cichu postanowiłem więc, że ode mnie nic nie dostanie. Miałem w kieszeni garść miedziaków, trzy lub cztery srebrne dolary i pięć złotych dukatów. W miarę słuchania, zacząłem mięknąć i doszedłem do wniosku, że oddam miedziaki. Kolejny fragment natchnionej przemowy kaznodziei napełnił mnie wstydem i postanowiłem oddać srebro, ale koniec kazania był tak wspaniały, że wysypałem na tacę całą zawartość kieszeni, łącznie z dukatami. W tym kazaniu uczestniczył również członek jednego z naszych klubów, który podzielał moje poglądy w sprawie sierocińca w Georgii. Przewidując, że na kazaniu odbędzie się zbiórka, opróżnił kieszenie przed wyjściem z domu, jednak po wysłuchaniu przemówienia poczuł silne pragnienie wsparcia tego celu i zwrócił się do stojącego obok niego mężczyzny, aby pożyczyć trochę pieniędzy. Odezwał się jednak być może do jedynego człowieka w towarzystwie, którego stanowczości kaznodzieja nie naruszył. Jego odpowiedź brzmiała: „W każdym innym razie, drogi panie Hopkinson, chętnie bym ci pożyczył, ale nie teraz, bo zdajesz się nie być przy zdrowych zmysłach”.

Niektórzy z przeciwników wielebnego Whitefielda byli święcie przekonani, że zasili pieniędzmi ze zbiórek swoje prywatne uposażenie. Natomiast ja dobrze go znałem (będąc zatrudnionym przy drukowaniu jego kazań i dzienników). Nigdy nie miałem najmniejszego podejrzenia co do jego uczciwości i do dziś

zdecydowanie obstaję przy w przekonaniu, że był on całkowicie uczciwym człowiekiem. Uważam, że moje świadectwo na jego korzyść powinno mieć większe znaczenie, ponieważ nie mieliśmy żadnych religijnych powiązań. W rzeczy samej czasami modlił się o moje nawrócenie, ale nigdy nie znalazł dowodów na to, że jego modlitwy zostały wysłuchane. Nasza przyjaźń była czysto laicka, szczera po obu stronach i trwała do jego śmierci.

Poniższy przykład może objaśni nieco nasze stosunki. Kiedyś powróciwszy z Anglii do Bostonu napisał do mnie, że wkrótce przyjedzie do Filadelfii. Nie wiedział, gdzie mógłby się zatrzymać, słyszał bowiem, że jego stary przyjaciel i gospodarz, pan Benezet przeniósł się do Germantown. Odpisałem mu: „Znasz mój dom. Jeśli nie będzie cię razić skromne urządzenie, będziesz bardzo mile widziany". Odpowiedział, że jeśli złożę taką życzliwą ofertę ze względu na Chrystusa, to powinienem otrzymać nagrodę. Odpowiedziałem „Niech cię to nie zmyli, to nie przez wzgląd na Chrystusa, ale na ciebie". Jeden z naszych wspólnych znajomych żartobliwie zauważył, że ja, znam obyczaje świętych. Gdy ktoś wyświadczył im przysługę, przerzucali obowiązek odpłaty na niebiosa. Wymyśliłem więc, by związać ten obowiązek z ziemią.

Ostatni raz widziałem wielebnego Whitefielda w Londynie, kiedy konsultował się ze mną w sprawie Domu Sierot i zamiaru połączenia go z kolegium, jakie planował założyć.

Miał mocny, wyraźny głos i tak doskonale artykułował wypowiadane słowa i zdania, że można go było usłyszeć i zrozumieć z dużej odległości, zwłaszcza że jego słuchacze, jakkolwiek liczni, zachowywali zupełną ciszę. Pewnego wieczoru wygłaszał kazanie ze szczytu schodów wiodących do gmachu sądowego leżącego pośrodku Market Street oraz po zachodniej stronie Second Street, która przecina się z nią pod kątem prostym. Obie ulice były wypełnione po brzegi słuchaczami. Stojąc w ostatnich szeregach tłumu na Market Street, z ciekawości chciałem przekonać się, jak daleko będzie go słychać. Poszedłem w przeciwnym kierunku, w

stronę rzeki. Cały czas słyszałem go wyraźnie, dopóki nie zbliżyłem się do Front Street, kiedy to jakiś hałas na tej ulicy go zagłuszył. Wyobraziłem sobie wtedy półkole, którego promień stanowiła moja odległość do kaznodziei i które było wypełnione słuchaczami. Przyjąłem, że każdy z nich zajmuje dwie dziesiąte metra kwadratowego. Obliczyłem, że może go usłyszeć ponad trzydzieści tysięcy osób. Uwierzyłem wtedy doniesieniom prasowym, według których Whitefield miał przemawiać do dwudziestu pięciu tysięcy ludzi na polach i dawnym historiom o starożytnych generałach przemawiających do całych armii, w co czasami wątpiłem.

Ponieważ słuchałem go często, nie sprawiało mi większych trudności odróżnienie kazań nowo napisanych od tych, które często wygłaszał w trakcie swoich podróży. Te ostatnie wygłaszał z taką regularnością, że zdołał je doprowadzić do perfekcji, tak że każdy akcent, każde podkreślenie, każda modulacja głosu były tak doskonałe, że nawet osoba niezainteresowana tematem czerpałaby przyjemność ze słuchania, podobnie jak w przypadku doskonałego utworu muzycznego. Jest to przewaga wędrownych kaznodziejów nad tymi, którzy nie podróżują, ponieważ ci ostatni nie mogą poprawić sposobu wygłaszania kazań drogą wielu prób.

Pisma i druki Whitefielda nieraz były wykorzystywane przez osoby mu nieprzychylne. Nierozważne zwroty czy nawet błędne opinie wygłoszone w kazaniu można później wyjaśnić, uzupełnić lub im zaprzeczyć, ale litera scripta manet (słowo zapisane zostaje). Krytycy gwałtownie atakowali jego pisma i sprawiali pozory, iż są rozsądnymi ludźmi. Dzięki temu zmniejszyli liczbę jego zwolenników i zapobiegali pozyskaniu nowych. Dlatego też uważam, że gdyby wielebny Whitefield nigdy niczego nie napisał, zostawiłby po sobie o wiele liczniejszą i bardziej wpływową grupę wyznawców. Jego reputacja mogłaby ciągle rosnąć, nawet po jego śmierci, ponieważ nie zachowałyby się żadne jego pisma, które można byłoby skrytykować i umniejszyć ich znaczenie. Jego wyznawcy zaś mogliby bez przeszkód przypisywać mu tyle doskonałości, na ile tylko starczyłoby im zapału i podziwu.

Milicja filadelfijska

Moje interesy stale się rozwijały, a warunki życiowe z dnia na dzień stawały się coraz lepsze. Gazeta, którą publikowałem, stała się bardzo dochodowa, gdyż przez pewien czas była właściwie jedyną wydawaną w tej i w sąsiednich prowincjach. Doświadczyłem też na sobie słuszności powiedzenia, że „po zdobyciu pierwszej setki funtów, łatwiej jest zdobyć drugą", a pieniądze ze swej natury się rozmnażają.

Spółka w Karolinie odniosła sukces, co zachęciło mnie do tworzenia innych i wypromowania kilku moich czeladników, którzy dobrze się spisywali, przez powierzenie im drukarni w różnych koloniach, na tych samych warunkach co w Karolinie. Większość z nich dobrze sobie radziła i po upływie ustalonego sześcioletniego terminu mogli odkupić ode mnie czcionki i kontynuować pracę na własny rachunek, dzięki czemu zapewniali dostatek swoim rodzinom. Istnienie spółek często kończy się konfliktami, ale ja miałem to szczęście, że moje partnerstwa były prowadzone i kończone polubownie. Jak sądzę, w dużej mierze było to skutkiem ostrożności polegającej na bardzo wyraźnym uregulowaniu w umowie każdej rzeczy, która ma być wykonana przez każdego wspólnika, tak aby nie było podstaw do wszczynania sporów. Ostrożność zalecam zatem wszystkim, którzy zawierają współpracę, ponieważ, niezależnie od szacunku, jakim darzą się partnerzy i zaufania do siebie nawzajem, w momencie zawierania umowy może pojawić się niewielka zazdrość i zamęt oraz przekonanie o nierównym stosunku wydatków i obowiązków, co

często prowadzi do naruszenia przyjaźni i spółki oraz może skończyć się pozwami sądowymi i innymi nieprzyjemnymi konsekwencjami.

Ogólnie rzecz biorąc, miałem wiele powodów do zadowolenia z faktu, że osiedliłem się w Pensylwanii. Były jednak dwie rzeczy, nad którymi ubolewałem: brak milicji, czyli zapewnienia ochrony i brak kolegium pozwalającego młodzieży zdobyć wykształcenie. W związku z tym w 1743 roku przygotowałem propozycję utworzenia akademii. Byłem przekonany, że wielebny Peters, który wówczas nie miał zajęcia, był odpowiednią osobą, aby nadzorować taką instytucję. Pokazałem mu ten projekt, ale on miał na widoku bardziej dochodowe zajęcie na usługach właścicieli ziemskich i odrzucił moją propozycję. Ponieważ w tym czasie nie znałem nikogo odpowiedniego, na jakiś czas zawiesiłem przedsięwzięcie. W następnym, 1744 roku, miałem więcej szczęścia – zaproponowałem utworzenie Towarzystwa Filozoficznego. Referat, który napisałem w tym celu, znajdzie się wśród moich pism zebranych.

Sprawy obronności nie wyglądały najlepiej. Do Hiszpanii, będącej przez kilka lat w stanie wojny z Wielką Brytanią, dołączyła Francja, co stawiało nas w wielkim niebezpieczeństwie. Również żmudne i długotrwałe starania naszego gubernatora, Thomasa, by skłonić zgromadzenie kwakrów do uchwalenia prawa milicyjnego i wprowadzenia innych przepisów dotyczących bezpieczeństwa prowincji, okazały się nieskuteczne. Postanowiłem podjąć się rozwiązania tego problemu drogą dobrowolnego stowarzyszenia ludzi. Najpierw napisałem i opublikowałem broszurę zatytułowaną Prosta prawda, w której ukazałem naszą bezbronność w jaskrawym świetle oraz przedstawiłem konieczność zjednoczenia dla naszej obrony. Obiecałem zaproponować w ciągu kilku dni projekt stowarzyszenia, które miałoby być powołane w tym celu. Broszura ta przyniosła nagły i zaskakujący efekt. Zostałem poproszony o założenie stowarzyszenia, a po uzgodnieniu jego projektu z kilkoma przyjaciółmi, zorganizowałem zebranie obywateli w dużym budynku, który opisywałem wcześniej. Na spotkaniu stawiło się wiele osób. Przygotowałem wydrukowane egzemplarze statutu oraz pióra wraz z

kałamarzami. Wygłosiłem krótkie przemówienie, odczytałem i wyjaśniłem projekt, a następnie rozdawałem egzemplarze statutu do podpisu, co nie spotkało się z najmniejszym sprzeciwem.

Na zakończenie okazało się, że mamy podpisanych tysiąc dwieście zgłoszeń. Gdy rozesłaliśmy po kraju pozostałe egzemplarze, liczba zgłoszeń doszła do dziesięciu tysięcy. Wszyscy ci ludzie jak tylko mogli zaopatrywali się w broń, formowali się w kompanie i pułki, wybierali własnych oficerów i spotykali się co tydzień, aby przekazywać sobie instrukcje w zakresie ćwiczeń i innych elementów dyscypliny wojskowej. Kobiety drogą zbiórki ufundowały zaprojektowane przeze mnie jedwabne sztandary opatrzone różnymi godłami i mottami.

Na zebraniu oficerów kompanii tworzących pułk filadelfijski wybrano mnie na pułkownika. Uznałem jednak, że się do tego nie nadaję i zarekomendowałem na to stanowisko pana Lawrence'a, znakomitego i wpływowego człowieka, który wkrótce otrzymał nominację. Następnie zaproponowałem organizację loterii na pokrycie kosztów budowy fortyfikacji pod miastem i wyposażenia ich w armaty. Loteria przyniosła znakomite efekty i wkrótce wzniesiono fortyfikację z kłód i nasypów ziemnych. Kupiliśmy kilka starych armat z Bostonu, ale było ich za mało, więc zamówiliśmy kolejne z Anglii, prosząc jednocześnie naszych właścicieli ziemskich o jakąś pomoc, choć bez większych nadziei na jej otrzymanie.

Tymczasem wraz z pułkownikiem Lawrencem, Williamem Allenem i Abramem Taylorem zostaliśmy wysłani przez zrzeszenie do Nowego Jorku w celu wypożyczenia dział od gubernatora Clintona. Z początku kategorycznie odmówił. Potem jednak na kolacji ze swoją radą, kiedy to zgodnie z miejscowym zwyczajem wypił wiele wina maderskiego, stopniowo miękł i powiedział, że pożyczy nam sześć dział. Po kilku kolejnych toastach zwiększył ich liczbę do dziesięciu, a w końcu szczodrobliwie przyznał nam ich osiemnaście. Były to świetne osiemnastofuntowe armaty z zaprzęgiem. Szybko przewieźliśmy je do Filadelfii i umieściliśmy na naszych

umocnieniach, gdzie członkowie zrzeszenia trzymali nocną wartę do końca wojny. Ja zaś regularnie wykonywałem tam swoje obowiązki jako pospolity żołnierz.

Moja działalność w tych operacjach znalazła uznanie w oczach gubernatora i rady. Obdarzono mnie zaufaniem i konsultowano się ze mną w każdej sprawie dotyczącej milicyjnego zrzeszenia. Zaproponowałem zwrócenie się ku religii i przyjęcie postu w intencji błogosławieństwa Niebios dla naszego przedsięwzięcia. Rada przyjęła mój pomysł, ale ponieważ był to pierwszy tego rodzaju przypadek w prowincji, sekretarz nie miał precedensu, na którym mógłby oprzeć ustawę. Moje wychowanie w Nowej Anglii, gdzie co roku proklamuje się post, okazało się być bardzo przydatne. Napisałem zwykłą proklamację, jaką stosuje się w takich sytuacjach. Została ona przetłumaczona na niemiecki i wydrukowana w obu językach, a następnie rozpowszechniona w prowincji. Dało to duchowieństwu z różnych wyznań możliwość zachęcania wiernych do dołączenia i prawdopodobnie byłoby to powszechne wśród wszystkich wyznań oprócz kwakrów, gdyby szybko nie nastąpił pokój.

Niektórzy z moich przyjaciół uważali, że moją działalnością w tych sprawach naraziłem się kwakrom i tym samym straciłem wpływy w Zgromadzeniu, w którym stanowili oni zdecydowaną większość. Pewien młody dżentelmen, który również miał kilku przyjaciół w Izbie Reprezentantów i życzył mi pozostania na stanowisku pisarza, poinformował mnie, że postanowiono mnie zastąpić przy okazji następnych wyborów. Dlatego też w akcie dobrej woli poradził mi, abym zrezygnował, co byłoby bardziej zgodne z moim honorem niż zwolnienie. Odpowiedziałem mu, że czytałem lub słyszałem o jakichś działaczach publicznych, którzy przyjęli zasadę, aby nigdy nie prosić o urząd i nigdy nie odmawiać, gdy jest im oferowane jego objęcie. „Akceptuję – powiedziałem – jego regułę i będę ją stosował z niewielkim dodatkiem – nigdy nie będę się ubiegać, nigdy nie odmówię, ani nigdy nie zrezygnuję z urzędu. Jeśli moje stanowisko pisarza zostanie przekazane innej osobie, odbiorą mi je. Rezygnując, nie wyrzeknę się jednak prawa, by w tym czy innym czasie odegrać

się na moich przeciwnikach”. Więcej jednak ten temat już nie powrócił. Podczas następnych wyborów jak zwykle zostałem ponownie jednogłośnie wybrany. Możliwe, że te osoby, którym nie podobała się moja zażyłość z członkami rady stojącymi po stronie gubernatorów we wszystkich sporach dotyczących przygotowań wojennych, co tak długo trapiło Izbę, odczułyby zadowolenie, gdybym dobrowolnie opuścił Zgromadzenie. Nie chciano usuwać mnie tylko z powodu mojej gorliwości w pracy dla stowarzyszenia, a przynajmniej nikt nie podał innego powodu.

W rzeczy samej miałem pewne powody, by sądzić, że obrona kraju nie była wbrew interesom nikogo z nich, pod warunkiem, że nie byli zobowiązani do pomocy w tym zakresie. Doszedłem do wniosku, że znacznie więcej z nich, niż mogłem sobie wyobrazić, sprzeciwiało się wojnie ofensywnej i skłaniało się ku działaniom obronnym. Opublikowano wiele broszur za i przeciw na ten temat, a niektóre z nich, pisane przez dobrych kwakrów na rzecz obrony, jak sądzę, przekonały większość ich młodzieży.

Sprawa przekonań kwakrów o walce

Pewne zdarzenie w naszej kompanii ogniowej dało mi wgląd w panujące uczucia ogółu. Ktoś wysunął propozycję, żebyśmy przyczynili się do budowy umocnień poprzez wydanie obecnych zasobów wynoszących około sześćdziesięciu funtów na zakup losów na loterię. Według naszych zasad nie można było dysponować pieniędzmi do następnego spotkania po złożeniu wniosku. Kompania składała się z trzydziestu członków, z czego dwudziestu dwóch było

kwakrami i tylko ośmiu reprezentowało inne wyznania. W ośmiu więc przybyliśmy punktualnie na spotkanie. Spodziewaliśmy się, że niektórzy kwakrzy mogą do nas dołączyć, ale nie byliśmy w żadnym wypadku pewni co do osiągnięcia większości. Tymczasem tylko jeden kwakier, pan James Morris, wydawał się przeciwny wnioskowi. Wyraził wielki smutek, że w ogóle taki wniosek został złożony, gdyż jak powiedział, wszyscy przyjaciele są jemu przeciwni, a to doprowadzi do takiego rozdźwięku, który może skutkować rozbiciem kompanii. Powiedzieliśmy mu, że nie widzimy ku temu żadnego powodu – jesteśmy mniejszością, a jeśli nasi „przyjaciele" są przeciwni naszemu wnioskowi i nas przegłosują, to musimy i powinniśmy, za zgodą wszystkich członków, oddalić wniosek. Kiedy nadchodziła godzina obrad, wniosek poddano głosowaniu. Przeciwnik przyznał, że mamy prawo do głosowania, ale dodał, że pewna liczba członków nie będzie obecna i tego dnia nie będzie mogła złożyć sprzeciwu, więc w jego przekonaniu byłoby uczciwiej, gdybyśmy dali im trochę czasu na pojawienie się i oddanie głosu.

Kiedy prowadziliśmy dyskusję, podszedł do nas kelner i powiedział mi, że dwóch panów na dole chciałoby ze mną porozmawiać. Zszedłem do nich i zobaczyłem, że byli to dwaj nasi członkowie, kwakrzy. Powiedzieli mi, że ośmiu z nich zebrało się w tawernie tuż obok i że są gotowi przyjść, aby głosować wraz z nami, gdyby była taka konieczność, choć żywili nadzieję, że będzie to zbędne. Prosili, by nie wzywać ich na pomoc, jeżeli możemy się bez niej obejść, ponieważ ich głosowanie za takim wnioskiem mogłoby poróżnić ich z przyjaciółmi i starszymi ich zgromadzenia. Mając w ten sposób zapewnioną większość, wróciłem i po pewnym pozornym wahaniu, zgodziłem się na godzinę zwłoki. Pan Morris uznał to za szczególnie uprzejme. Ku jego wielkiemu zaskoczeniu, nie pojawił się jednak żaden z jego przyjaciół. Po upływie godziny większością ośmiu do jednego uchwaliliśmy wniosek. Ponieważ z dwudziestu dwóch kwakrów ośmiu było gotowych do głosowania razem z nami, a trzynastu, przez ich nieobecność, wykazało, że nie sprzeciwiają się temu wnioskowi, oszacowałem, że stosunek sprzeciwiających się kwakrów do popierających ten wniosek wynosił jeden do dwudziestu

jeden. Byli to stali członkowie tego stowarzyszenia i cieszyli się wśród nas dobrą opinią, a także odpowiednio wcześnie zostali poinformowani o wnioskach zgłoszonych na zebranie.

Szanowany i uczony pan Logan, który od początku należał do tej grupy, napisał dla nich przemówienie, aprobując wojnę obronną i popierając swą opinię wieloma mocnymi argumentami. Wręczył mi sześćdziesiąt funtów na zakup kuponów loteryjnych na rzecz umocnień, udzielając wskazówek, że możliwe do zdobycia nagrody mogłyby być również przeznaczone na ten cel. Powiedział mi następującą anegdotę o swoim starym mistrzu, Williamie Pennie, dotyczącą obrony. Pan Logan jako młody człowiek przyjechał z nim z Anglii jako jego sekretarz. W tym czasie trwała wojna, a ich statek był ścigany przez okręt wojenny, przypuszczalnie należący do nieprzyjaciela. Ich kapitan przygotowywał się do obrony, ale powiedział Williamowi Pennowi i towarzyszącym mu kwakrom, że nie spodziewa się ich pomocy i mogą udać się do kabiny, co uczynili, z wyjątkiem Jamesa Logana, który zdecydował się zostać na pokładzie i został przydzielony do działa. Domniemany wróg okazał się jednak przyjacielem, więc żadna walka się nie odbyła. Gdy zszedł na dół, aby przekazać tę informację, William Penn surowo go zganił za pozostanie na pokładzie i zobowiązanie się do pomocy w obronie statku wbrew zasadom „przyjaciół", zwłaszcza że kapitan tego nie wymagał. Nagana udzielona przed całą kompanią dotknęła sekretarza, który odpowiedział: „Jestem przecież twoim sługą, dlaczego nie rozkazałeś mi zejść na dół? Najwyraźniej chciałeś, żebym został i pomógł walczyć z nieprzyjacielem, uznawszy, że istnieje niebezpieczeństwo".

Moja wieloletnia przynależność do Zgromadzenia, którego większość nieustannie stanowili kwakrzy, dawała mi częste okazje do zaobserwowania zażenowania, malującego się na ich twarzach ze względu na zasadę przeciwstawiania się wojnie, kiedy to z polecenia Korony zwracano się do nich o uchwalenie pomocy finansowej na cele wojskowe. Z jednej strony nie chcieli urazić rządu bezpośrednią odmową. Z drugiej zaś nie chcieli zdradzić ogółu kwakrów poprzez

wyrażenie zgody sprzecznej z ich zasadami. Stąd też stosowali różne uniki, aby nie udzielać jawnej aprobaty oraz starali się sprawiać różne pozory, gdy było to nieuniknione. Przyjęli wreszcie zwrot, że uchwalają pieniądze „na użytek króla" i nigdy nie pytali, w jaki sposób zostały one spożytkowane.

Jeśli jednak żądanie nie pochodziło bezpośrednio od Korony, to powyższe zdanie okazywało się być nie na miejscu i należało wymyślić inne. Tym samym, gdy zgłoszono zapotrzebowanie na proch (zdaje się, że dla garnizonu Louisburga), a rząd Nowej Anglii zażądał jego dostarczenia z Pensylwanii, czego bardzo mocno domagał się w Izbie gubernator Thomas, kwakrzy nie mogli przyznać pieniędzy na jego zakup, ponieważ było to narzędzie wojny. Uchwalili jednak pomoc dla Nowej Anglii w wysokości trzech tysięcy funtów, które miały być oddane w ręce gubernatora z przeznaczeniem na zakup chleba, mąki, pszenicy lub innego zboża. Niektórzy z członków rady, pragnąc jeszcze bardziej zawstydzić Izbę, radzili gubernatorowi, aby nie przyjmował zaopatrzenia, ponieważ nie jest ono tym, czego się domagał, ale odpowiedział: „Wezmę pieniądze, bo doskonale rozumiem znaczenie uchwały. Inne zboże oznacza właśnie proch strzelniczy". Tak więc zakupił proch, a kwakrzy nie wnosili sprzeciwu.

Kiedy w naszej kompanii ogniowej obawialiśmy się, czy nasz wniosek na rzecz loterii zostanie zaakceptowany, przypomniałem sobie powyższy fakt i powiedziałem mojemu przyjacielowi i jednemu z naszych członków, panu Syngowi: „Jeśli nam się nie uda, zaproponujemy nabycie sprzętu strażackiego. Kwakrzy nie mają w tej kwestii zastrzeżeń. Następnie, jeśli wybierzemy ciebie i mnie do komisji, kupimy wielkie działo, które z pewnością będzie machiną czuwającą nad naszym bezpieczeństwem". Odparł: „Widzę, że wyrobiłeś się, będąc tak długo w Zgromadzeniu".

Kwakrzy ustalili i głosili zasadę mówiącą, że żadna wojna nie jest dozwolona. Od tej reguły w żaden sposób nie mogli się odciąć, choćby nawet zmienili zdanie, przez co mieli sporo kłopotów. Przypomina mi się tu bardziej rozsądne postępowanie innego odłamu

wyznaniowego, tunkierów. Wkrótce po ich osiedleniu się w Pensylwanii poznałem jednego z założycieli tego ugrupowania, Michaela Welfare'a. Żalił mi się, że byli ofiarami dotkliwych oszczerstw ze strony gorliwych wyznawców innych religii. Powiedziałem mu, że tak było zawsze w przypadku nowych odłamów i że moim zdaniem, aby położyć kres takim nadużyciom dobrze byłoby opublikować artykuły o ich przekonaniach i zasadach ich dyscypliny. Odparł, że zgłaszano wśród nich taką propozycję, ale nie została ona zaakceptowana. „Kiedy po raz pierwszy zebraliśmy się jako stowarzyszenie, Bóg oświecił nasze umysły do tego stopnia, że niektóre doktryny, które niegdyś uważaliśmy za prawdy, okazały się błędne. Inne zaś, którym wytykaliśmy błędy, okazały się szczerymi prawdami. Od czasu do czasu On zsyłał nam więcej światła, nasze zasady doskonaliły się, a błędy malały. Teraz nie jesteśmy pewni, czy doszliśmy do końca tego postępu i do doskonałości duchowej lub wiedzy teologicznej. Obawiamy się, że gdybyśmy kiedyś wydrukowali nasze wyznanie wiary, to czulibyśmy się tak, jakbyśmy byli nim związani i ograniczeni i być może nie będziemy chcieli nadal się doskonalić, a nasi następcy utwierdzą się jeszcze bardziej, w swoim przekonaniu, że to, co my, ich starsi i założyciele, zrobiliśmy, było czymś świętym, od czego nigdy nie można odstąpić".

Taka skromność u członków grupy wyznaniowej jest być może wyjątkowym przypadkiem w historii ludzkości, bowiem wszystkie inne wyznania uważają, że posiadły wszelką prawdę, a ci, którzy się z nimi nie zgadzają, są dalece w błędzie. Podobnie człowiek podróżujący we mgle widzi niewyraźnie tych, którzy znajdują się w pewnej odległości od niego na drodze, a także tych za nim oraz ludzi na polach po obu stronach, ale blisko niego wszystko wydaje się jasne, chociaż w rzeczywistości każdego z nich spowija mgła. Aby uniknąć tego rodzaju zakłopotania, kwakrzy w ostatnich latach stopniowo ograniczali służbę publiczną w Zgromadzeniu i sądach, woląc raczej zrezygnować z władzy niż z wyznawanej zasady.

Piec filadelfijski

Powinienem był wcześniej wspomnieć, że w 1742 roku wynalazłem otwarty piec dla lepszego ogrzewania pomieszczeń przy jednoczesnym oszczędzaniu opału, ponieważ wpuszczane świeże powietrze nagrzewało się przy wlocie. Ofiarowałem jego model panu Robertowi Grace'owi, jednemu z moich pierwszych przyjaciół, który korzystał z pieca hutniczego i rozpoczął odlewanie płyt do tych pieców, co okazało się opłacalną rzeczą, ponieważ rosło na nie zapotrzebowanie. Aby promować to przedsięwzięcie, napisałem i opublikowałem broszurę zatytułowaną Opis nowo wynalezionych piecyków pensylwańskich, w którym szczegółowo wyjaśniono ich budowę i sposób działania, wykazano ich przewagi nad wszystkimi innymi metodami ogrzewania pomieszczeń, a także odpowiedziano na wszystkie uwagi i usunięto wszystkie zastrzeżenia, które zostały zgłoszone przeciwko ich używaniu. Ta broszura przyniosła dobry efekt. Gubernator Thomas był tak usatysfakcjonowany opisaną w niej konstrukcją pieca, że zaproponował mi udzielenie patentu na wyłączną sprzedaż na okres wielu lat. Nie przyjąłem jednak jego propozycji z powodu zasady, której zawsze przestrzegałem przy takich okazjach, a mianowicie uważałem, że skoro czerpiemy ogromne korzyści z cudzych wynalazków, powinniśmy być zadowoleni z możliwości służenia innym własnym wynalazkiem i powinniśmy to czynić dobrowolnie i bez pobierania żadnej opłaty.

Jednakże pewien kupiec żelaza z Londynu wykorzystał znaczną część mojej broszury i przerobił piecyk na swój sposób, dokonując niewielkich zmian w mechanizmie, które raczej zaszkodziły jego działaniu. Uzyskał patent i zarobił na nim małą fortunę. Nie jest to zresztą jedyny przypadek uzyskania patentów na moje wynalazki,

chociaż nie zawsze z takim samym powodzeniem. Nigdy w takich przypadkach nie wszczynałem sporów, ponieważ sam nie chciałem czerpać korzyści z patentów i nienawidziłem konfliktów. Z moich piecyków korzystano w bardzo wielu domach, zarówno w tej, jak i w sąsiednich koloniach, co było i jest wielką oszczędnością drewna dla mieszkańców.

Akademia filadelfijska

Po zawarciu pokoju i tym samym zakończeniu działalności stowarzyszenia obronnościowego, wróciłem myślami do sprawy założenia akademii. Moim pierwszym krokiem było pozyskanie do tego projektu kilku aktywnych przyjaciół, przeważnie z „Junty". Następnie napisałem i opublikowałem broszurę zatytułowaną: Propozycje dotyczące edukacji młodzieży w Pensylwanii, którą bezpłatnie rozdałem prominentnym mieszkańcom. Kiedy tylko mogłem przypuszczać, że ich umysły zostały nieco przygotowane przez lekturę, rozpocząłem zbiórkę na założenie i utrzymanie akademii. Pieniądze miały być wypłacane w rocznych stawkach przez pięć lat. Sądziłem, że takie rozwiązanie wpłynie na wyniki zbiórki. Wydaje mi się, że tak właśnie się stało, gdyż zebrana kwota wynosiła – o ile mnie pamięć nie myli – nie mniej niż pięć tysięcy funtów.

We wstępie do broszury stwierdziłem, że założenie akademii jest inicjatywą pewnego obywatela troszczącego się o sprawy publiczne, a nie moją. Chciałem, zgodnie z mym zwyczajem, unikać przedstawiania się publiczności jako autor wszelkich programów na rzecz społeczeństwa.

Uczestnicy zbiórki, aby jak najszybciej wdrożyć projekt w życie, wybrali ze swej liczby dwudziestu czterech darczyńców i wyznaczyli pana Francisa, ówczesnego prokuratora generalnego, i mnie do sporządzenia przepisów rządzących akademią. Kiedy wykonaliśmy to zadanie, wynajęto dom, zatrudniono nauczycieli, a szkoła – jak mi się zdaje – została otwarta jeszcze w tym samym, 1749 roku.

Liczba uczniów szybko rosła, a dom, w którym odbywały się zajęcia, wkrótce okazał się za mały. Rozpoczęliśmy więc poszukiwania odpowiednio usytuowanego skrawka ziemi z zamiarem budowy nowej siedziby, gdy dzięki Opatrzności Pańskiej zwróciliśmy uwagę na duży, gotowy budynek, który po kilku przeróbkach mógłby dobrze służyć naszemu celowi. Był to wspomniany wcześniej gmach wzniesiony przez słuchaczy pana Whitefielda i został dla nas pozyskany w sposób, który za chwilę opiszę.

Należy zauważyć, że wkład w budowę tego budynku był wnoszony przez ludzi różnych wyznań i przy wyznaczaniu jego zarządu dbano o to, by żadne ugrupowanie nie uzyskało przewagi i aby nie mogło rościć sobie prawa do całości budowli, wbrew pierwotnym zamiarom. Dlatego też mianowano po jednym przedstawicielu z każdej grupy, czyli jednego wyznawcę Kościoła Anglikańskiego, jednego prezbiterianina, jednego baptystę, jednego brata morawskiego itd., a w razie śmierci któregoś z nich ofiarodawcy mieli wybrać kolejnego. Przedstawiciel braci morawskich nie spodobał się swoim kolegom, a po jego śmierci postanowili nie wyznaczać nowej osoby spośród siebie. Trudność polegała więc na tym, że trzeba było uniknąć zasiadania w zarządzie dwóch osób tego samego wyznania.

Wysunięto kilka kandydatur i z powyższego powodu na żadną nie wyrażono zgody. W końcu zaproponowano ten urząd mnie, zaznaczając, że jestem tylko uczciwym człowiekiem i nie należę do żadnej z grup wyznaniowych, która mogłaby zdobyć przewagę liczebną, co zdecydowało o moim wyborze. Entuzjazm, jaki towarzyszył budowie domu spotkań, już dawno osłabł, a zarząd nie

był w stanie pozyskać nowych składek na opłacenie dzierżawy gruntu i spłacenie niektórych innych długów powstałych podczas budowy, co bardzo zawstydzało jego członków. Będąc teraz członkiem obu zarządów, zarówno budynku, jak i akademii, miałem dobrą okazję do negocjacji z każdym z nich. Ostatecznie doprowadziłem do ich porozumienia, na mocy którego zarządcy budynku mieli oddać go akademii, która z kolei zobowiązała się do spłaty długu, wyznaczenia w budynku dużej sali zawsze dostępnej dla wędrownych kaznodziejów, zgodnie z pierwotnym zamysłem, a także utrzymywania bezpłatnej szkoły dla ubogich dzieci. Pisma zostały odpowiednio sporządzone, a po spłaceniu długów zarząd akademii wszedł w posiadanie gmachu. Olbrzymią i wysoką salę podzielono na piętra, urządzono w nich pomieszczenia dla różnych klas szkolnych, a także zakupiono dodatkowy grunt. Całość wkrótce przystosowano do naszych celów, a uczniowie przenieśli się do tego budynku. Na mnie spadła troska i trud uzgadniania z robotnikami zakupu materiałów i nadzoru nad pracami. Podchodziłem do tego zadania tym chętniej, że nie przeszkadzało ono w moich prywatnych interesach, gdyż przed rokiem zawarłem spółkę z bardzo zdolnym, pracowitym i uczciwym partnerem, Davidem Hallem, którego charakter dobrze znałam, ponieważ pracował dla mnie cztery lata. Przejął ode mnie całą troskę o drukarnię, wypłacając mi terminowo moją część zysków. Ta współpraca trwała osiemnaście lat i była zyskowna dla nas obu.

Po pewnym czasie zarząd akademii otrzymał od gubernatora urzędowy statut. Fundusze zwiększyły się dzięki ofiarom z Anglii i nadaniom gruntów przez właścicieli ziemskich, a Zgromadzenie przyznało później znaczne sumy – i w ten sposób powstał obecny Uniwersytet Filadelfijski. Od samego początku byłem jednym z członków zarządu, obecnie jestem nim już prawie czterdzieści lat, i miałem wielką przyjemność obserwować, jak wielu zdobywających tam wykształcenie młodych ludzi wyróżnia się swoimi umiejętnościami, a dzięki nabytej wiedzy służy krajowi na stanowiskach publicznych i staje się jego ozdobą.

Kiedy przestałem, jak już wspomniałem, zajmować się własnym interesem, schlebiałem sobie, że dzięki wystarczającej, choć umiarkowanej fortunie, jaką zdobyłem, zapewniłem sobie wolny czas na studia filozoficzne i rozrywkę przez resztę życia. Kupiłem cały sprzęt doktora Spence'a, który przyjechał z Anglii, aby wygłaszać tu wykłady, i z wielką skwapliwością przystąpiłem do moich eksperymentów elektrycznych. Opinia publiczna, uważająca mnie teraz za człowieka bezrobotnego, wyznaczała mi co rusz nowe zadania w rządzie, a ponadto musiałem wypełniać inne obowiązki. Gubernator mianował mnie członkiem komisji pokoju, obywatele wybrali mnie na radnego, a wkrótce potem na jednego ze starszych rady miejskiej. Ponadto ogół mieszkańców zdecydował, że będę przedstawicielem miasta w Zgromadzeniu. To ostatnie stanowisko było dla mnie tym przyjemniejsze, że dość już miałem zasiadania tam i wysłuchiwania obrad, w których jako pisarz nie mogłem brać udziału i które były często tak nudne, że dla zabicia czasu rysowałem magiczne kwadraty lub okręgi, albo coś jeszcze innego, aby uniknąć znużenia. Uważałem nadto, że moje członkostwo zwiększy moc czynienia dobra. Nie chciałbym jednak insynuować, że wszystkie te awanse nie schlebiały mojej ambicji. Z pewnością tak było, a zważywszy na moje skromne początki, stanowiło to ogromny sukces. Było to jeszcze przyjemniejsze, ponieważ nie ubiegałem się o żadne stanowisko, a każda nominacja była nowym świadectwem dobrej opinii, jaką cieszyłem się wśród ogółu.

Przez pewien czas próbowałem pełnić obowiązki sędziego pokoju i uczestniczyłem w kilku rozprawach. Doszedłem jednak do wniosku, że aby skutecznie pełnić ten urząd, konieczna jest większa niż posiadana przeze mnie znajomość prawa zwyczajowego, więc stopniowo wycofałem się z tego stanowiska, usprawiedliwiając się pełnieniem ważniejszych obowiązków ustawodawcy w Zgromadzeniu. Co roku przez dziesięć lat wybierano mnie do Zgromadzenia, choć nigdy nie prosiłem żadnego elektora o jego głos, ani nie wyrażałem, bezpośrednio lub pośrednio, chęci bycia wybranym. Gdy zasiadałem w Izbie, na pisarza mianowano mojego syna.

Indianie i rum

W następnym roku, kiedy w Carlisle miał być zawarty traktat z Indianami, gubernator zwrócił się do Izby, polecając, aby ta wyznaczyła kilku swoich członków, którzy mieli dołączyć do Rady w charakterze komisarzy pokoju. Izba wyznaczyła swego przewodniczącego (pana Norrisa) i mnie. Otrzymawszy instrukcje pojechaliśmy do Carlisle i spotkaliśmy się z Indianami.

Ponieważ ludzie ci mają wielką skłonność do upijania się, są bardzo kłótliwi i niepowściągliwi w zachowaniu, surowo zabroniliśmy sprzedawać im jakiekolwiek trunki. Kiedy Indianie przyszli ze skargą na to ograniczenie, powiedzieliśmy im, że jeśli będą trzeźwi w czasie negocjacji, damy im dużo rumu po zawarciu traktatu. Przyrzekli, że będą trzeźwi i dotrzymali obietnicy, gdyż odmówiono im sprzedaży alkoholu. Rokowania prowadzono w sposób bardzo uporządkowany, a traktat został zawarty ku obopólnej satysfakcji. Następnie Indianie upomnieli się o obiecany rum, który im wręczyliśmy. Cała rzecz działa się po południu. Indianie (blisko stu mężczyzn, kobiet i dzieci) byli zakwaterowani w tymczasowych domkach ustawionych w kwadrat tuż pod miastem. Wieczorem komisarze usłyszeli dolatujące stamtąd wielkie hałasy i wyszli na zewnątrz, aby zobaczyć, co się dzieje. Okazało się, że Indianie rozpalili wielkie ognisko na środku obozowiska. Wszyscy byli pijani, mężczyźni i kobiety kłócili się i walczyli. Ich ciemne, na wpół nagie ciała, widziane tylko przy ponurych odblaskach ogniska, goniły się wzajemnie i biły przy pomocy głowni, co wraz z przeraźliwymi krzykami tworzyło obraz odpowiadający naszym wyobrażeniom o piekle. Nie było sposobu,

aby ich uspokoić, więc wróciliśmy na spoczynek do naszych kwater. O północy kilku Indian załomotało do naszych drzwi znów domagając się rumu, na co nie zwracaliśmy uwagi.

Następnego dnia, gdy Indianie wrócili do zdrowych zmysłów i uświadomili sobie swoje zachowanie, w poczuciu winy wysłali do nas trzech spośród swojej starszyzny, aby przeprosić. Główny mówca przyznał się co prawda do winy, ale jednocześnie zrzucił ją na rum, a następnie starał się usprawiedliwić pijaństwo słowami: „Wielki Duch, który stworzył wszystko, stworzył każdą rzecz dla jakiegoś użytku, więc każdą rzecz należy wykorzystać w sposób zgodny z jej przeznaczeniem. Kiedy Wielki Duch zrobił rum, powiedział: Niech to będzie dla Indian, aby się upijali, więc tak musi być". I rzeczywiście, jeśli Opatrzność miała zamiar wytępić tych dzikusów, by zrobić miejsce dla uprawiających rolę, to nie można wykluczyć, że rum był wybranym do tego środkiem. Zniszczył on już wszystkie plemiona, które wcześniej zamieszkiwały morskie wybrzeże.

Szpital filadelfijski

W 1751 roku doktor Thomas Bond, mój bliski przyjaciel, wpadł na pomysł założenia szpitala w Filadelfii, w celu przyjmowania i leczenia biednych chorych, zarówno mieszkańców prowincji, jak i obcych. Był to dobroczynny projekt, który został mi później przypisany, choć pierwotnie pochodził właśnie od doktora. Bond gorliwie działał, aby zdobyć środki w tym celu, ale pomysł ten był nowością w Ameryce i na początku nie rozumiano go dobrze, więc i jego działania nie odniosły większego skutku.

Wkrótce Bond przyszedł do mnie i powiedział, komplementując mnie, iż dziś, jak odkrył, nie można dobrze zrealizować jakiegokolwiek projektu o charakterze publicznym bez mojego udziału. Przyznał: „Często pytają mnie ci, których próbuję przekonać, czy konsultowałem się z Franklinem w tej sprawie i co on o tym myśli. A kiedy mówię im, że tego nie zrobiłem, ponieważ sprawa leży raczej poza obszarem twoich zainteresowań, nie wpłacają datków, ale mówią, że to rozważą". Zapytałem o naturę i prawdopodobną użyteczność jego planu i otrzymawszy od niego bardzo satysfakcjonujące wyjaśnienie, nie tylko sam zgłosiłem swój udział, ale też serdecznie zaangażowałem się w projekt pozyskiwania datków od innych. Zanim jednak zacząłem namawiać innych ludzi, starałem się przygotować ich umysły, pisząc na temat przedmiotu zbiórki w gazetach, co było moim zwyczajowym postępowaniem w takich przypadkach, a co Bond pominął.

Dzięki mojemu zaangażowaniu zgłoszenia chętnych do wpłacania datków stały się częstsze i hojniejsze, ale stopniowo zaczynały słabnąć. Doszedłem do wniosku, że bez pomocy ze strony Zgromadzenia będą one niewystarczające, dlatego wystosowałem stosowną petycję. Początkowo projekt nie spodobał się na prowincji. Uważali, że będzie on przydatny tylko dla miasta, a zatem tylko jego obywatele powinni pokrywać jego koszty. Co więcej, podawali w wątpliwość sam fakt akceptacji projektu szpitala przez obywateli. Mój argument, że projekt spotkał się z taką aprobatą, że nie ma żadnych wątpliwości, że jesteśmy w stanie zebrać dwa tysiące funtów z dobrowolnych datków, uznano za niewiarygodny i całkowicie niemożliwy do spełnienia.

Na tej podstawie utworzyłem swój plan. Poprosiłem o pozwolenie na przyznanie autorom petycji praw organizacji publicznej i odpowiedniej kwoty, przy czym Zgromadzenie mogłoby wedle swego uznania anulować uchwałę. W związku z powyższym główną klauzulę ująłem w formie warunkowej, a mianowicie: „Uchwala się, że gdy wyżej wspomniani ofiarodawcy zbiorą się i wybiorą zarząd oraz skarbnika i własnymi udziałami zgromadzą sumę kapitału o wartości

dwóch tysięcy funtów (od której roczne odsetki będą przeznaczone na zakwaterowanie chorych i ubogich w tym szpitalu bez żadnych z ich strony opłat za żywność, opiekę, porady i lekarstwa), to wtedy ówczesny przewodniczący Zgromadzenia po przekonaniu się o powyższym i uznaniu, że dopełniono określonych warunków, wyda rozporządzenie, aby skarbnik prowincji wypłacił kolejne dwa tysiące funtów w dwóch rocznych ratach na rzecz skarbnika wspomnianego szpitala, z przeznaczeniem na jego założenie, budowę i wykończenie".

Utworzenie takiego warunku przechyliło szalę zwycięstwa na naszą korzyść, a uchwała została ustalona. Członkowie Izby, którzy początkowo sprzeciwiali się przyznaniu dotacji, doszli do wniosku, że mogliby postąpić szlachetnie bez ponoszenia kosztów, więc przestali zgłaszać sprzeciw. My zaś, zabiegając o datki na szpital, podkreślaliśmy warunkowe brzmienie uchwały jako dodatkowy motyw do wsparcia sprawy, ponieważ darowizny każdego człowieka zostałyby podwojone. W ten sposób klauzula dawała obopólną korzyść. W związku z tym darowizny wkrótce przekroczyły wymaganą kwotę, a my zażądaliśmy i otrzymaliśmy publiczną subwencję, która umożliwiła nam realizację projektu szpitala. Wkrótce wzniesiono wygodny i piękny budynek. Jak pokazało doświadczenie, instytucja ta okazała się użyteczna i kwitnie do dziś. Nie przypominam sobie, aby sukces któregoś z moich politycznych manewrów sprawił mi w swoim czasie więcej przyjemności, ani też wypadku, po przemyśleniu którego łatwiej wybaczyłem sobie, że zrobiłem użytek z przebiegłości.

Mniej więcej w tym samym czasie wielebny Gilbert Tennent zwrócił się do mnie z prośbą, abym pomógł mu w zbiórce datków na budowę nowego domu spotkań. Miał on służyć utworzonej przez niego kongregacji prezbiterianów, którzy byli pierwotnie uczniami pana Whitefielda. Nie chcąc zbytnio narzucać się moim współobywatelom ze względu na dość częste zabieganie o ich datki, zdecydowanie odmówiłem. Chciał, abym dostarczył mu listę nazwisk osób, które z doświadczenia znałem jako hojne i chętnie wspierające

projekty społeczne. Uważałem, że byłoby to wielce niestosowne z mojej strony. Skoro uprzejmie wsparli moje zamierzenia, nie chciałem narażać ich na nękanie przez innych żebraków. Dlatego odmówiłem podania takiej listy. W tej sytuacji poprosił, abym przynajmniej coś mu doradził. „Chętnie to uczynię – odparłem – i przede wszystkim radzę ci, abyś zwrócił się do tych osób, w przypadku których masz pewność, że coś dadzą. Następnie pójdź do tych mniej pewnych i pokaż im listę tych, którzy już wsparli twój projekt. I na koniec, nie zaniedbuj tych, którzy w twoim mniemaniu na pewno nic nie dadzą, bo w przypadku niektórych możesz się mylić". Tennent roześmiał się i podziękował mi oraz powiedział, że na pewno skorzysta z mojej rady. Zrobił tak, jak mu poradziłem. Ponieważ prosił wszystkich, otrzymał znacznie większą sumę, niż się spodziewał, dzięki czemu był w stanie sfinansować budowę przestronnego i bardzo eleganckiego domu spotkań, który stoi na Arch Street.

Brukowane i zamiatanie ulic

Nasze miasto, choć rozłożone z piękną regularnością, o szerokich, prostych ulicach przecinających się pod kątem prostym, nie było wybrukowane, co uważałem za haniebne. Podczas deszczowej pogody koła ciężkich powozów tworzyły z ulic grzęzawiska, przez które trudno było przejść, a przy suchej pogodzie kurz był nie do zniesienia. Mieszkałem w pobliżu tak zwanego Targu Jersey i z bólem patrzyłem na robiących zakupy mieszkańców brodzących w błocie. Pas ziemi pośrodku targu wyłożono cegłą, dzięki czemu można było tam pewniej stąpać, Jednak gdzieniegdzie załatwianie sprawunków wciąż wiązało się z brodzeniem po kolana w błocie. Przemawiając i

pisząc na ten temat, odegrałem kluczową rolę w wyłożeniu kamieniami ulicy między rynkiem a ceglanym chodnikiem biegnącym wzdłuż domów. Przez pewien czas dawało to łatwy dostęp do rynku podczas suchej pogody, jednak reszta ulicy nie została wybrukowana, a za każdym razem, gdy ubłocone koła powozu wjeżdżały na ten chodnik, zostawiały na nim brudne ślady i szybko pokrywały bruk błotem. Ponieważ nie było nikogo kto zająłby się jego uprzątnięciem, błoto zalegało na drodze.

Przeprowadziłem poszukiwania i znalazłem ubogiego, acz pracowitego człowieka, który był gotów podjąć się utrzymania bruku w czystości i zamiatania go dwa razy w tygodniu, a tym samym usuwania błota sprzed wszystkich sąsiednich drzwi, za sumę sześciu pensów miesięcznie, którą miał płacić każdy dom. Następnie napisałem i wydrukowałem broszurę, w której przedstawiłem korzyści dla sąsiedztwa uzyskane dzięki takiemu małemu wydatkowi: większą łatwość w utrzymaniu naszych domów w czystości, gdyż ludzie nie będą nanosić do nich brudu, korzyści dla sklepów wynikające ze zwiększenia liczby klientów, którzy będą mieli do nich łatwiejszy dostęp, a ponadto fakt, że kurz nie pokrywałby sprzedawanych towarów. Wysłałem po jednej broszurze do każdego domu, a za dzień lub dwa poszedłem zobaczyć, kto zobowiązał się do zapłacenia sześciu pensów. Wszyscy jednogłośnie zgodzili się i przez pewien czas układ ten sprawował się dobrze. Wszyscy mieszkańcy miasta byli zachwyceni czystością chodnika, który otaczał rynek, co stanowiło wygodę dla każdego z nich, a to wzbudziło ogólne pragnienie wybrukowania wszystkich ulic i sprawiło, że ludzie byli bardziej skłonni płacić podatek na ten cel.

Po pewnym czasie ułożyłem projekt ustawy o wybrukowaniu miasta i przyniosłem go do Zgromadzenia. Było to tuż przed moim wyjazdem do Anglii w 1757 roku, a uchwałę wraz pewnymi poprawkami odnośnie do wymiaru podatku przyjęto już po opuszczeniu przeze mnie kraju. Wprowadzone zmiany uważałem za niezbyt korzystne, poza tym, że utworzono dodatkową klauzulę wprowadzającą nie tylko wybrukowanie, lecz także oświetlenie ulic. Pomysł oświetlenia

całego miasta zrodził się z postępowania nieżyjącego już pana Johna Cliftona, który umieścił jedną lampę przy swoich drzwiach, co okazało się niezwykle użyteczne. Zaszczyt wprowadzenia pod rozwagę tego pożytecznego pomysłu również został mi przypisany, ale tak naprawdę należy on do tego dżentelmena. Jedyne zasługi w tej kwestii, jakie mogę sobie przypisać, to kształt naszych lamp, inny od lamp kulistych, które początkowo otrzymywaliśmy z Londynu. Kuliste lampy były niewygodne pod tym względem, że nie wpuszczały powietrza od dołu, więc dym nie ulatniał się w górę, a krążył we wnętrzu klosza i osiadał na jego wewnętrznej ściance, co sprawiało, że wkrótce lampy przestawały przepuszczać światło. Tym samym należało je czyścić codziennie, co wiązało się z tym, że jeden nierozważny ruch mógł doprowadzić do stłuczenia lampy, co czyniło ją całkowicie bezużyteczną. Zaproponowałem zatem złożenie lampy z czterech płaskich szyb, z długim cylindrem nad nimi, aby dym mógł swobodnie się unosić, i ze szczelinami dopuszczającymi powietrze od dołu, aby ułatwić jego wznoszenie. Rozwiązanie to pozwoliło utrzymać lampy w czystości, ponieważ nie ciemniały już w ciągu kilku godzin, jak miało to miejsce w przypadku lamp londyńskich, a świeciły nieprzerwanie do rana, zaś przypadkowe uderzenie zwykle rozbijało tylko jedną szybę, co można było w prosty sposób naprawić.

Czasami zastanawiałem się, dlaczego londyńczycy nie wprowadzili takich otworów w lampach ulicznych, skoro widzieli, jak takie prześwity pomagały w utrzymaniu czystości lamp w Vauxhall. Przy czym otwory te zostały wykonane w innym celu, a mianowicie, aby szybciej zapalał się knot od zwisającego nad nim małego pęczka z konopi. Wydaje się, że nie pomyślano o innym zastosowaniu, jakim jest wpuszczanie powietrza, dlatego też po kilku godzinach od zapalenia lamp ulice Londynu były bardzo słabo oświetlone.

Wzmianka o tych ulepszeniach przywodzi mi na myśl jedną rzecz, którą zaproponowałem, będąc w Londynie, doktorowi Fothergillowi – jednemu z najlepszych ludzi, jakich znałem i wielkiemu propagatorowi pożytecznych projektów. Zauważyłem, że nigdy nie

zamiatano suchych ulic, przez co unosił się na nich kurz, który gromadził się, dopóki deszczowa pogoda nie zamieniała go w błoto. Po kilku dniach zalegania na chodniku tak głęboką warstwą, korzystanie z utwardzonej powierzchni było niemożliwe, poza ścieżkami oczyszczanymi miotłami przez biednych ludzi. Dopiero wtedy robotnicy w mozole zgarniali błoto i wrzucali je do otwartych wozów, które jadąc podskakiwały i kołysały się z powodu szlamu pośniegowego przy każdej nierówności na drodze. To sprawiało, że błoto czasami wypadało z wozu i trafiało w przechodniów, ku ich oczywistej irytacji. Powodem niezamiatania ulic, jak mi powiedziano, był fakt, że kurz wpadał wtedy do okien sklepów i domów.

Całkowitym przypadkiem zauważyłem, jak wiele można zamieść w krótkim czasie. Pewnego ranka zastałem przed drzwiami mojego domu na Craven Street biedną kobietę zamiatającą chodnik brzozową miotłą. Była bardzo blada i słaba, sprawiała wrażenie, jakby dopiero co przeszła atak poważnej choroby. Zapytałem ją, kto ją zatrudnił, by zamiatała. Odpowiedziała: „Nikt, ale ja jestem bardzo biedna i zamiatam przed drzwiami pańskich domów z nadzieją na datek". Obiecałem jej szylinga za zamiecenie ulicy do czysta. Było to o dziewiątej, a o dwunastej przyszła po zapłatę. Ze względu na to, jak wolno z początku jej szło, gdy się jej przyglądałem, nie mogłem uwierzyć, że praca została wykonana tak szybko i wysłałem służącego, aby to sprawdził. Doniósł mi, że cała ulica została zamieciona idealnie do czysta, cały kurz znalazł się w rynsztoku pośrodku drogi, a najbliższy deszcz zmył go całkowicie, tak że chodnik, a nawet ścieki, były idealnie czyste.

Stwierdziłem, że jeśli słabej kobiecie zamiecenie takiej ulicy zajmuje trzy godziny, to silny i zdrowy mężczyzna uporałby się z tym o połowę szybciej. Pozwolę sobie zauważyć wygodę posiadania tylko jednego odpływu ściekowego w takiej wąskiej uliczce, biegnącego w dół jej środkiem, zamiast dwóch, po jednym z każdej strony chodnika. Mianowicie cały deszcz, który pada na ulicę, spływa z boków do środka, gdzie tworzy się prąd wystarczająco silny, by zmyć całe błoto, które napotyka na drodze. Natomiast nurt wody

podzielonej na dwa kanały często jest zbyt słaby, aby unieść cały brud i tylko rozrzedza błoto, które koła powozów i kopyta koni rozpryskują na chodnik, który w ten sposób staje się paskudny i śliski, a czasami ochlapują pieszych. Moja propozycja, przekazana dobremu lekarzowi, była następująca:

„Aby skuteczniej sprzątać i utrzymywać w czystości ulice Londynu i Westminsteru, proponuje się, aby zostało zatrudnionych kilku dozorców do zamiatania kurzu w suchych porach roku, a w pozostałych do zbierania błota. Każdy z nich odpowiadałby za kilka ulic i zaułków. Należy ich wyposażyć w miotły i inne odpowiednie narzędzia, które powinny być przechowywane w upatrzonych miejscach, aby sprawnie można było je wręczyć zatrudnionym ubogim ludziom.

W suchych miesiącach letnich sprzątający powinni zmiatać kurz i gromadzić go w stosach w określonych miejscach, przed zwykłą porą otwierania sklepów i okien domów, a następnie wywozić go za pomocą zamkniętych wozów.

Zebrane błoto nie powinno być składowane na ulicy, gdyż koła powozów i końskie kopyta mogłyby je ponownie rozrzucić, zaś sprzątacze powinni mieć do dyspozycji wozy umieszczone nisko na płozach, a nie na wysokich kołach. Wozy te powinny mieć okratowane i wyłożone słomą dno, co zatrzyma wrzucone do nich błoto i pozwoli na odpływ wody, przez co stanie się znacznie lżejsze, gdyż to właśnie woda stanowi największą część jego ciężaru. Wozy mają być umieszczone w dogodnych odległościach od siebie, a błoto przywożone do nich na taczkach i składowane na nich aż do jego wyschnięcia. Następnie należy do wozów zaprzęgnąć konie i kolejno usuwać zgromadzone błoto”.

Miałem jednak wątpliwości co do wykonalności drugiej części tej propozycji, ze względu na ciasnotę niektórych ulic i trudność w umieszczeniu wozów odwadniających, aby nie obciążać zbytnio przejścia. Nadal jednak uważam, że to pierwsza część pomysłu,

wymagająca zmiecenia i wyniesienia kurzu przed otwarciem sklepów, stanowi bardzo praktyczne rozwiązanie w lecie, kiedy dni są długie. Gdy pewnego dnia o siódmej rano przechadzałem się po Strand Street i Fleet Street, zauważyłem, że żaden sklep nie był otwarty, chociaż nastał już dzień, a słońce wzeszło już ponad trzy godziny wcześniej. Mieszkańcy Londynu dobrowolnie wybierają życie przy blasku świec i spanie przy blasku słońca, a mimo to często narzekają, trochę absurdalnie, na podatek od świec i wysokie ceny łoju.

Niektórzy mogą pomyśleć, że te błahe sprawy nie są warte uwagi lub omawiania. Choć można uznać, że kurz wpadający do oczu jednej osoby lub do jednego sklepu w wietrzny dzień ma niewielkie znaczenie, to duża liczba takich przypadków w zaludnionym mieście i częste ich powtarzanie się nadają tym sprawom ogromną wagę, więc nie można surowo krytykować tych, którzy skupiają się na pozornie mało ważnych rzeczach. Ludzkie szczęście jest wynikiem nie tyle wielkich, rzadkich przypadków pomyślności, ile małych korzyści, które pojawiają się każdego dnia. Tym samym, jeśli nauczysz biednego młodzieńca golenia się i samodzielnego używania brzytwy, możesz bardziej przyczynić się do jego szczęśliwości w życiu, niż ofiarowując mu tysiąc gwinei. Pieniądze mogą wkrótce zostać wydane, pozostanie tylko żal, że zostały głupio wykorzystane. Natomiast w pierwszym przypadku młodzieniec unika częstego irytującego czekania na golibrodów, którzy niekiedy mają brudne palce, nieprzyjemne oddechy i tępe brzytwy. Młodzieniec ma sposobność golenia się wtedy, kiedy mu to najbardziej odpowiada i codziennie sprawia mu przyjemność wykonywanie tego za pomocą dobrego narzędzia. Wiedziony tego rodzaju uczuciami zaryzykowałem kilka poprzednich stron, wypełniając je taką a nie inną treścią. Żywię nadzieję, że udzielone przeze mnie wskazówki, prędzej czy później okażą się być przydatne miastu, które kocham, gdyż przeżyłem w nim wiele szczęśliwych lat. Kto wie, czy być może nie przydadzą się też niektórym innym miastom w Ameryce?

Początki myśli o zjednoczeniu kolonii

Od pewnego czasu byłem zatrudniony u poczmistrza generalnego Ameryki jako jego kontroler w kilku urzędach, gdzie zajmowałem się pilnowaniem prawidłowej pracy oficerów pocztowych. W 1753 roku, po śmierci poczmistrza, zostałem wraz z Williamem Hunterem mianowany na jego następcę przez komisję poczmistrza generalnego w Anglii. Amerykański urząd pocztowy nigdy dotąd nie płacił nic swojemu brytyjskiemu odpowiednikowi, ale my mieliśmy dostać sześćset funtów rocznie do podziału między sobą, pod warunkiem, że uda nam się odłożyć tę sumę z zysków urzędu. W tym celu konieczne było wprowadzenie różnych ulepszeń. Niektóre z nich wymagały nieuchronnie poniesienia początkowych kosztów, więc w ciągu pierwszych czterech lat poczta zadłużyła się u nas na ponad dziewięćset funtów. Wkrótce jednak nakłady zaczęły się spłacać. Zanim zostałem usunięty z tego stanowiska z powodu kaprysu ministrów, o czym wkrótce opowiem, udało nam się uzyskać trzy razy większy przychód do Korony w porównaniu z urzędem irlandzkim. Później, gdy nastąpiła dość nieroztropna zmiana, poczta znów nie płaciła złamanego grosza.

W tym samym roku udałem się w podróż do Nowej Anglii, gdzie Kolegium w Cambridge z własnej inicjatywy, przyznało mi tytuł magistra sztuk wyzwolonych. Kolegium w Yale w Connecticut, wyświadczyło mi wcześniej podobną przysługę. Tym samym, w ogóle nie studiując, przyjechałem, aby wziąć udział w uroczystości. Tytuły przyznano mi w związku z moimi udoskonaleniami i odkryciami elektrycznymi wchodzącymi w zakres nauk przyrodniczych.

W 1754 roku, gdy spodziewano się ponownej wojny z Francją, w Albany miał odbyć się na polecenie ministra handlu zjazd komisarzy poszczególnych kolonii, aby przeprowadzić narady z wodzami Sześciu Narodów na temat sposobów obrony naszego kraju. Gubernator Hamilton po otrzymaniu tego rozkazu przekazał go Izbie, prosząc o dostarczenie stosownych podarków dla Indian, a także wyznaczył przewodniczącego (pana Norrisa) i mnie, abyśmy dołączyli do pana Thomasa Penna i sekretarza Petersa jako komisarze z ramienia Pensylwanii. Izba zatwierdziła tę nominację i zapewniła podarki, choć niechętnie podchodziła do ich składania kosztem prowincji. Spotkaliśmy się z innymi komisarzami w Albany około połowy czerwca.

W drodze na zjazd zajmowałem się obmyślaniem wstępnego planu zjednoczenia wszystkich kolonii pod jednym rządem w zakresie obrony i innych ważnych celów ogólnych. Kiedy mijaliśmy Nowy Jork, pokazałem swój projekt panu Jamesowi Alexandrowi i panu Kennedy'emu, dwóm dżentelmenom o wielkiej wiedzy w sprawach publicznych, którzy przychylnie odebrali mój plan. Zachęcony ich aprobatą chciałem przedstawić go na zjeździe. Wtedy okazało się, że kilku komisarzy ułożyło podobne plany. Najpierw rozpatrzono pytanie, czy zjednoczenie kolonii powinno w ogóle nastąpić, co jednogłośnie uchwalono. Następnie powołano komisję, w skład której wchodził jeden członek każdej kolonii, która rozpatrzyła te kilka planów i złożyła sprawozdanie. Mój plan okazał się najlepszy, a po wprowadzeniu kilku poprawek stał się podstawą sprawozdania.

Zgodnie z tym planem rząd miał być kierowany przez prezydenta generalnego, mianowanego i popieranego przez Koronę, a wraz z nim miała współdziałać wielka rada wybierana przez przedstawicieli ludu poszczególnych kolonii, spotykających się na zgromadzeniach. Na zjeździe debaty na ten temat odbywały się codziennie, równolegle do spraw Indian. Zgłoszono wiele sprzeciwów i trudności, ale wszystkie te kwestie zostały przezwyciężone i plan jednogłośnie przyjęto, a jego kopie zostały przekazane Urzędowi Handlu i zgromadzeniom poszczególnych prowincji. Jego dalsze losy były dość

dziwne: zgromadzenia nie przyjęły planu, ponieważ wytykano w nim zbyt wiele przywilejów, a w Anglii stwierdzono, że ma zbyt wiele cech demokratycznych.

W związku z tym Urząd Handlu nie zatwierdził go ani nie przedłożył go do aprobaty jego królewskiej mości. Zamiast tego opracowano inny plan, który miał bardziej odpowiadać wyznaczonym celom. Według niego gubernatorzy prowincji wraz z niektórymi członkami swoich rad mieli nakazać zebranie wojsk, budowę fortów itp. i w tym celu wykorzystywać skarb Wielkiej Brytanii, a przeznaczone na to sumy miały być następnie zwrócone na mocy aktu Parlamentu nakładającego podatek na Amerykę. Mój plan, wraz z uzasadnieniem, znajduje się wśród moich wydrukowanych pism politycznych.

Następną zimę spędziłem w Bostonie, gdzie odbyłem wiele rozmów z gubernatorem Shirleyem na temat obu tych planów. Część naszych konwersacji została upubliczniona i wydrukowana w moich pismach. Różne i sprzeczne powody niechętnego podejścia do mojej koncepcji każą mi podejrzewać, że w rzeczywistości była ona najbardziej odpowiednim rozwiązaniem. Nadal jestem zdania, że to było rozwiązanie korzystne dla obu stron, gdyby tylko zostało przyjęte. Zjednoczone w ten sposób kolonie byłyby wystarczająco silne, aby się bronić i nie istniałaby potrzeba sprowadzania wojsk z Anglii oraz – co oczywiste – uniknięto by późniejszego opodatkowania Ameryki i krwawej rywalizacji, jaka miała miejsce. Takie błędy nie są jednak niczym nowym. Historia roi się od pomyłek państw i książąt.

Rozejrzyj się po świecie, jak bardzo niewielu Wie, gdzie czeka na nich dobro, lub wiedząc to, do niego dąży!

Ci, którzy rządzą, mają dużo spraw do załatwienia, toteż na ogół nie lubią zadawać sobie trudu rozważania i realizacji nowych projektów. Dlatego też najlepsze zarządzenia publiczne są wynikiem sytuacyjnych potrzeb, lecz rzadko zdarza się, aby ich wprowadzenie było wynikiem wcześniejszych mądrych przewidywań.

Gubernator Pensylwanii, przesyłając plan do Zgromadzenia, wyraził dla niego aprobatę, gdyż jego zdaniem został „sporządzony z wielką jasnością i trafnym osądem, więc zasługuje na jak najbardziej dokładne i rzetelne rozpatrzenie". Izba jednak ze względu na poczynania pewnego jej członka rozpoczęła obrady beze mnie i bez odpowiedniego wcześniejszego rozpatrzenia, ku mojemu wielkiemu strapieniu, odrzuciła projekt.

Podczas tegorocznej podróży do Bostonu spotkałem w Nowym Jorku naszego nowego gubernatora, znanego mi osobiście pana Morrisa, który niedawno przybył z Anglii. Obejmował on urząd po panu Hamiltonie, który zrzekł się stanowiska z powodu sporów wynikających z jego zarządzeń w sprawach własności. Pan Morris zapytał mnie, czy ma się spodziewać, że jego kadencja będzie tak samo nieprzyjemna. Odpowiedziałem: „Nie, wręcz przeciwnie, może być bardzo przyjemna, jeśli tylko zadbasz o to, by nie wchodzić na ścieżkę wojenną ze Zgromadzeniem". „Mój drogi przyjacielu – odrzekł z uśmiechem – jak możesz radzić mi unikania sporów? Wiesz, że uwielbiam dysputy – to jedna z moich największych przyjemności. Jednak ze względu na szacunek dla twoich rad, obiecuję ci, że jeśli to możliwe, będę unikał scysji". Miał pewne powody, by tak miłować dyskusje, był elokwentny i zręczny w argumentacji, dzięki czemu wszelkie dyskusje przebiegały na jego korzyść. Już w dzieciństwie został do tego odpowiednio przeszkolony. Jego ojciec, jak słyszałem, wymagał od swoich synów, by ku jego uciesze prowadzili ze sobą dysputy przy stole po obiedzie. Myślę jednak, że ta praktyka nie była zbyt rozważna, gdyż z moich obserwacji wynika, że ludzie kłótliwi zwykle nie cieszą się powodzeniem w swoich sprawach. Czasami odnoszą zwycięstwo, ale nigdy nie pozyskują sobie przychylności, co byłoby dla nich bardziej użyteczne. Rozstaliśmy się, gubernator pojechał do Filadelfii, a ja do Bostonu.

W drodze powrotnej odebrałem w Nowym Jorku diariusz Zgromadzenia, z którego wynikało, że pomimo złożonej mi obietnicy,

gubernator i Izba toczyli zacięte spory. Walka ta trwała nieustannie, dopóki piastował urząd gubernatora. Miałem w niej swój udział, bo gdy tylko zasiadłem na swoim miejscu w Zgromadzeniu, przydzielano mnie do każdej komisji odpowiadającej na przemówienia i orędzia gubernatora, a komisje te zawsze pragnęły, abym to ja sporządzał projekty odpowiedzi. Nasze odpowiedzi, podobnie jak jego pisma, często były cierpkie, a czasem nieprzyzwoicie obraźliwe. Ponieważ gubernator wiedział, że to ja stoję za pismami dla Zgromadzenia, można by się spodziewać, że kiedy dojdzie do naszego spotkania, z trudem unikniemy skoczenia sobie do gardeł. Gubernator był jednak tak dobrym człowiekiem, że żadne osobiste rozdźwięki między nim a mną nie były okazją do sporów i często jadaliśmy razem obiad.

Pewnego popołudnia, w kulminacyjnym momencie tej publicznej kłótni, spotkaliśmy się na ulicy. „Franklinie – powiedział gubernator – musisz iść ze mną do domu i spędzić tam wieczór. Przyjdzie do mnie towarzystwo, które ci się spodoba". Ujął mnie pod ramię i zaprowadził mnie do swojego domu. Po kolacji, w wesołej rozmowie przy winie, powiedział nam żartobliwie, że niezmiernie przypadł mu do gustu pomysł Sancho Pansy, bohatera Don Kichota Miguela de Cervantesa. Sancho Pansa, gdy zaproponowano mu gubernatorstwo, zażądał, aby rząd tworzyli wyłącznie czarnoskórzy, ponieważ jeżeli nie będzie mógł dojść do porozumienia ze swoim ludem, w ostateczności będzie mógł ich sprzedać. Jeden z jego przyjaciół, który siedział obok mnie, powiedział: „Franklinie, dlaczego nadal jesteś po stronie tych przeklętych kwakrów? Czy nie lepiej ich sprzedać? Dostałbyś dobrą cenę od nabywcy". „Gubernator nie oczernił ich jeszcze w wystarczającym stopniu" – odparłem. W rzeczy samej gubernator ciężko pracował, aby oczernić Zgromadzenie we wszystkich swoich pismach, ale ono odpłacało mu się tym samym tak szybko, jak tylko mogło. W końcu podobnie jak jego poprzednik Hamilton, miał tak dość ciągłych oszczerstw, że zrezygnował z gubernatorstwa.

Do tych publicznych waśni w głównej mierze przyczyniało się zachowanie właścicieli ziemskich, naszych dziedzicznych władców,

którzy za każdym razem, kiedy należało ponieść jakiekolwiek koszty na obronę ich prowincji, z niewiarygodną podłością instruowali swoich przedstawicieli, aby nie zgadzali się na żadne uchwały ustanawiające niezbędne podatki, chyba że ich rozległe posiadłości nie zostaną w nich uwzględnione. Dochodziło nawet do sytuacji, w których pobierali kaucje od przedstawicieli jako zabezpieczenie przestrzegania tych instrukcji. Przez trzy kolejne lata trzy kadencje Zgromadzenia starały się bronić przed tą niesprawiedliwością, aż w końcu dały za wygraną. Dopiero kapitan Denny, następca gubernatora Morrisa, odważył się nie stosować do tych instrukcji. Jak do tego doszło, opowiem za chwilę.

Zbyt szybko posuwam się jednak naprzód z moją historią. Są jeszcze pewne zdarzenia, o których należy wspomnieć, a które miały miejsce podczas rządów gubernatora Morrisa.

Skuteczny organizator

Kiedy wybuchła wojna z Francją, zarząd prowincji Massachusetts zamierzał przeprowadzić atak na Crown Point i wysłał pana Quincy'ego do Pensylwanii, a następnie do pana Pownalla, późniejszego gubernatora, do Nowego Jorku, aby uzyskać pomoc. Ponieważ zasiadałem w Zgromadzeniu, znałem panujące w nim nastroje. Ponadto byłem rodakiem pana Quincy'ego, więc nic dziwnego, że zwrócił się on do mnie z prośbą o poparcie i wykorzystanie moich wpływów. Opracowałem jego przemówienie, które zostało dobrze przyjęte. Uchwalono pomoc w wysokości 10 tysięcy funtów w formie prowiantu i sprzętu, ale gubernator odmówił

przyjęcia uchwały (zawierającej również inne kwoty przyznane na użytek Korony), chyba że dodano by do niej klauzulę zwalniającą właścicieli ziemskich z płacenia podatków na ten cel. Zgromadzenie, które bardzo chciało wspomóc Nową Anglię, nie było w stanie tego osiągnąć. Pan Quincy próbował wszelkimi siłami przekonać gubernatora, aby uzyskać jego zgodę, on jednak był uparty.

Zasugerowałem sposób załatwienia sprawy bez udziału gubernatora za pomocą kwitów wystawionych na zarząd Biura Pożyczkowego, co zgodnie z prawem należało do uprawnień Zgromadzenia. W tym czasie Biuro Pożyczkowe dysponowało małą kwotą, dlatego zaproponowałem odroczenie płatności na przyszły rok przy oprocentowaniu w wysokości pięciu procent. Sądziłem, że dzięki tym zleceniom zostanie ułatwiony zakup sprzętu i żywności. Zgromadzenie niemal bezzwłocznie przyjęło wniosek. Zlecenia zostały natychmiast wydrukowane, a ja zasiadłem w jednej z komisji, która miała je podpisać i zrealizować. Fundusz na ich spłatę stanowiły – wraz z dochodami z akcyzy – odsetki od wszystkich papierowych pieniędzy wydanych w prowincji tytułem pożyczek. Zdawano sobie sprawę, że środki na pokrycie zadłużenia są bardziej niż wystarczające, więc kwity otrzymały natychmiastowy kredyt zaufania. Przyjmowano je nie tylko jako zapłatę za zapasy, lecz przede wszystkim wielu bogatych ludzi traktowało je jako lokatę kapitału, ponieważ oprocentowanie przynosiło zysk, a ponadto mogli ich używać zamiennie z tradycyjną walutą. W związku z tym dość szybko zostały wykupione i po paru tygodniach rozeszły się wszystkie. W ten sposób ta ważna sprawa została przeze mnie doprowadzona do końca. Pan Quincy podziękował Zgromadzeniu w pięknie napisanym piśmie, wrócił do domu bardzo zadowolony z sukcesu misji i odtąd zawsze żywił do mnie serdeczne i przyjazne uczucia.

Rząd brytyjski, nie chciał ani dopuszczenia do zaproponowanej w Albany unii kolonii, ani powierzenia im zadania obrony w obawie, że poszczególne prowincje nabiorą zbyt dużego potencjału militarnego i poczują własną potęgę. Na tym etapie łatwo rodziły się wszelkiego

rodzaju podejrzenia i zazdrość, Brytyjczycy oddelegowali więc do obrony generała Braddocka z dwoma regularnymi pułkami wojsk angielskich. Wylądował w Aleksandrii, w Wirginii, a następnie udał się do Fredericktown w Maryland, gdzie zatrzymał się w oczekiwaniu na wozy z zaopatrzeniem. Nasze Zgromadzenie na podstawie otrzymanych informacji obawiało się, że generał ma wobec nas duże uprzedzenia, gdyż Izba raczej niechętnie podchodziła do jego przybycia. Zlecono mi zatem, abym zajął się sprawami dowódcy wyłącznie w charakterze poczmistrza generalnego. Miałem mu zaproponować najszybszy i najpewniejszy sposób dostarczania przesyłek i wiadomości pomiędzy nim a gubernatorami kilku prowincji, z którymi koniecznie musiał być w stałym kontakcie. W tej podróży towarzyszył mi mój syn.

Zastaliśmy generała Braddocka w Fredericktown czekającego z niecierpliwością na powrót ludzi wysłanych do dalekich zakątków Maryland i Wirginii, aby zebrać wozy. Spędziłem u niego kilka dni, jadłem z nim codziennie i miałem pełną możliwość rozwiania wszystkich jego uprzedzeń dzięki przekazaniu informacji o tym, co Zgromadzenie zrobiło przed jego przybyciem i było gotowe uczynić, aby ułatwić mu operacje wojskowe. Kiedy miałem już wyjeżdżać, wrócili ludzie wysłani po wozy z zaopatrzeniem. Okazało się, że zdobyli ich tylko dwadzieścia pięć, z czego nie wszystkie nadawały się do użytku. Generał wraz z oficerami nie kryli zaskoczenia tym faktem. Oświadczyli, że ich wyprawa jest niemożliwa do realizacji, a przez to zakończona. Oburzali się na ministrów, że za ich sprawą nieświadomie wylądowali w kraju pozbawionym środków do przewożenia zapasów, bagaży itp., do czego konieczne byłoby co najmniej sto pięćdziesiąt wozów.

Doszedłem do wniosku, że szkoda, iż nie wylądowali w Pensylwanii, gdzie prawie każdy farmer miał swój wóz. Usłyszawszy to, generał powiedział: „W takim razie pan, drogi panie, który ma tam wpływy, może je dla nas zdobyć. Błagam pana, proszę się tego podjąć”. Zapytałem, jakie warunki mają być zaoferowane właścicielom wozów. Postanowiłem przelać na papier te z nich, które wydawały mi

się konieczne, co też uczyniłem, a generał wyraził na nie zgodę. Natychmiast przygotowano odpowiednie polecenie i upoważnienie. Warunki te zawarłem w ogłoszeniu, które opublikowałem bezzwłocznie po przybyciu do Lancaster. Przytoczę je w całości, gdyż ze względu na duże i nagłe skutki, jakie wywołało, stanowiło ono rzecz niezwykle ciekawą.

OBWIESZCZENIE

Lancaster, 26 kwietnia 1755 roku

Zważywszy, że wojsko jego królewskiej mości potrzebuje sto pięćdziesiąt wozów zaprzęgniętych w cztery konie i półtora tysiąca siodeł, czyli koni jucznych, które mają zostać dostarczone do Will's Creek, a jego ekscelencja generał Braddock łaskawie upoważnił mnie do wynajęcia wymienionych koni, niniejszym zawiadamiam, że w tym celu pozostanę w Lancaster od dziś do następnej środy wieczorem oraz w Yorku od następnego czwartku rano do piątku wieczorem, gdzie będę wynajmować wozy i zaprzęgi lub pojedyncze konie na następujących warunkach:

1. Za każdy wóz z czterema końmi i woźnicą będzie wypłacane piętnaście szylingów dziennie, za każdego osiodłanego konia jucznego dwa szylingi dziennie, a za konia bez siodła osiemnaście pensów dziennie;
2. Należność ta będzie uiszczana od momentu połączenia się wojsk w Will's Creek, do czego musi dojść najpóźniej 20 maja bieżącego

roku, ponadto wypłacona zostanie kwota za czas niezbędny na podróż do Will's Creek i powrót do domu po zwolnieniu;
3. Każdy wóz i zaprzęg wraz z każdym koniem wierzchowym lub jucznym zostaje poddany ocenie przez bezstronne osoby wybrane przeze mnie i właściciela, a w przypadku utraty wozu, zaprzęgu lub konia podczas służby zostanie wypłacona określona kwota odszkodowania;
4. Na żądanie właściciela zostanie przeze mnie osobiście wypłacone wynagrodzenie za siedem dni z góry, a pozostałą część ureguluje generał Braddock lub płatnik wojskowy w momencie ich zwolnienia lub w określonych terminach, zależnie od wyboru właściciela;
5. Woźnica ani osoby opiekujące się najemnymi końmi w żadnym wypadku nie mogą pełnić obowiązków żołnierza ani być zatrudnione w inny sposób niż do prowadzenia lub doglądania wozów lub koni;
6. Owies, kukurydza lub inny rodzaj paszy, jakie zostaną przywiezione do obozu w ilości większej niż potrzebna do wyżywienia koni, zostaną zabrane na użytek wojska za rozsądną zapłatą.
Uwaga: Mój syn, William Franklin, został upoważniony do zawierania podobnych umów ze wszystkimi chętnymi w hrabstwie Cumberland.
B. Franklin".

„Do mieszkańców hrabstw Lancaster, York i Cumberland!

Przyjaciele i Rodacy!

Przybywszy przypadkiem do obozu we Frederick, zastałem tam generała i oficerów w zupełnej rozpaczy z powodu braku zaopatrzenia w konie i powozy, których dostarczenia oczekiwali od

tej prowincji jako najbardziej zdolnej do ich zapewnienia. Ze względu na różnice zdań między naszym gubernatorem i Zgromadzeniem, pieniądze nie zostały jednak dostarczone ani też nie podjęto żadnych kroków w tym celu.

Zaproponowano natychmiastowe wysłanie sił zbrojnych do tych hrabstw, aby zarekwirować odpowiednią liczbę najlepszych powozów i koni i wymusić na wielu ludziach służbę, aby zajmowali się ich prowadzeniem oraz oporządzeniem zwierząt.

Zrozumiałem, że w tych warunkach przemarsz żołnierzy brytyjskich przez te hrabstwa, szczególnie biorąc pod uwagę fakt, że nie są to ludzie wielkiej odwagi, którzy żywią niechęć do nas, może się wiązać z wieloma niedogodnościami dla mieszkańców. Dlatego też tym chętniej zadałem sobie trud podjęcia starań, aby wszystko, co tylko jest możliwe, przeprowadzić za pomocą uczciwych i sprawiedliwych środków. Ludność tych hrabstw żaliła się ostatnio Zgromadzeniu na brak wystarczającej ilości pieniędzy. Teraz możecie otrzymać i podzielić między sobą bardzo znaczne sumy. Jeśli służba na rzecz tej wyprawy będzie kontynuowana przez sto dwadzieścia dni, co jest wysoce prawdopodobne, zarobek za wynajem tych wozów i koni wyniesie ponad trzydzieści tysięcy funtów, które zostaną wam zapłacone w srebrze i złocie z pieniędzy króla.

Służba będzie lekka i łatwa, bo armia nie będzie maszerować więcej niż dwanaście mil dziennie, a wozy i konie juczne, przewożące rzeczy absolutnie niezbędne dla dobra wojsk, muszą maszerować w równym tempie z żołnierzami. Dla dobra armii zawsze umieszcza się je w najbezpieczniejszym miejscu – czy to podczas marszu, czy w obozie.

Jeśli naprawdę jesteście, w co wierzę, dobrymi i wiernymi poddanymi Jego Królewskiej Mości, możecie teraz w bardzo łatwy sposób okazać się mu pomocnymi. Troje lub czworo z tych, którzy nie mogą obyć się na plantacji bez wozu, czterech koni i woźnicy, może zgłosić się razem – jeden dostarczy wóz, drugi jednego lub

dwa konie, trzeci woźnicę, a zapłata zostanie podzielona proporcjonalnie między nimi. Jeśli nie uczynicie tego dobrowolnie na rzecz swojego króla i kraju, gdy zaoferowano wam tak dobre wynagrodzenie i rozsądne warunki, wasza lojalność będzie podana w wątpliwość. Zamiary królewskie muszą być spełnione. Liczne i dzielne wojska, przybyłe z tak daleka dla waszej obrony, nie mogą stać bezczynnie przez waszą opieszałość w zrobieniu tego, czego zdrowy rozsądek pozwala od was oczekiwać. Wozy i konie muszą być dostarczone. Jeżeli się nie dostosujecie, zostaną zapewne użyte środki przemocy, a wy będziecie musieli szukać rekompensaty, jeśli tylko zdołacie ją zdobyć, gdyż być może ktoś zlituje się nad wami i rozważy waszą sprawę.

Nie mam w tej sprawie żadnego osobistego interesu, ponieważ poza satysfakcją wynikającą z dobrego uczynku, za zapłatę uznam swoją pracę. Jeśli ta metoda zdobywania wozów i koni nie okaże się skuteczna, jestem zobowiązany do wysłania wiadomości do generała w ciągu czternastu dni. Przypuszczam, że kawalerzysta sir John St. Clair z grupą żołnierzy natychmiast wkroczy na teren prowincji w celu, o którym przykro byłoby mi słyszeć, ponieważ jestem waszym szczerym i prawdziwym przyjacielem i dobrze wam życzę.

B. Franklin”.

Starcie wojsk brytyjskich z Irokezami

Otrzymałem od generała około ośmiuset funtów, które miały być wypłacone z góry właścicielom wozów. Jako że suma ta była niewystarczająca, dostałem dodatkowe dwieście funtów i po dwóch

tygodniach sto pięćdziesiąt wozów i dwieście pięćdziesiąt dziewięć jucznych koni ruszyło do obozu. W obwieszczeniu zobowiązano się do zapłaty zgodnie z wyceną w przypadku zaginięcia wozu lub konia. Właściciele jednak twierdzili, że nie znają generała Braddocka i nie wiedzą, czy jest słowny, w związku z czym nalegali na moje poręczenie, którego im udzieliłem.

Gdy byłem w obozie, pewnego wieczoru jadłem kolację z oficerami pułkownika Dunbara. Zwierzył mi się on z troski o swoich podwładnych, którzy, jak twierdził, na ogół nie byli zamożni i nie mogli sobie pozwolić na to, by w tym drogim kraju zgromadzić w składach wszystko, co może być im potrzebne podczas tak długiego marszu przez dzikie tereny. Przyznałem mu rację i postanowiłem im w jakiś sposób pomóc. Nie powiedziałem mu jednak nic o swoim zamiarze, a następnego ranka napisałem do komisji Zgromadzenia, która dysponowała publicznymi pieniędzmi, gorąco rekomendując sprawę tych oficerów do rozważenia i proponując, aby wysłać im podarunek z artykułami pierwszej potrzeby i napojami. Mój syn, który miał pewne doświadczenia z życia obozowego i jego potrzeb, sporządził dla mnie listę, którą załączyłem do mojego listu. Komisja wyraziła zgodę i dołożyła wszelkich starań, żeby pod kierunkiem mojego syna zapasy dotarły do obozu. Obejmowały one dwadzieścia paczek.

Tymi dwudziestoma dobrze zapakowanymi paczkami objuczono tyleż samo koni, a każda paczka wraz z koniem miała stanowić prezent dla jednego oficera. Zostały one przyjęte z wielką wdzięcznością, a swą uprzejmość pułkownicy obu pułków wyrazili w pełnych podziękowań i miłych słów listach. Generał również był bardzo zadowolony z mojego sposobu dostarczenia wozów i chętnie zwrócił mi wszystkie zaliczki, dziękując wielokrotnie i prosząc o dalszą pomoc w wysyłaniu zaopatrzenia. Podjąłem się więc i tego zadania i pracowicie się tym zajmowałem, aż dotarła do nas wiadomość o jego porażce. Wyłożyłem z moich własnych środków sumę przekraczającą tysiąc funtów szterlingów i przesłałem generałowi rachunek. Poszczęściło mi się i dokument dotarł do generała na kilka dni przed bitwą, a on

natychmiast spłacił dług, zwracając się do płatnika, aby wyasygnował mi okrągłą sumę tysiąca funtów, a resztę zostawił do następnych rozliczeń. Uważam, że było to dobre dla mnie rozwiązanie, ponieważ nigdy nie udało mi się zdobyć reszty rozliczeń, o czym jeszcze napiszę.

W moim mniemaniu generał był człowiekiem odważnym i miał wszelkie zadatki, aby stać się dobrym dowódcą w jakiejś europejskiej wojnie. Cechowała go jednak zbyt wielka pewność siebie, zbyt wysoka opinia o wartości wojsk regularnych, a zbyt niska o zarówno Amerykanach, jak i Indianach. George Croghan, nasz indiański tłumacz, przyłączył się do pochodu wraz z setką ludzi, którzy mogliby być bardzo przydatni dla armii jako przewodnicy czy zwiadowcy, gdyby tylko byli traktowani z uprzejmością. Generał jednak lekceważył ich i znieważał, a oni stopniowo go opuszczali.

Kiedy pewnego dnia z nim rozmawiałem, zwierzył mi się ze swoich planów. „Po zajęciu Fortu Duquesne – powiedział – pojadę do Niagary, a potem – jeśli pogoda będzie sprzyjać – wyruszę pod Frontenac. Przypuszczam, że będzie to możliwe, bo zajęcie Duquesne nie powinno mi zająć dłużej niż trzy czy cztery dni, a potem nie widzę przeszkód dla odbycia mojego marszu do Niagary". Układając w myślach długą, bardzo wąską, wyciętą specjalnie dla nich wśród lasów i zarośli drogę, którą jego wojska musiałyby pokonać w pochodzie, a także mając na względzie to, co przeczytałem o klęsce piętnastu tysięcy Francuzów, którzy najechali na kraj Irokezów, miałem pewne obawy co do powodzenia przemarszu. Jednak odparłem tylko: „Oczywiście, sir, jeśli przybędzie pan na czas do Duquesne z tymi wspaniałymi wojskami, tak dobrze wyposażonymi w artylerię, to bardzo możliwe, że miejscowość ta – jeszcze nie całkowicie ufortyfikowana i, jak słyszeliśmy, bez silnego garnizonu – będzie stawiać tylko krótki opór. Jedynym niebezpieczeństwem, jakie dostrzegam w waszym marszu, są zasadzki Indian, którzy jak wiemy z doświadczenia, mają wielką wprawę w ich urządzaniu. Smukła, ponad sześciokilometrowa linia, którą wasza armia musi przejść, może narazić ją na atak z

zaskoczenia, co doprowadzi do podziału wojsk na kilka grup, a te ze względu na znaczne oddalenie od siebie nie będą w stanie udzielić sobie pomocy".

Moja domniemana ignorancja wywołała uśmiech na twarzy kapitana, który odpowiedział: „Dzicy mogą stanowić poważne zagrożenie dla waszej prymitywnej amerykańskiej milicji, ale na regularnych i zdyscyplinowanych wojskach królewskich, sir, nie zrobią żadnego wrażenia". Zdawałem sobie sprawę z niestosowności mojej dysputy z wojskowym na temat jego dziedziny, więc nie odezwałem się już ani słowem. Nieprzyjaciel jednak nie wykorzystał możliwości przeprowadzenia ataku na armię brytyjską podczas przemarszu, aż znalazła się ona w odległości 14 km od Duquesne. Wtedy oddziały tworzyły bardziej zwartą grupę (ponieważ właśnie przekraczały rzekę, gdzie zatrzymało się czoło pochodu w oczekiwaniu na moment, gdy wszyscy pozostali żołnierze znajdą się na drugim brzegu) i w bardziej otwartej części lasu niż jakakolwiek wcześniej przebyta. Wróg zaatakował straż przednią silnym ogniem zza drzew i krzewów, co było pierwszym ostrzeżeniem dla generała, że nieprzyjaciel znajduje się w pobliżu. Kiedy tylko straż przednia została rozproszona, generał pospieszył jej z pomocą i wysłał wojska, które poruszały się w wielkim zamieszaniu ze względu na wozy, tabory i bydło. W jednej chwili ogień został skierowany na flanki. Dosiadający koni oficerowie byli bardziej widoczni, więc często byli obierani za cel, a trup słał się gęsto. Żołnierze byli stłoczeni pośród takiego zgiełku, że nie słyszeli rozkazów i byli wystawieni na ostrzał aż do czasu, gdy dwie trzecie z nich zginęło. Kiedy patrzyli, jak ich pobratymcy jeden po drugim padają martwi, zaczęli panikować i pognali przed siebie, ile sił w nogach.

Chłopi przy wozach zabrali po jednym koniu z zaprzęgu i uciekli. W ich ślady poszli natychmiast inni, co sprawiło, że wszystkie wozy, prowiant, artyleria i furaż zostały pozostawione wrogowi. Generał został ranny i z trudem udało się go przenieść w bezpieczne miejsce. Jego sekretarz, pan Shirley, zginął u jego boku. Z osiemdziesięciu sześciu oficerów sześćdziesięciu trzech poległo lub zostało rannych, a

ogółem poniosło śmierć siedmiuset czternastu ludzi z tysiąca stu, którzy stanowili najbardziej doborowy oddział w całej armii. Reszta została z tyłu z pułkownikiem Dunbarem, który miał podążać z cięższymi taborami, prowiantem i zasobami. Uciekinierzy, przez nikogo nie ścigani, przybyli do obozu Dunbara, a ich panika natychmiast udzieliła się pułkownikowi i wszystkim jego ludziom. Chociaż miał do dyspozycji ponad tysiąc ludzi, a wrogie siły, które pokonały Braddocka, składały się z co najwyżej czterystu Indian i Francuzów, zamiast kontynuować walkę i próbować odzyskać choć trochę utraconego honoru, nakazał zniszczyć wszelkie zapasy i amunicję, aby więcej koni mogło być wykorzystane podczas ucieczki do okolicznych osad i by łatwiej torować sobie drogę. Od gubernatorów Wirginii, Maryland i Pensylwanii usłyszał żądanie, wysłania swoich wojsk na granice w celu zapewnienia ochrony mieszkańcom. On jednak nie zważał na ich prośby i z duszą na ramieniu kontynuował przemarsz przez cały kraj, aż dotarł do Filadelfii, gdzie wreszcie poczuł się bezpiecznie, gdyż mieszkańcy miasta mogliby go ochronić. Całe to zdarzenie zasiało w nas, Amerykanach, ziarno wątpliwości, czy nasze wzniosłe poglądy na temat sprawności brytyjskich wojsk nie były przypadkiem mylne.

Początki wojny obronnej

Podczas pierwszego pochodu, od momentu przybycia do chwili wyjścia poza bazy, wojska angielskie plądrowały i łupiły mieszkańców, całkowicie rujnując niektóre biedniejsze rodziny, a także biły, maltretowały i więziły ludzi, jeśli protestowali. To wystarczyło, aby zniechęcić nas wobec takich obrońców, gdybyśmy w ogóle ich sobie życzyli. Jakże odmienne było zachowanie naszych

francuskich sojuszników w 1781 roku, którzy podczas blisko 1120 kilometrowego marszu po najbardziej zaludnionej części naszego kraju, od Rhode Island po Wirginię, nie doprowadzili swoim zachowaniem do nawet najmniejszej skargi na utratę świni, kurczaka, czy choćby jabłka.

Kapitan Orme, jeden z pomocników generała, odniósłszy poważne rany, został przywieziony razem z nim i towarzyszył wodzowi aż do jego śmierci, która nastąpiła w ciągu kilku dni. Powiedział mi, że generał zachowywał całkowite milczenie przez cały pierwszy dzień, a w nocy powiedział tylko: „Kto by pomyślał?". Następnego dnia znów milczał, aż wreszcie powiedział jedynie: „Następnym razem lepiej sobie z nimi poradzimy" i umarł kilka minut po tym.

Papiery generalskiego sekretarza, zawierające wszystkie rozkazy, instrukcje i korespondencję, wpadły w ręce wroga. Nieprzyjaciel wybrał i przetłumaczył na język francuski wiele pism, które opublikował, aby udowodnić wrogie zamiary dworu brytyjskiego przed ogłoszeniem wojny. Wśród nich widziałem kilka listów generała skierowanych do ministerstwa, w których z uznaniem wypowiadano się o wielkich przysługach, jakie wyświadczyłem wojsku, i w których zawarto listy polecające mnie ich uwadze. David Hume, który kilka lat później był sekretarzem lorda Hertforda za czasów pełnienia przez niego urzędu ambasadora we Francji, a potem generała Conwaya, gdy ten był sekretarzem stanu, powiedział mi, że widział wśród tych pism listy od Braddocka, w których wyrażał się o mnie bardzo pochlebnie. Ponieważ jednak wyprawa zakończyła się fiaskiem, zaczęto nieprzychylnym okiem patrzeć na moją służbę, więc te pochwały na nic mi się nie zdały.

Jeśli chodzi o wynagrodzenie dla mnie, poprosiłem tylko o wydanie rozkazu oficerom, aby nie werbowali nikogo więcej z naszej zakupionej służby i zwolnili tych, którzy zostali już wcieleni do armii. Z chęcią przystano na moją prośbę i wiele osób zostało zwolnionych ze służby i wróciło do swoich panów. Dunbar, odkąd to przejął dowództwo, nie był tak ugodowy. Podczas odwrotu, a raczej

ucieczki, kiedy przebywał w Filadelfii, zwróciłem się do niego o zwolnienie parobków trzech ubogich farmerów z hrabstwa Lancaster, których zaciągnął, przypominając mu o rozkazach zmarłego generała. Obiecał mi, że jeśli właściciele sług przyjdą do niego w Trenton, gdzie za kilka dni powinien dotrzeć, maszerując do Nowego Jorku, dostarczy tam ich ludzi. Zapłacili zatem za podróż do Trenton, a wyprawa kosztowała ich wiele zachodu, ale ku ich wielkiemu rozczarowaniu i krzywdzie, Dunbar odmówił spełnienia swojej obietnicy.

Gdy tylko utrata wozów i koni przeniknęła do wiadomości publicznej, wszyscy właściciele zgłosili się do mnie po należną im zapłatę, za którą poręczyłem. Ich żądania sprawiły mi wiele kłopotu, musiałem bowiem dać im do zrozumienia, że pieniądze znajdują się w rękach płatnika, ale najpierw generał Shirley musi wydać nakaz ich wpłacenia. Zapewniłem ich, że zwróciłem się do innego w tej sprawie listownie, jednak ze względu na to, że przebywał on daleko, odpowiedź nie mogła nadejść szybko, więc musieli uzbroić się w cierpliwość. Moje zapewnienia nie były wystarczające dla wierzycieli, a niektórzy nawet podali mnie do sądu. Kiedy wreszcie generał Shirley wyciągnął mnie z tej opresji, wyznaczył komisarzy do zbadania roszczeń i nakazał zapłatę. Suma do uiszczenia wynosiła prawie dwadzieścia tysięcy funtów, co całkowicie by mnie zrujnowało, gdybym miał je wyłożyć z własnej kieszeni.

Zanim otrzymaliśmy wiadomość o porażce, obydwaj doktorzy Bond przyszli do mnie prosić o udział w zbiórce na pokrycie kosztów wielkiego fajerwerku, który z radością miał być wypuszczony po otrzymaniu wiadomości o zdobyciu przez nas fortu Duquesne. Z całkowitą powagą odrzekłem, że będzie wystarczająco dużo czasu na przygotowanie uroczystości, kiedy już na pewno będziemy wiedzieć, że jest co świętować. Moje stwierdzenie zbiło ich z tropu, gdyż nie zastosowałem się od razu do ich propozycji. „Co do diabła – oburzył się jeden z nich – chyba nie przypuszczasz, że fort nie zostanie zdobyty?!”. „Nie wiem, czy się nam powiedzie, ale wiem, że losy wojenne są bardzo niepewne”. Podałem im powody moich

wątpliwości. Zrezygnowano ze zbiórki, a jej pomysłodawców ominęły zmartwienia, z którymi niewątpliwie musieliby się zmierzyć, gdyby fajerwerki przygotowano wcześniej. Przy innej okazji dr Bond powiedział później, że nie podobają mu się przewidywania Franklina.

Gubernator Morris, przed klęską Braddocka nieustannie niepokoił Zgromadzenie jednym pismem za drugim, aby wymusić na nim podjęcie uchwał mających na celu zebranie pieniędzy na obronę prowincji bez opodatkowania m.in. majątków własnościowych. Odrzucał on wszystkie proponowane akty za brak takiej klauzuli zwalniającej, a teraz podwoił swoje ataki z większą nadzieją na sukces, ponieważ wzrosło niebezpieczeństwo i związana z nim konieczność podjęcia działań zapobiegawczych. Zgromadzenie jednak uparcie broniło swojej racji, wierząc w jej słuszność, a jeśli wyraziłoby zgodę na zmianę uchwał zgodnie z życzeniem gubernatora, oznaczałoby to, że wyrzekłoby się ono istotnego dla siebie prawa. W jednej z ostatnich uchwał, dotyczącej przyznania pięćdziesięciu tysięcy funtów, poprawka zgłoszona przez gubernatora obejmowała tylko jedno słowo. W projekcie wyrażono, że „wszystkie posiadłości, zarówno te nieruchome, jak i osobiste, mają być opodatkowane, nie wyłączając własności ziemskiej". Jego poprawka była niewielka, ale bardzo istotna. Słowo „nie" zamienił na „jedynie". Jednakże gdy wieść o klęsce dotarła do Anglii, nasi tamtejsi przyjaciele, którym staraliśmy się przekazać wszystkie odpowiedzi Zgromadzenia na pisma gubernatora, podnieśli larum przeciwko właścicielom za ich podłość i niesprawiedliwość w udzielaniu gubernatorowi takich instrukcji. Niektórzy posunęli się do twierdzenia, że utrudniając obronę ich prowincji, stracili do niej prawo. Właściciele ziemscy przerazili się takim obrotem spraw i wysłali rozkazy do poborcy generalnego, aby dodał pięć tysięcy funtów z ich pieniędzy do jakiejkolwiek sumy uchwalonej w tym celu przez Zgromadzenie.

Gdy powiadomiono o tym Izbę, przyjęliśmy tę kwotę jako ich udział w podatku powszechnym, a nowy projekt uchwały został sporządzony z klauzulą zwalniającą, która została odpowiednio

przyjęta. Na mocy tego aktu zostałem mianowany jednym z komisarzy do rozporządzania pieniędzmi w wysokości sześćdziesięciu tysięcy funtów. Brałem udział w projektowaniu uchwały i doprowadzeniu do jej wejścia w życie, a jednocześnie sporządziłem projekt ustawy o utworzeniu i zdyscyplinowaniu ochotniczej milicji, która bez większych trudności została zaakceptowana, gdyż zadbano w niej o pozostawienie swobody wyboru kwakrom. W celu promowania stowarzyszenia niezbędnego do utworzenia milicji napisałem dialog (można go, wraz z ustawą milicyjną, przeczytać w „Gentleman's Magazine" z lutego 1756 roku), w którym przedstawiłem i odpowiedziałem na wszystkie zastrzeżenia, jakie przyszły mi do głowy w związku z milicją. Został on opublikowany i miał, jak sądzę, wielki wpływ na to, jak potoczyły się sprawy.

Podczas gdy w mieście i na wsi powstawało i odbywało ćwiczenia wiele kompanii, gubernator wymusił na mnie przejęcie kontroli nad naszą północno-zachodnią granicą, która została zaatakowana przez wroga, i zapewnienie ochrony mieszkańców za pomocą werbunków do wojska i budowania linii umocnień obronnych. Podjąłem się tej wojskowej misji, chociaż zdawałem sobie sprawę, że nie jestem do tego dobrze przygotowany. Gubernator dał mi całkowite pełnomocnictwo i plik nominacji in blanco dla oficerów, które mogłem rozdawać według własnego uznania. Nie napotkałem wielu trudności w werbunku i wkrótce pod moją komendą znalazło się pięciuset sześćdziesięciu ludzi. Mój syn, który w poprzedniej wojnie był oficerem w armii zrekrutowanej przeciwko Kanadzie, został moim adiutantem i służył mi wielką pomocą. Indianie spalili Gnadenhutten, osadę zasiedloną przez braci morawskich, i wymordowali jej mieszkańców, ale uznano to miejsce za dobrą lokalizację dla jednego z fortów.

Aby tam wyruszyć, zebrałem kompanię w Bethlehem, największej miejscowości w tamtych stronach. Ku mojemu zdziwieniu zastałem jej mieszkańców przygotowanych do obrony. Zniszczenie Gnadenhutten sprawiło, że zaczęto zdawać sobie sprawę z wagi niebezpieczeństwa. Główne budynki otoczono palisadą. Mieszkańcy

kupili pewną ilość broni i amunicji w Nowym Jorku, a nawet umieścili wiele małych kostek brukowych między oknami swoich wysokich kamiennych domów, aby ich kobiety zrzucały je na głowę każdego Indianina, który próbowałby wedrzeć się do środka. Powołano także straż składającą się z uzbrojonych braci morawskich, którzy czuwali nad bezpieczeństwem miasta i udzielali pomocy równie metodycznie jak każdy wyszkolony garnizon. W rozmowie z biskupem Spangenbergiem wspomniałem, że bardzo mnie to zdziwiło. Wiedziałem bowiem, że otrzymali akt parlamentu zwalniający ich z obowiązków wojskowych w koloniach, przypuszczałem więc, że sumiennie będą odmawiać chwytania za broń. Odpowiedział mi, że nie jest to jedna z ich fundamentalnych zasad, ale w chwili uzyskania tego aktu powszechnie uważano, że wielu z nich ją wyznaje. Ku mojemu zaskoczeniu stwierdzili jednak, że przestrzegają jej wyłącznie nieliczni. Wygląda na to, że albo zostali oszukani, albo sami wprowadzili Parlament w błąd. Zdrowy rozsądek potęgowany przez bezpośrednie niebezpieczeństwo przewyższa czasem siłę przekonań.

Był początek stycznia, kiedy rozpoczęliśmy pracę nad budową fortyfikacji. Wysłałem jeden oddział w kierunku Minisinka z poleceniem budowy jednego fortu dla zapewnienia bezpieczeństwa górnej części regionu, a drugi do dolnej części z podobnymi instrukcjami. Doszedłem do wniosku, że powinienem udać się z resztą moich sił do Gnadenhutten, gdzie umocnienia były najbardziej potrzebne. Bracia morawscy dostarczyli mi pięć wozów na narzędzia, magazyny, bagaż itp.

Tuż przed naszym wyjazdem z Bethlehem jedenastu farmerów, którzy zostali wypędzeni ze swoich plantacji przez Indian, przyszło do mnie z prośbą o zapas broni palnej, aby mogli wrócić do siebie na rolę i odebrać swoje bydło. Dałem im po jednym pistolecie z odpowiednią ilością amunicji. Nie przeszliśmy wielu kilometrów, zanim zaczął padać deszcz, który utrzymywał się do końca dnia. Po drodze nie natknęliśmy się na żadne zabudowania, w których moglibyśmy się schronić, aż w nocy dotarliśmy do domu pewnego

Niemca, który udzielił nam schronienia w swojej stodole. Stłoczyliśmy się w niej, przemoczeni do suchej nitki. Dobrze, że nie atakowano nas w marszu, bo mieliśmy najpospolitszą broń, a nasi ludzie nie mogli ochronić kapiszonów przed wilgocią. W przeciwieństwie do nas, Indianie byli zręczni w podstępach. Tego dnia zaatakowali jedenastu wcześniej wspomnianych farmerów i zabili dziesięciu z nich. Ten, który uszedł z życiem, poinformował nas, że fuzje należące do niego i jego towarzyszy nie chciały wypalić, ponieważ pociski były przemoknięte.

Budowa fortu w Gnadenhutten

Następnego dnia rozpogodziło się na tyle, że mogliśmy kontynuować marsz i dotarliśmy do opuszczonego Gnadenhutten. W pobliżu znajdował się tartak, wokół którego pozostało kilka stosów desek. Zbudowaliśmy z nich szałasy. Było to tym bardziej potrzebne w tym trudnym okresie, że nie mieliśmy namiotów. Najpierw zabraliśmy się do dokładniejszego grzebania zmarłych, których znaleźliśmy na miejscu, a którzy zostali pochowani w ziemi przez okoliczną ludność jedynie symbolicznie.

Następnego ranka zaplanowaliśmy i oznaczyliśmy nasz fort. Jego obwód mierzył 136,5 m, co wymagało wykonania palisady z ciasno ułożonych bali, z których każdy miałby średnicę 30 centymetrów. Mieliśmy 70 siekier, z których natychmiast zrobiliśmy użytek przy ścinaniu drzew. Naszym ludziom szło to gładko, a tempo pracy nabierało obrotów. Przyglądając się, jak w niesamowitym tempie ścinane są drzewa, z ciekawości spojrzałem na zegarek, kiedy dwóch mężczyzn zaczęło ciąć sosnę. Po sześciu minutach pień o średnicy 35

cm leżał już na ziemi. Jedna sosna wystarczała na trzy spiczaście zakończone pale o długości stu siedemdziesięciu centymetrów. Gdy jedni rąbali drewno, drudzy zajmowali się kopaniem rowu głębokiego na pięć i pół metra, w którym miały zostać umieszczone pale. Od wozów odczepiliśmy przednie części poprzez wyjęcie belki łączącej przednie i tylne koła, dzięki czemu uzyskaliśmy dziesięć dwukonnych zaprzęgów. Posłużyły one do przewozu belek z lasu na miejsce docelowe. Kiedy pale wbito już w ziemię, cieśle zbudowali wokół nich podest z desek wysoki na około 1,8 m, aby mężczyźni mogli na nim stanąć i strzelać przez otwory. Dysponowaliśmy jednym działem obrotowym, które umieściliśmy w jednym z narożników i najszybciej, jak tylko mogliśmy, wystrzeliliśmy z niego. W ten sposób chcieliśmy dać znać Indianom – o ile jacyś znajdowali się w zasięgu wzroku – że mamy i taką broń. Nasz fort, jeśli tak wspaniałą nazwę można nadać tej nieszczęsnej palisadzie, został ukończony w ciągu tygodnia, chociaż co drugi dzień zrywała się tak wielka ulewa, że ludzie nie mogli pracować.

Dzięki temu miałem okazję zaobserwować, że największe zadowolenie człowieka przychodzi wraz z pracą. Mianowicie w tych dniach, w których pogoda dopisywała i można było zrobić coś pożytecznego, humor nikogo nie opuszczał oraz zdawano sobie sprawę, że wykonana praca przynosi wiele korzyści. Natomiast bezczynność doprowadzała do niezadowolenia i kłótni, ludzie zaczynali szukać dziury w całym, np. wynajdując niedociągnięcia w przygotowaniu wieprzowiny czy też w chlebie, i byli ciągle w złym humorze. Takie zachowanie przywodziło mi na myśl kapitana morskiego, który starał się nieustanne utrzymywać swoich ludzi przy pracy. Kiedy pewnego razu oficer poinformował go, że wszystko zostało już zrobione, a marynarze nie mają nic więcej do roboty, kapitan odpowiedział: „To niech wyczyszczą kotwicę”.

Zbudowany przez nas fort, jakkolwiek z wyglądu godny pogardy, stanowił wystarczającą obronę przed Indianami, którzy nie byli wyposażeni w armaty. Wznieśliśmy fortyfikację w bezpiecznym miejscu, z którego w razie potrzeby można było się wydostać, aby

przeczesać sąsiednie tereny. Choć nie widzieliśmy żadnych Indian, to na okolicznych wzgórzach odkryliśmy miejsca, z których obserwowali nasze działania. Sposób wyboru przez nich punktów obserwacyjnych stanowił nie lada sztukę, o czym warto wspomnieć. Ponieważ rzecz działa się w zimie, musieli rozpalać ogień, przy czym blask zwykłego ogniska na powierzchni ziemi zdradziłby ich położenie. Wykopywali więc w ziemi doły o średnicy i głębokości niecałego metra. Zobaczyliśmy, w jakich miejscach obcinali siekierkami zwęglone kawałki kłód leżących w lesie, z których wzniecali małe ogniska na dnie wspomnianych otworów. Wśród chwastów i trawy dostrzegliśmy odciski ich ciał leżących wokół ognisk, z nogami w otworach, aby utrzymać stopy w cieple, co dla Indian ma istotne znaczenie. Rozpalane w taki sposób ogniska nie zdradzały ich położenia światłem, płomieniami, iskrami ani nawet dymem. Mieliśmy przewagę liczebną, więc – jak mi się zdaje – nie chcieli nas atakować, gdyż sądzili, że nie mają z nami szans.

Naszym kapelanem był gorliwy pastor prezbiteriański, pan Beatty, który żalił mi się, że mało osób uczestniczy w jego modlitwach i kazaniach. Kiedy ludzie zaciągali się na służbę, obiecano im, oprócz płacy i prowiantu, półkwaterek rumu dziennie, który był im serwowany punktualnie – jedną połowę otrzymywali rano, a drugą wieczorem. Zauważyłem, że przychodzą po jego odbiór punktualnie, więc powiedziałem panu Beatty'emu: „Być może jest to poniżej pańskiej godności, aby działać jako dostawca rumu, ale gdyby zechciał pan zająć się jego wydzielaniem i robił to dopiero po modlitwie, wszyscy chętnie przychodziliby do pana". Pomysł ten spodobał mu się na tyle, że podjął się jego realizacji. Zatrudnił parę rąk do odmierzania alkoholu i wykonywał skwapliwie swoje zadanie, a na nabożeństwa ludzie zaczęli przychodzić tłumnie i punktualnie. Doszedłem do wniosku, że ta metoda jest lepsza niż kara przewidywana w niektórych przepisach wojskowych za brak obecności na mszy.

Bracia morawscy

Ledwo co skończyłem tę misję i zaopatrzyłem fort we wszelkie potrzebne zasoby, w tym prowiant, kiedy otrzymałem list od gubernatora, w którym poinformował mnie, że zwołał Zgromadzenie i życzy sobie na nim mojej obecności, jeśli tylko sprawy na pograniczu nie wymagają już mojej interwencji. Moi przyjaciele ze Zgromadzenia naciskali na mnie w listach, abym zjawił się na spotkaniu, jeśli to tylko możliwe. Skoro trzy zaplanowane przeze mnie forty zostały ukończone, a mieszkańcy ze względu na ochronę, jaką dawały im te fortyfikacje, mogli pozostać na swoich farmach, podjąłem decyzję o powrocie. Uczyniłem to jeszcze chętniej, gdyż odwiedził nasz obóz oficer z Nowej Anglii, pułkownik Clapham, doświadczony w wojnie z Indianami, i zgodził się objąć dowództwo. Wystawiłem mu nominację, którą odczytałem podczas obchodu po garnizonie. Przedstawiłem go żołnierzom jako oficera, który ze względu na posiadaną wiedzę w sprawach wojskowych o wiele bardziej niż ja nadawał się do dowodzenia. Udzieliłem krótkiego pouczenia i odjechałem. Eskortowano mnie aż do Bethlehem, gdzie odpocząłem kilka dni, aby zmyć z siebie oznaki zmęczenia. Pierwszej nocy, leżąc w dobrym łóżku, ledwo mogłem spać, tak bardzo różniło się ono od mojego twardego posłania na podłodze szałasu w Gnaden, gdzie byłem owinięty tylko dwoma kocami.

Podczas pobytu w Bethlehem zainteresowałem się nieco zwyczajami braci morawskich. Niektórzy z nich mi towarzyszyli i wszyscy byli dla mnie bardzo mili. Zauważyłem, że pracowali na wspólny rachunek, jedli przy wspólnych stołach i spali we wspólnych sypialniach. W sypialniach tych zauważyłem otwory umieszczone w pewnych odległościach tuż pod sufitem, które, jak sądziłem, miały służyć do zachowania cyrkulacji powietrza. Odwiedziłem ich kościół, w którym usłyszałem piękną muzykę – organom towarzyszyły skrzypce, oboje, flety, klarnety i inne instrumenty. Dowiedziałem się, że ich kazania

nie są zwykle wygłaszane do zgromadzeń mieszanych składających się z mężczyzn, kobiet i dzieci, co u nas stanowi powszechną praktykę, ale czasami przemawiano wyłącznie do żonatych mężczyzn, innym razem do żon, potem młodzieńców, młodych kobiet i małych dzieci – do każdej grupy oddzielnie. Kazanie, którego wysłuchałem, było skierowane do dzieci, które po wejściu zostały pogrupowane w szeregi w ławkach: chłopcy znajdowali się pod opieką młodego wychowawcy, a dziewczęta – pod okiem młodej kobiety. Nauka zdawała się być dobrze dostosowana do możliwości dzieci i została wygłoszona w przyjemny i przystępny sposób, dzięki czemu zachęcała młodzież do bycia dobrymi ludźmi. Dzieci zachowywały się bardzo porządnie, ale wyglądały blado i niezdrowo, przez co zacząłem podejrzewać, że nie wychodzą zbyt często na powietrze lub nie przejawiają wystarczającej aktywności fizycznej.

Zasięgnąłem też języka w sprawie małżeństw braci morawskich. Najbardziej chciałem się dowiedzieć, jak naprawdę wygląda sprawa z domniemanym wielożeństwem. Powiedziano mi, że poligamię praktykuje się wyłącznie w szczególnych przypadkach. Zwykle, kiedy młodzieniec wyraża chęć ożenku, informuje o tym starszych ze swojej grupy, którzy konsultują to ze starszymi kobietami podejmującymi decyzje za młodsze dziewczyny. Ponieważ starsi dobrze znają temperament i usposobienie swoich podopiecznych, mogą najlepiej ocenić, które dopasowania są odpowiednie, więc zwykle wszyscy stosują się do ich orzeczeń. Gdyby jednak doszło do sytuacji, w której przykładowo dwie lub trzy młode kobiety okażą się tak samo odpowiednie dla jednego młodzieńca, stosuje się wielożeństwo. Sprzeciwiłem się takiemu postępowaniu, stwierdzając, że jeśli dobór nie następuje dzięki wzajemnemu upodobaniu stron, to jedna z nich może być bardzo nieszczęśliwa. „I tak samo mogą być nieszczęśliwi – odparł mój rozmówca – jeśli pozwolisz im wybrać samym za siebie”, czemu rzeczywiście nie mogłem zaprzeczyć.

Pułkownik Franklin

Po powrocie do Filadelfii okazało się, że organizacja milicji przebiegła niezwykle gładko. Zwykle werbowali się do niej mieszkańcy niebędący kwakrami, którzy następnie formowali się w kompanie i zgodnie z nowym prawem wybierali kapitanów, poruczników i szeregowych. Odwiedził mnie doktor B. i opowiedział mi o tym, jak w bólach szerzył ogólne upodobanie do przestrzegania prawa i przypisał sobie zasługi w tym zakresie. Byłem na tyle próżny, że wiązałem to wszystko z moim Dialogiem. Nie wiedziałem jednak, czy doktor nie ma racji, więc pozwoliłem mu cieszyć się jego zdaniem, co uważam za ogólnie najlepsze wyjście w takich sytuacjach. Oficerowie zgromadzili się i wybrali mnie na pułkownika, a ja zgodziłem się objąć to stanowisko. Zapomniałem już, ile mieliśmy kompanii, ale w uroczystym przemarszu wojsk wzięło udział około tysiąca dwustu doborowych żołnierzy oraz kompania artylerii wyposażona w sześć mosiężnych dział polowych, której załoga stała się tak biegła ich w użyciu, że każdy z jej członków oddawał po dwanaście strzałów na minutę. Gdy po raz pierwszy robiłem przegląd mojego pułku, żołnierze odprowadzili mnie do domu i wystrzelili kilka salw przed moimi drzwiami. Huk był tak wielki, że pękło kilka szkieł w mojej aparaturze elektrycznej. A ten nowy zaszczyt okazał się niezbyt trwały, gdyż wszystkie nasze stanowiska zostały wkrótce zlikwidowane wskutek odrzucenia ustawy w Anglii.

W tym krótkim czasie, kiedy byłem pułkownikiem, udałem się w podróż do Wirginii, a oficerowie mojego pułku wbili sobie do głowy, że będę wymagać od nich eskorty z miasta aż do Lower Ferry. Gdy już miałem wsiąść na konia, około trzydziestu czy czterdziestu umundurowanych ludzi przybyło do moich drzwi. Nie wiedziałem nic wcześniej o ich zamiarze, gdyż najpewniej wyperswadowałbym im ten pomysł, ponieważ z natury nie lubiłem rozgłosu. Co gorsza, gdy

tylko wyruszyliśmy, wydobyli szable i cały czas trzymali je obnażone. Ktoś spisał z tego relację i przekazał ją właścicielowi naszej prowincji, który poczuł się bardzo urażony. Nigdy wcześniej bowiem nie oddawano tu takich honorów ani jemu, ani żadnemu z jego gubernatorów. Stwierdził również, że takie postępowanie jest dopuszczalne tylko w przypadku książąt krwi – co może być prawdą, choć trudno mi o tym wyrokować, gdyż zawsze byłem (i nadal jestem) ignorantem etykiety przewidzianej w takich przypadkach.

Ta głupia sprawa wzmogła antypatię właściciela prowincji wobec mnie, a już wcześniej raczej nie żywił do mnie szczególnie ciepłych uczuć z powodu stanowiska, które zająłem w czasie obrad Zgromadzenia w sprawie zwolnienia jego majątku z opodatkowania. Zawsze bardzo gorąco się temu sprzeciwiałem i nie szczędziłem oschłych refleksji na temat jego podłości i skąpstwa. Zarzucił mi przed ministerstwem, że w jego mniemaniu stanowiłem wielką przeszkodę w służbie królowi, ponieważ dzięki swoim wpływom w Izbie uniemożliwiłem wprowadzenie właściwej formy uchwał odnoszących się do zbierania pieniędzy. Przytoczył także paradę z moimi oficerami jako dowód, że mam zamiar siłą odebrać z jego rąk rządy w prowincji. Zwrócił się również do sir Everarda Fawkenera, poczmistrza generalnego, o pozbawienie mnie urzędu. Nie przyniosło to jednak żadnego skutku poza delikatnym upomnieniem od sir Everarda.

Pomimo ciągłych sporów między gubernatorem a Izbą, w której pracach miałem duży udział jako jej członek, prywatnie nadal utrzymywaliśmy dobre relacje i nigdy nie wdaliśmy się w żaden osobisty spór. Niekiedy myślałem, że niewielka uraza, jaką do mnie żywił, za formułowane przeze mnie odpowiedzi na jego listy, może być skutkiem nawyków zawodowych. Będąc prawnikiem, mógłby uważać nas obu za adwokatów reprezentujących strony danego sporu – on reprezentował właścicieli ziemskich, a ja Zgromadzenie. Dlatego czasami zwracał się do mnie przyjacielsko, aby doradzić mi w trudnych kwestiach, a czasami, choć niezbyt często, sam korzystał z mojej rady.

Zgodnie działaliśmy w sprawie zaopatrzenia armii Braddocka w prowiant. Kiedy nadeszła wstrząsająca wiadomość o klęsce, gubernator posłał po mnie w pośpiechu, abym doradził mu w sprawie środków zapobiegających dezercji odległych hrabstw. Nie pamiętam już, co mu poradziłem. Jak mi się zdaje, poleciłem mu, aby skłonił Dunbara – na tyle, na ile było to możliwe – do rozmieszczenia żołnierzy na granicach w celu ich ochrony do momentu, w którym nadejdą posiłki z kolonii, a on będzie mógł kontynuować ekspedycję. Po moim powrocie z pograniczna gubernator nakazał mi przeprowadzić wyprawę z wojskami prowincji w celu zdobycia fortu Duquesne, zaś Dunbar i jego ludzie zostali przydzieleni do innego zadania. Gubernator zaproponował wówczas mianowanie mnie generałem. W przeciwieństwie do niego nie ceniłem wysoko moich zdolności wojskowych, choć sądzę, że i on starał się ukryć swoje prawdziwe poglądy na ten temat w pięknych słowach. Prawdopodobnie myślał, że moja popularność ułatwiłaby rekrutację nowych żołnierzy, a moje wpływy w Zgromadzeniu pozwoliłyby usprawnić uchwalenie przyznania pieniędzy na opłacenie żołdu, być może nawet bez opodatkowania majątku. Stwierdził jednak, że nie przejawiam tak wielkiego zaangażowania, jak się spodziewał, porzucił projekt i wkrótce potem zrzekł się urzędu, który objął po nim kapitan Denny.

Praca naukowa

Zanim przejdę do odniesienia się do roli, jaką pełniłem w sprawach publicznych pod rządami tego nowego gubernatora, może będzie na

miejscu, jeżeli opiszę powstanie i postęp mojej reputacji naukowej.

W 1746 roku, przebywając w Bostonie, spotkałem się z doktorem Spencem, który niedawno przybył ze Szkocji. Pokazał mi on kilka eksperymentów elektrycznych. Przeprowadził je w sposób niedoskonały, ponieważ nie był ekspertem w tej dziedzinie. Mimo to doświadczenia te niezwykle mi się spodobały, ale też zadziwiły mnie, gdyż było to dla mnie zupełnie nowe zagadnienie. Wkrótce po moim powrocie do Filadelfii nasza biblioteka otrzymała w prezencie od pana Collinsona, członka londyńskiego Royal Society, szklaną rurę, wraz z pewną wzmianką o wykorzystaniu jej w takich eksperymentach. Z niecierpliwością czekałem na okazję, by powtórzyć to, co widziałem w Bostonie. Dzięki znacznej praktyce nabrałem dużej wprawy w przeprowadzaniu doświadczeń, również tych, których opis przysłano z Anglii wraz z kilkoma nowymi. Mówię o znacznej praktyce, ponieważ do mojego domu od pewnego czasu przychodziło mnóstwo osób, by zobaczyć te nowe cuda.

Aby nieco podzielić zadanie między moich przyjaciół, zamówiłem u miejscowego szklarza kilka podobnych rur, które następnie im rozdałem, Tym sposobem doświadczenie mogło wykonywać kilka osób. Wśród nich pierwsze skrzypce grał pan Kinnersley, człowiek bardzo pomysłowy, którego namawiałem do pokazywania eksperymentów za pieniądze, gdyż nie prowadził żadnego przedsiębiorstwa. Sporządziłem dla niego dwa wykłady, w których te eksperymenty ułożono w odpowiedniej kolejności wraz z wyjaśnieniami dokonanymi metodą ułatwiającą zrozumienie tychże kwestii. Kinnersley zaopatrzył się w elegancki aparat, w którym wszystkie drobne szczegóły maszynerii, jakie wykonałem na własny użytek, zostały ładnie ukształtowane przez producentów tych instrumentów. Jego wykłady cieszyły się dużym zainteresowaniem i dawały wielką satysfakcję, a po jakimś czasie odbył podróż po koloniach, robiąc pokazy w każdym dużym mieście, dzięki czemu nieco powiększył swój majątek. Jedynie na wyspach Indii Zachodnich przeprowadzanie eksperymentów było utrudnione ze względu na ogólną wilgotność powietrza.

Czując zobowiązanie wobec pana Collinsona za sprezentowaną przez niego tubę, pomyślałem, że powinienem powiadomić go o naszym powodzeniu w jej użyciu i napisałem do niego kilka listów zawierających relacje z przeprowadzonych eksperymentów. Rozprawy te Collins odczytał w Royal Society, gdzie na początku uznano, że nie były one na tyle istotne, by wydrukować je w Diariuszach. Jeden z listów adresowanych do pana Kinnersleya, na temat identyczności pioruna z elektrycznością, wysłałem również do doktora Mitchela, mojego znajomego, a zarazem jednego z członków tego stowarzyszenia. Odpowiedział mi lakonicznie, że moja rozprawa została odczytana, ale wywołała salwy śmiechu ze strony znawców. Gdy jednak pokazałem moje dokonania doktorowi Fothergillowi, uznał je za zbyt cenne, by je porzucić, a także doradził mi ich wydrukowanie. Pan Collinson przekazał moją rozprawę panu Cave'owi do publikacji w „Gentleman's Magazine". Ten jednak zdecydował się wydrukować ją oddzielnie w formie broszury, do której przedmowę napisał doktor Fothergill. Cave, jak się zdaje, słusznie ocenił możliwości zysku, gdyż po dodaniu późniejszych uzupełnień rozprawa nabrała rozmiarów książki in quarto, miała pięć wydań, a przy tym on nie poniósł żadnych kosztów autorskich.

Upłynęło jednak sporo czasu, zanim rozprawy te zostały zauważone w Anglii. Ich egzemplarz wpadł w ręce hrabiego de Buffon, filozofa, który zasłużenie cieszył się wielką renomą we Francji, a nawet w całej Europie. Wraz z Dalibardem przełożył moją rozprawę na język francuski i wydrukował w Paryżu. Publikacja ta obraziła Abbé'a Nolleta, nauczyciela filozofii naturalnej rodziny królewskiej i zdolnego eksperymentatora, który sformułował i opublikował własną teorię elektryczności, cieszącą się wówczas popularnością. Na początku nie mógł uwierzyć, że takie dzieło powstało w Ameryce i powiedział, że musiało zostać sfabrykowane w Paryżu przez jego wrogów, aby wyśmiać jego dokonania. W późniejszym czasie, gdy upewnił się, że rzeczywiście żyje w Filadelfii ktoś taki jak Franklin, w którego istnienie dotychczas wątpił, napisał i opublikował tom Listów skierowanych głównie do mnie, w których bronił swojej teorii i

zaprzeczał prawdziwości moich eksperymentów i wysnutych przeze mnie wniosków.

Kiedyś postanowiłem nawet, że odpowiem Nolletowi i rzeczywiście zacząłem pisać ripostę. Dotarło jednak do mnie, że moja wiadomość zawierała opis eksperymentów, które każdy mógłby powtórzyć i zweryfikować, a których prawdziwości bez uprzedniego sprawdzenia nie sposób potwierdzić. Obserwacje będące wynikiem przypuszczeń, nie zaś dogmatycznych przekazów, nie nakładały na mnie żadnego obowiązku ich obrony. Skonkludowałem również, że spór między dwiema osobami piszącymi w różnych językach może znacznie się wydłużyć ze względu na błędy w tłumaczeniu, a co za tym idzie – błędne rozumowanie koncepcji drugiej strony, tym bardziej, że znaczna część jednego z listów Abbé'a opierała się na nieprawidłowym przekładzie. Postanowiłem podjąć wszelkie starania, aby moje rozprawy broniły się same, wierząc, że lepiej spożytkować czas wolny od spraw publicznych na przeprowadzanie nowych eksperymentów niż na dyskusje o tych już wykonanych. Dlatego nigdy nie odpowiedziałem na listy Nolleta, a także nie odczuwałem skruchy za moje milczenie, zwłaszcza że mój przyjaciel, pan le Roy z Królewskiej Akademii Nauk, przyjrzał się mojej rozprawie i obalił Listy. Moja książka została przetłumaczona na język włoski, niemiecki i łaciński, a zawarta w niej doktryna była stopniowo przyjmowana przez uczonych Europy zamiast doktryny Abbé'a. Doczekał się on zatem całkowitej utraty zwolenników, poza panem B. z Paryża, swym elève i bezpośrednim uczniem.

Moja książka zyskała nagłą i powszechną sławę ze względu na powodzenie jednego z opisanych w niej eksperymentów, który został później przeprowadzony przez panów Dalibarda i De Lora w Marly, a polegał na ściągnięciu błyskawic z chmur. Nie było miejsca, w którym nie przyciągnęłoby to uwagi opinii publicznej. Pan de Lor, który miał aparat służący do przeprowadzania eksperymentów z zakresu filozofii doświadczalnej i wykładał tę dziedzinie nauki, podjął się powtórzenia tego, co nazwał „eksperymentami filadelfijskimi". Najpierw przeprowadził je przed królem i dworem, a potem wszyscy

ciekawscy paryżanie gromadzili się, aby je zobaczyć. Nie będę wypełniał narracji relacją z tego wielkiego eksperymentu ani opisem nieskończonej przyjemności, jakiej doznałem w wyniku powodzenia podobnego doświadczenia, które wkrótce potem przeprowadziłem za pomocą latawca w Filadelfii, ponieważ oba opisy można znaleźć w książkach z dziedziny historii elektryczności.

Dr Wright, angielski lekarz, podczas pobytu w Paryżu napisał do przyjaciela zasiadającego w Towarzystwie Królewskim relację o wielkim szacunku, jakim cieszyły się moje eksperymenty wśród uczonych za granicą i o ich zdumieniu wynikającym z faktu, że moje pisma zostały tak chłodno przyjęte w Anglii. Towarzystwo Królewskie wznowiło zatem rozważania zarówno nad listami, które wcześniej do niego napisałem, jak i tymi wysłanymi później do Anglii na ten sam temat, a słynny doktor Watson sporządził ich podsumowanie oraz dodał pochwałę autora. Podsumowanie to zostało następnie wydrukowane w ich „Diariuszu". Niektórzy londyńscy członkowie Towarzystwa, a zwłaszcza uczony Canton, postanowili na własną rękę przeprowadzić eksperyment pozyskania pioruna z chmur za pomocą spiczastej laski. Kiedy przekonali się o jego powodzeniu, wynagrodzili mi bardziej niż się spodziewałem, początkowe złe traktowanie. Choć nie prosiłem o ten zaszczyt, wybrano mnie na członka Towarzystwa i zwolniono ze zwyczajowej składki, która wynosiła dwadzieścia pięć gwinei. Od tego czasu stale przysyłano mi nieodpłatnie „Diariusz". Otrzymałem także złoty medal sir Godfreya Copleya za rok 1753. Wręczeniu towarzyszyło przepiękne przemówienie przewodniczącego, lorda Macclesfielda, którym byłem bardzo zaszczycony.

Nasz nowy gubernator, kapitan Denny, przywiózł wspomniany wcześniej medal od Towarzystwa Królewskiego i wręczył mi go podczas przyjęcia zorganizowanego przez miasto. Przy okazji złożył mi bardzo uprzejme wyrazy szacunku, gdyż jak powiedział, od dawna słyszał o mojej osobie. Po kolacji, gdy towarzystwo, jak to było w zwyczaju, raczyło się trunkami, zaprowadził mnie do innego pokoju i powiadomił, że jego przyjaciele w Anglii doradzali mu

pielęgnowanie przyjaźni ze mną, gdyż mogę udzielić mu najlepszych rad i będę służyć mu realną pomocą podczas jego administracji. W związku z tym nade wszystko pragnął dobrych stosunków ze mną i błagał, abym przy każdej okazji pamiętał, że jest gotów świadczyć mi wszelkie usługi, jakie są w jego mocy. Mówił też wiele o dobrym nastawieniu właściciela wobec prowincji i o korzyściach, jakie mogą płynąć dla nas wszystkich, a zwłaszcza dla mnie, gdybym zaniechał długotrwałej opozycji wobec jego zarządzeń, co przywróciłoby harmonię pomiędzy nim a ludem. Wierzył, że nikt nie może być bardziej użyteczny niż ja, i przekonywał mnie, że mógłbym liczyć na należne mi uznanie i nagrody. Inni goście wieczerzy, gdy zobaczyli, że nie wracamy do stołu, wysłali nam karafkę z maderą, z której gubernator obficie korzystał, a wraz z upływem czasu i ilością wypitego wina – rosły jego prośby i obietnice.

Moja odpowiedź brzmiała mniej więcej tak: „Dzięki Bogu moje stosunki sprawiają, że łaskawość właściciela prowincji jest dla mnie zbyteczna, a będąc członkiem Zgromadzenia, nie mógłbym przyjąć żadnych korzyści. Ponadto nigdy nie żywiłem żadnej osobistej wrogości do właściciela prowincji, więc za każdym razem, gdy proponowane przez niego środki publiczne wydawałyby się służyć dobru ludzi, nikt nie wspierał ich bardziej gorliwie ode mnie. W przeszłości mój sprzeciw wynikał głównie z tego, że proponowane przez właściciela środki miały ewidentnie służyć interesom prawnym i przynieść wielki uszczerbek dla interesów ludności.” Powiedziałem, że jestem wysoce zobowiązany wobec gubernatora za okazywane mi wyrazy szacunku i zapewniłem go, że uczynię wszystko, co w mojej mocy, aby jego kadencja była tak łatwa, jak to tylko możliwe, wyrażając jednocześnie nadzieję, że nie przywiózł ze sobą tej samej niefortunnej instrukcji, która tak utrudniała działalność jego poprzednika.

W tej kwestii gubernator nic nie odpowiedział, jednak gdy później rozpoczął współpracę ze Zgromadzeniem, instrukcje ponownie wypłynęły na wierzch, spory zostały wznowione, a ja jak zawsze aktywnie udzielałem się w opozycji. Najpierw domagałem się

przekazania dokładnej treści instrukcji, a następnie poczyniłem uwagi na jej temat, które można znaleźć w „Diariuszu” Zgromadzenia oraz w opublikowanym później przeze mnie „Przeglądzie Historycznym”. Między nami nie powstała jednak żadna osobista wrogość. Często przebywaliśmy razem, był on bowiem literatem, który zwiedził większość świata, a przy tym uważałem go za bardzo zabawnego i przyjemnego w rozmowie. Jako pierwszy poinformował mnie, że mój dawny przyjaciel Ralph wciąż żył, i był ceniony jako jeden z najlepszych pisarzy politycznych w Anglii. Został zatrudniony w sporze między księciem Fryderykiem a królem i otrzymywał pensję w wysokości trzystu gwinei rocznie. Dowiedziałem się również, że jego reputacja jako poety była niewielka, ponieważ Pope potępił jego poezję w „Duncjadzie”, jego prozę uważano jednak za naprawdę dobrą. Zgromadzenie ostatecznie uznało uparte ograniczanie przez właściciela prowincji działalności delegatów za pomocą instrukcji, za niezgodne nie tylko z przywilejami ludu, ale także ze służbą Koronie. Postanowiło zatem zwrócić się do króla, protestując w formie petycji, i wyznaczyło mnie na swojego przedstawiciela, który miał się udać do Anglii, aby przedstawić tam petycję i zdobyć dla niej poparcie. Izba wysłała gubernatorowi uchwałę oddającą na użytek króla sześćdziesiąt tysięcy funtów (z czego dziesięć tysięcy funtów wedle uznania ówczesnego generała, lorda Loudouna). Ten jednak absolutnie odmówił jej zatwierdzenia zgodnie ze swoimi instrukcjami.

Uzgodniłem z kapitanem statku w Nowym Jorku, Morrisem, mój przejazd, a bagaż został już wniesiony na pokład, kiedy lord Loudoun specjalnie przybył do Filadelfii, aby – jak mi powiedział – doprowadzić do porozumienia między gubernatorem a Zgromadzeniem, gdyż przez ich ciągłe waśnie służba królowi była utrudniona. W związku z tym chciał odbyć spotkanie ze mną i gubernatorem, aby mógł usłyszeć, co mają do powiedzenia obie strony. Spotkaliśmy się i omówiliśmy nasze sprawy. W imieniu Zgromadzenia skrupulatnie przedstawiałem wszystkie argumenty, które można znaleźć w publicznych dokumentach mojego autorstwa i które zostały wydrukowane w „Diariuszu”. Gubernator natomiast

powoływał się na otrzymane instrukcje, zobowiązanie kaucyjne, które podpisał, by ich przestrzegać, a także ruinę, w jakiej by się znalazł w razie nieposłuszeństwa. Wydawało mi się, że jest skłonny ponieść ryzyko, gdyby tak mu doradził lord Loudoun. On jednak nie chciał tego uczynić, chociaż przez chwilę myślałem, że prawie go przekonałem. Ostatecznie wolał nalegać na podporządkowanie się Zgromadzenia. Zażądał ode mnie, abym wykorzystał w tym celu moje wpływy, składając obietnicę, że nie będzie szczędzić wojsk królewskich do obrony naszych granic i że jeśli sami nie będziemy w stanie jej zapewnić, granice staną się otwarte dla wroga.

Początki buntu

Zapoznałem Izbę ze szczegółami tego spotkania i przedstawiłem im zestaw sporządzonych przeze mnie uchwał zawierających deklaracje naszych praw wraz ze stwierdzeniem, że nie zrzekamy się roszczeń do tych praw, a jedynie zawieszamy ich egzekwowanie ze względu na przymus, przeciwko któremu protestujemy. Ostatecznie Zgromadzenie zgodziło się odrzucić tę uchwałę i ustanowić inną, tym razem zgodną z otrzymanymi instrukcjami właścicielskimi. Gubernator, co oczywiste, zaakceptował uchwałę, więc mogłem kontynuować podróż. Tymczasem jednak statek wypłynął z moimi rzeczami, więc w pewien sposób byłem stratny, a w ramach rekompensaty otrzymałem wyłącznie podziękowania jego lordowskiej mości za moją służbę, podczas gdy cała zasługa wypracowania kompromisu między gubernatorem a Izbą przypadła w udziale jemu.

Lord wyruszył do Nowego Jorku przede mną. Ponieważ to on odpowiadał za termin wysyłania statków, a w porcie stały dwa, z

których jeden, jak mówił, miał wypłynąć już niedługo, poprosiłem o dokładną godzinę, abym nie przegapił jej z powodu mojego opóźnienia. Odpowiedź lorda brzmiała: „Dałem im do zrozumienia, że statek ma wypłynąć w przyszłą sobotę, ale mogę powiadomić pana entre nous, że jeśli zjawi się pan tam w poniedziałek rano, przybędzie pan na czas. Proszę jednak nie zwlekać dłużej". Z powodu przypadkowej przeszkody dotarłem na miejsce dopiero w poniedziałkowe południe i bardzo się obawiałem, że mogłem przegapić statek z uwagi na sprzyjające wiatry. Wkrótce odetchnąłem z ulgą, gdyż otrzymałem informację, że wciąż stoi w porcie i wyruszy dopiero następnego dnia. Można by pomyśleć, że znajdowałem się już na samym początku drogi do Europy. Byłem o tym przekonany, ale nie znałem dobrze charakteru jego lordowskiej mości, a jak się przekonałem, niezdecydowanie stanowiło jedną z jego najsilniejszych cech. Podam kilka przykładów. Mniej więcej na początku kwietnia przybyłem do Nowego Jorku, a odpłynęliśmy pod koniec czerwca. W porcie od dawna stały dwa statki pocztowe, ale zostały zatrzymane ze względu na oczekiwanie na listy od lorda, które co rusz miały być gotowe następnego dnia. Do portu przybił kolejny statek, który też został zatrzymany, a zanim wypłynęliśmy, spodziewano się czwartego. Nasz był pierwszym, który wyruszył, ponieważ stał w porcie najdłużej. Pasażerowie bardzo się niecierpliwili, a kupcy niepokoili się o swoje listy i ubezpieczenie za przepadek towarów (był to bowiem czas wojny). Ich niepokój w żaden sposób nie pomógł, bo listy lorda nadal nie były gotowe. A jednak ktokolwiek mu służył, zawsze zastawał go przy biurku z piórem w ręku i musiał dojść do wniosku, że lord wiele pisze.

Pewnego ranka, gdy udałem się do jego lordowskiej mości, by złożyć wyrazy szacunku, spotkałem w przedsionku jego kwater niejakiego Innisa, posłańca z Filadelfii, który przybył z pocztą od gubernatora Denny'ego. Przy okazji przekazał mi kilka listów od przyjaciół. Zapytałem go, kiedy ma zamiar wrócić i gdzie się zatrzymał, żebym mógł przekazać mu swoje listy. Odpowiedział, że jutro o dziewiątej ma się zgłosić po odpowiedź generała do gubernatora i natychmiast wyruszyć w drogę. Wręczyłem mu więc moje listy jeszcze tego

samego dnia. Dwa tygodnie później spotkałem go ponownie w tym samym miejscu.

– Tak szybko wróciłeś, Innis?
– Wróciłem?! Nie, jeszcze nie wyjechałem.
– Jak to?
– Przez ostatnie dwa tygodnie przychodziłem tu codziennie i zgłaszałem się po listy, które nie były jeszcze gotowe.
– Czy to możliwe, skoro nieustannie pisze? Ciągle widzę go przy biurku.
– Tak – powiedział Innis – ale on jest jak św. Jerzy na sztandarach – zawsze na koniu, ale nigdy nie jedzie dalej.

Powyższa obserwacja posłańca miała, jak się zdaje, swoje uzasadnienie. W Anglii zrozumiałem, że sekretarz stanu William Pitt podał jako jeden z powodów usunięcia tego generała i wysłania na jego miejsce generałów Amhersta i Wolfe'a fakt, że minister nigdy nie otrzymał od niego wiadomości, a więc nie wiedział, co się dzieje. Codziennie oczekiwano wypłynięcia, aby wszystkie trzy statki pocztowe mogły wyruszyć do Sandy Hook, gdzie miały dołączyć się do tamtejszej floty. W związku z tym pasażerowie za najlepsze rozwiązanie uznali przebywanie na pokładzie, aby w razie nagłego rozkazu odpłynięcia nie pozostać na lądzie. Jeśli dobrze pamiętam, trwało to około sześciu tygodni, w trakcie których zjedliśmy nasze zapasy na podróż i musieliśmy pozyskać ich więcej. Po jakimś czasie flota z generałem i całą jego armią na pokładzie odpłynęła w kierunku Louisburga z zamiarem oblężenia i zdobycia tej twierdzy. Wszystkim statkom pocztowym nakazano towarzyszyć okrętowi generała, aby w razie potrzeby były gotowe do przejęcia jego przesyłek. Minęło pięć dni, zanim otrzymaliśmy list, na który czekaliśmy, by móc odpłynąć, a następnie nasz statek opuścił flotę i skierował się do Anglii. Pozostałe dwa pocztowce generał zabrał ze sobą do Halifaksu, gdzie zatrzymał się na jakiś czas, aby trenować ludzi w fikcyjnych atakach na fikcyjne forty, a następnie zmienił zdanie na temat oblężenia Louisburga i wrócił do Nowego Jorku

razem ze wszystkimi swoimi oddziałami, oraz dwoma pocztowcami, o których mowa była wcześniej i wszystkimi ich pasażerami! Podczas jego nieobecności Francuzi i Indianie zajęli Fort Georgena na granicy tej prowincji, a dzicy zmasakrowali wiele garnizonów, które wcześniej ogłosiły kapitulację.

Widziałem później w Londynie kapitana Bonnella, który dowodził jednym z tych pocztowców. Powiedział mi, że po przetrzymaniu go w porcie przez miesiąc, poinformował lordowską mość, że jego statek zepsuł się do takiego stopnia, że szybka żegluga będzie utrudniona, co ma kluczowe znaczenie dla pocztowca. Poprosił o wydobycie go z wody i oczyszczenie dna. Zapytano go, ile czasu to zajmie. Odpowiedział, że trzy dni. Generał na to: „Jeśli może pan to zrobić w jeden dzień, to ma pan pozwolenie, jeśli zaś dłużej – to nie wyrażam zgody, gdyż z pewnością wypłynie pan pojutrze". Tym samym nigdy nie otrzymał pozwolenia, chociaż jego statek był przetrzymywany w porcie przez pełne trzy miesiące.

Widziałem też w Londynie jednego z pasażerów Bonnella, który był tak wściekły na jego lordowską mość za niepotrzebną zwłokę i przetrzymywanie go tak długo w Nowym Jorku, a następnie przewiezienie go do Halifaksu i z powrotem, że przysięgał pozwać go o odszkodowanie. Nigdy nie słyszałem, czy to zrobił, czy nie, ale wiem, że takie postępowanie lorda wyrządziło wiele znacznych krzywd w jego interesach.
Zastanawiało mnie, jak to się stało, że takiemu człowiekowi powierzono tak ważne zadanie, jakim jest kierowanie wielką armią. Ponieważ jednak od tamtych czasów bywałem w wielkim świecie i zobaczyłem środki i powody nominacji na niektóre stanowiska, moje zdziwienie zmalało. Generał Shirley, któremu przekazano dowództwo armii po śmierci Braddocka, moim zdaniem poprowadziłby kampanię w 1757 roku o wiele lepiej niż Loudoun, który przeprowadził ją w sposób niepoważny, kosztowny i haniebny dla naszego narodu. Choć Shirley nie miał wykształcenia wojskowego, sam z siebie był rozsądny i mądry, słuchał dobrych rad innych osób, umiał tworzyć rozsądne plany, i szybko je wykonywał. Z kolei Loudoun, zamiast

bronić kolonii, dysponując wielką armią, wystawił je na łaskę nieprzyjaciela, gdy niepotrzebnie organizował przemarsze wojsk w Halifaksie, przez co utracono Fort George. Poza tym generał zniszczył wszystkie nasze operacje handlowe i doprowadził do stopniowego załamania przemysłu, gdyż na długi okres nałożył embargo na wywóz sprzętu pod pretekstem zapobiegania jego dostania się w ręce nieprzyjaciela. W rzeczywistości chodziło o obniżanie ceny na korzyść kontrahentów, w których zyskach prawdopodobnie miał udział, choć mogą być to tylko przypuszczenia. Kiedy w końcu zniesiono embargo, zaniedbał wysłanie powiadomienia o tym do Charlestown, a flota karolińska pozostała na wodzie prawie trzy miesiące dłużej niż zakładano, przez co dna tych statków zostały tak bardzo uszkodzone przez robaki, że znaczna część z nich zatonęła w drodze powrotnej.

Shirley, jak sądzę, był szczerze zadowolony z uwolnienia się od tak uciążliwego obowiązku, jakim musi być kierowanie armią dla człowieka nieobeznanego w sprawach wojskowych. Byłem na przyjęciu, jakie miasto Nowy Jork wydało lordowi Loudounowi, gdy obejmował dowództwo. Shirley, choć w ten sposób ustępował, również był obecny. Na przyjęciu stawiło się liczne grono oficerów, obywateli i przyjezdnych. Niektóre krzesła zostały wypożyczone z okolicy, a jedno z nich, bardzo niskie, przypadło w udziale panu Shirleyowi. Siedziałem akurat obok niego i zauważyłem ten fakt, więc powiedziałem do niego: „Dali panu za niskie krzesło". „Nieważne – odparł. – Panie Franklin, na niskim krześle siedzi się najwygodniej".

Podczas mojego przedłużającego się pobytu w Nowym Jorku otrzymywałem wszystkie rachunki z dostaw, które dostarczałem Braddockowi. Przedstawiłem je lordowi Loudounowi, pragnąc otrzymać wyrównanie salda. Lord powierzył ich sprawdzenie odpowiedniemu urzędnikowi, który po porównaniu każdego artykułu z rachunkiem poświadczył, że są one prawidłowe. Powinienem tym samym otrzymać różnicę, na którą jego lordowska mość obiecał wystawić mi zlecenie do płatnika. Zlecenie to jednak nieustannie

przesuwano w czasie i choć niejednokrotnie się o nie upominałem, ostatecznie nic nie otrzymałem. Tuż przed moim wyjazdem lord powiedział mi, że po większym zastanowieniu doszedł do wniosku, że nie powinien mieszać swoich rachunków z rachunkami swoich poprzedników. „A pan – powiedział – kiedy będzie w Anglii, musi tylko przedłożyć konta w skarbowości i pieniądze zostaną panu natychmiast wypłacone".

Wspomniałem mu, choć bez skutku, o wielkich i nieoczekiwanych wydatkach, jakie poniosłem ze względu na przedłużający się pobyt w Nowym Jorku, czym argumentowałem chęć otrzymania natychmiastowej zapłaty. Zauważyłem też, że nie powinienem być narażony na dalsze kłopoty i opóźnienia w otrzymaniu pieniędzy, choćby dlatego, że nie naliczyłem żadnej prowizji za moją służbę. „Sir – odparł lord – nie musi pan przekonywać nas, że nic pan na tym nie zyskał. Lepiej rozumiemy te sprawy i wiemy, że każdy, kto zajmuje się zaopatrzeniem armii, znajduje jakieś sposoby, aby wypełnić własne kieszenie". Zapewniłem go, że w moim przypadku sprawa tak nie wyglądała i że nie odniosłem żadnych korzyści. Lord jednak, jak się zdaje, najwyraźniej mi nie uwierzył. Ja tymczasem od tamtej pory nauczyłem się, że podczas takich zleceń często można dorobić się ogromnej fortuny. Jeśli chodzi o moje saldo, to do dziś nie otrzymałem zapłaty, o czym więcej napiszę później.

Podróż do Anglii

Zanim wyruszyliśmy, kapitan naszego pocztowca przechwalał się szybkością swojego statku. Niestety, gdy wypłynęliśmy w morze,

okazał się on najwolniejszym z dziewięćdziesięciu sześciu żaglowców, co w wielkim stopniu zawstydziło kapitana. Domysłom dotyczącym przyczyny takiego stanu rzeczy nie było końca. Pewnego razu, gdy byliśmy w pobliżu statku prawie tak powolnego jak nasz, który jednak nas wyprzedził, kapitan rozkazał wszystkim, aby weszli na rufę i stanęli jak najbliżej masztu flagowego. Było nas, wraz z pasażerami, około czterdziestu osób. Gdy stanęliśmy na rufie, statek zwiększył tempo i wkrótce zostawił sąsiada daleko w tyle, co jasno dowodziło podejrzeń kapitana dotyczących nadmiernego przeciążenia. Beczki z wodą znajdowały się na dziobie, więc kiedy rozkazał przesunąć je na rufę, statek odzyskał swoją sprawność i udowodnił, co tak naprawdę jest wart.

Kapitan twierdził, że raz udało mu się osiągnąć tempo trzynastu węzłów, czyli trzynastu mil na godzinę. Podróżował z nami na pokładzie jako pasażer kapitan Kennedy z marynarki, który twierdził, że to niemożliwe i że żaden statek nigdy nie pływał tak szybko. Uważał, że taki pomiar musiał być wynikiem jakiegoś błędu w podziale linii logowej lub przy wydobywaniu logu. Kapitanowie założyli się o to, który z nich miał rację. Zakład miał zostać rozstrzygnięty podczas odpowiednio silnego wiatru. Kennedy przyjrzał się dokładnie lince logowej (przyrząd do wykonywania pomiarów prędkości na statku) i zadowolony z wyników oglądu, postanowił sam zarzucić log. W związku z tym kilka dni później, gdy wiał świeży i mocny wiatr, a kapitan pocztowca, Lutwidge, powiedział, że wierzy w to, że jego statek popłynie w tempie trzynastu węzłów, Kennedy przeprowadził doświadczenie i... przegrał zakład.

Powyższy fakt podaję w imię następującej obserwacji. Zauważono pewną niedoskonałość w sztuce budowania statków, polegającą na tym, że nigdy nie można stwierdzić, czy nowy statek będzie dobrze, czy też źle pływać, dopóki nie zostanie to odpowiednio wypróbowane, gdyż model szybkiego okrętu jest dokładnie taki sam jak powolnego statku. W moim rozumowaniu może to częściowo wynikać z różnych opinii marynarzy na temat sposobów załadunku,

takielowania i wypływania statku. Każdy z nich działa na swój sposób, a ten sam statek załadowany na podstawie opinii i rozkazów jednego kapitana będzie żeglował lepiej – lub gorzej – niż pod dowództwem innej osoby. Poza tym rzadko się zdarza, aby statek został zbudowany, przystosowany do wypłynięcia i sterowany przez tę samą osobę. Jeden człowiek buduje kadłub, inny zaopatruje go w żagle, trzeci opuszcza go na wodę i podnosi żagle. Żadna z tych osób nie zna wszystkich pomysłów i doświadczeń innych współpracowników, a zatem nie może wyciągnąć ogólnych wniosków.

Nawet w prostych czynnościach żeglowania na morzu wykonywanych przy tym samym wietrze często obserwowałem różne metody oficerów, którzy dowodzili kolejnymi wachtami. Jeden ściągał żagle, a drugi czynił odwrotnie, więc wydawało się, że nie istnieją żadne zasady, według których należy postępować. Myślę jednak, że najpierw można by przeprowadzić serię doświadczeń, aby określić najbardziej odpowiednią do szybkiego żeglowania formę kadłuba, następnie określić najlepsze wymiary i najodpowiedniejsze miejsce na maszty, potem kształt i liczbę żagli oraz ich położenie zależnie od wiatru, a na koniec – rozmieszczenie ładunków. Żyjemy w wieku eksperymentów i myślę, że wiele doświadczeń, przy dokładnym wykonaniu i zestawieniu różnych wyników, byłoby bardzo przydatnych. Jestem więc przekonany, że niedługo podejmie się tego jakiś pomysłowy uczony, któremu życzę powodzenia.

W czasie podróży kilka razy zdarzyło się, że byliśmy ścigani, ale wyprzedzaliśmy pogoń i po trzydziestu dniach wypuściliśmy sondy, których celem było sprawdzenie głębokości na jakiej się znajdowaliśmy. Mieliśmy dobre punkty obserwacyjne, a kapitan przypuszczał, że znajdujemy się tak blisko naszego portu, Falmouth, że gdybyśmy przyśpieszyli w nocy, moglibyśmy rano wpłynąć do wejścia portowego, a pędząc po zmierzchu moglibyśmy umknąć uwadze wrogich statków czy też korsarzy, którzy często grasowali w pobliżu wejścia do kanału. W związku z tym rozwinęliśmy wszystkie żagle. Wiatr był bardzo ostry i świeży, a my płynęliśmy kursem

wprost na port, nabierając przy tym ogromnej prędkości. Kapitan, trzymając się wyników obserwacji, obrał taki azymut, który w założeniu pozwoliłby ominąć wyspy Scilly. Wydaje się jednak, że czasami przy ujściu Kanału Świętego Jerzego pojawia się silny prąd, który oszukuje marynarzy i który spowodował zatonięcie eskadry sir Cloudesleya Shovela. Prawdopodobnie to właśnie ten prąd stanowił przyczynę tego, co się z nami stało.

Na dziobie umieszczono jednego z marynarzy, który miał obserwować okolicę. Często wołano do niego: „Spójrz dobrze przed siebie", a on równie często odpowiadał: „tak, tak", ale może miał zamknięte oczy lub na wpół spał i czasami odpowiadał mechanicznie. Nie zauważył bowiem światła tuż przed nami, które nie było widoczne dla innego czuwającego człowieka i reszty wachty, zajmującej pozycje za dodatkowym żaglem. Jednak gdy przypadkowo statek się odchylił, zauważyliśmy niebezpieczeństwo i wszczęliśmy wielki alarm. Byliśmy bardzo blisko tego światła, które wydawało się wielkie jak koło młyńskie. Była północ, kiedy nasz kapitan, wyrwany z głębokiego snu, wybiegł na pokład i, widząc niebezpieczeństwo, kazał rozwinąć wszystkie żagle do pozycji stojącej i skierować okręt na bok. Była to operacja niebezpieczna dla masztów, ale zniosła nas na czyste wody i dzięki niej uniknęliśmy rozbicia statku o skały, na które wprost płynęliśmy. Na tych skałach znajdowała się latarnia morska. Ta ucieczka w ostatniej chwili wpoiła mi duże przekonanie o użyteczności tych obiektów i sprawiła, że postanowiłem za wszelką cenę doprowadzić do budowy ich większej liczby w Ameryce, jeśli tylko dożyję powrotu.

Rano dzięki różnym odgłosom doszliśmy do wniosku, że jesteśmy blisko portu, ale gęsta mgła zasłaniała ląd przed naszym wzrokiem. Około dziewiątej zaczęła się ona unosić, przypominając kurtynę w teatrze i odkrywając miasto Falmouth, statki w jego porcie i otaczające je pola. Był to najprzyjemniejszy widok dla tych, którzy tak długo nie widzieli niczego innego niż monotonny obrazu pustego oceanu i sprawiał nam tym większą przyjemność, że byliśmy teraz wolni od zagrożeń, jakie stwarzał stan wojny.

Natychmiast wyruszyłem z synem do Londynu i zatrzymaliśmy się tylko na krótko po drodze, żeby zobaczyć Stonehenge na Salisbury Plain oraz dom i ogrody lorda Pembroke'a w Wilton, a także bardzo ciekawe antyki, które posiadał. Przybyliśmy do Londynu 27 lipca 1757 roku.

Od autora

W tym miejscu niestety musimy zakończyć tę niezwykłą opowieść autorstwa Benjamina Franklina o nim samym. Jak już wspomnieliśmy w dodatku pt. rzut oka na życie Benjamina Franklina, ostatnie lata jego życia nie należały do szczęśliwych. Naznaczone były chorobą. W podeszłym wieku cierpiał na kamicę pęcherza moczowego, z powodu której odczuwał silne bóle. By go uśmierzyć zażywał opium. Jednak do końca swych dni zachował jasność umysłu i odznaczał się wyjątkową inteligencją. Zmarł 17 kwietnia 1790 w Filadelfii – mieście, które tak wiele mu zawdzięczało.

Dom wydawniczy Kontinuum i Wydawnictwo Horyzont Idei dziękują za lekturę. Zapraszamy do naszych pozostałych publikacji prezentujących sylwetki wizjonerów, którzy odmienili oblicze świata. Wśród nich są między innymi Charles Darwin, Nikola Tesla, Thomas Edison czy Henry Ford.